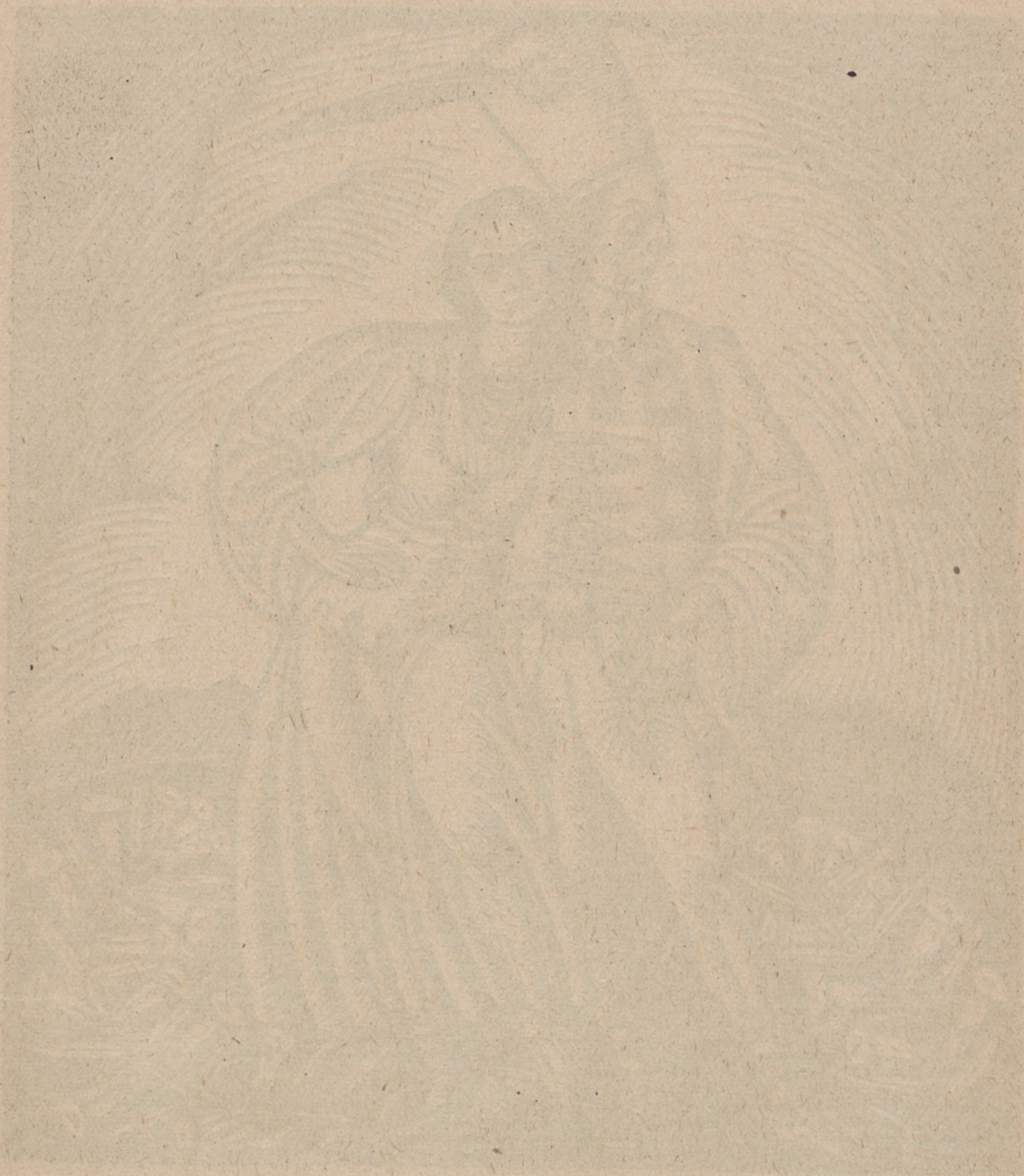
KAZIMIERZ PRZERWA TETMAJER



MARYNA Z HRUBEGO

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

MARYNA Z HRUBEGO





KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

MARYNA Z HRUBEGO

«LEGENDY TATR»

CZĘŚĆ PIERWSZA

WARSZAWA 1949
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

DRZEWORYTY WŁADYSŁAWA SKOCZYLASA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ ANDRZEJ RUDZIŃSKI

Rękopis otrzymano 16. II. 49. M-50151 Nakład 10.500 egz.
Druk 16 3/4 arkuszy ukończono 24. IX. 49. Papier dziełowy żeberk. V klasy 80 gr. 70×100

194/49 DRUK W. L. ANCZYC I SP. POD ZARZĄDEM PAŃSTW. W KRAKOWIE

Pamięci
Seweryna Goszczyńskiego
pierwszego poety Tatr

Ujrzała Maryna w nizinie Czarny Staw. Wiatr kołysał ponurość jego wód wśród mgieł, w pomroce. Głuchy bełkot dawały fale, o głazy u brzegów bijąc. Coś niewypowiedzianie smutnego szło od tej toni w górę. Stojąca wysoko na skrzesanej stromej uboczy pod Kościelcem Maryna patrzała w tę wodę, o której słyszała od urodzenia. Z biczem w ręku, opasterzona w płachtę szarą od deszczu, patrzała w dół spod skały, podana piersią naprzód. Jej szafirowe, ogniste oczy stykały się z czarną, posępną powierzchnią wody, wiązały się z nią, zdawały spływać w jedno. Dusza dziecka-dziewczyny uczuła się tak samo wahaną głucho wiejącym wiatrem. Po raz pierwszy poszła paść w hale i po raz pierwszy spojrzała na tę wodę, której imię było jądrem rozmów na Hrubem. Lecz imię prawdziwe tej wody było: groza.

Powoli mgły zakryły staw i omroczyły Marynę, tłumiąc wiatr. Nieprzewładana pustka objęła ją, nieogarnione stracenie się od świata. Uczuła nad sobą zwały spiętrzone ślizgich,

skrzesanych, niebosiężnych skał, i pod sobą wodę zapadłą w mgły, i w okrąg mgły niezmierne. Uczuła się w pustkowiu nieprzewładanym. I uczuła, że wszystko, co w sobie miała, ucichło, znikło. W duszę jej wrażała się ta godzina z mocą wiadomą, że nie zapomnisz jej nigdy. Oparła się na biczysku i pochyliła twarz. Zapamiętała się w mroku.

Ptak jakiś zafurgotał zza zrębu i przeleciał na dół w przepaści...

•

Wrzało już, choć nie buchał jeszcze płomień. Chmielnicki gotował się do ostatecznej rozprawy z królem i Rzecząpospolitą. Gdy Jan Kazimierz rozsyłał wici na pospolite przeciw Kozakom ruszenie, tysiące wysłańców Chmielnickiego pospieszyło do dalekich ziem polskich, pod Poznań, Kraków, w zachodnie województwa. Mieli oni podniecić chłopów do buntu, gdy tylko szlachta pociągnie w pole.

Strach zaś był wielki. Olbrzymią armię zbierał Chmielnicki. Naprzeciw sił królewskich zgromadził przeszło trzysta pięćdziesiąt tysięcy Kozaków, czerni i ordy tatarskiej.

Chmielnicki zamierzał daleko: zamierzał zwalić całą szlachecką rzeczpospolitą, wywołać powszechne powstanie polskiego ludu, Rakoczemu ułatwić zajęcie Krakowa, szlachtę zdruzgotać raz na zawsze.

Rzucono i rozszerzano wieść, że szlachta buntuje się przeciw królowi, że wymordować chce chłopów, że Kozacy na pomoc królowi i obronę chłopów ciągną. Judzeni chłopi, skorzy dla tyraństwa, ucisku i wyzysku panów dawać posłuch podobnym wieściom, łatwo burzyć się zaczęli. Buchnęły tu i owdzie pożary, w lasy chłopi na tajemne narady szli, zuchwalsi, odważniejsi wobec szlachciców i ich sług się stali.

Na Podtatrzu, w Beskidach, lud z dawien dawna do łupieży, zbójectwa, oporu był pochopny. Przez całe Karpaty, od zachodu do wschodu ich granic węgierskich, raz wraz tworzyły się i dawały o sobie znać bandy grabieżcze.

W województwie krakowskim, w małym stosunkowo okręgu górskim więcej było zbójów i napadów niż na ziemiach całej Rzeczypospolitej polskiej, a typ życia górali podobny był do typu życia zaporoskich Kozaków.

Rody sołtysie używały tej wolności w górach, jaką cieszyły się rodziny kozacze na Rusi, a młódź chadzała na zbój na obie strony gór, jak Kozacy na wyprawy z Siczy. W owym czasie górale byli rozjadli. Od trzydziestu lat trwał spór między dworem szlacheckim i ekonomiami duchownymi i królewskimi o czynsze za wypasy na polach (na które jedni chłopi mieli przywileje i nadania z uprzednich czasów, inni nie mieli), z rozmaitą słusznością, ale i z tym, że i słuszność gwałcono. Prócz tego Lubomirscy, chciwi tytułów i majątków, wstydzący się już rodzinnego, małego Lubomierza, a piszący się hrabiami na Wiśniczu i Jarosławiu (Wacław Śreniawa Potocki: *Wojna chocimska*), jęli wydzierżawiać dla większego zysku Żydom cła, myta i karczmy i wzbraniać palenia wódki i szynkowania, wbrew prawom osadniczym, warującym sołtysom i całym gromadom w kasztelanii krakowskiej własne karczmy i gorzelnie. Za przykładem nowych, ale już magnatów, szła okoliczna szlachta. Rozjątrzeni chłopi rwali się do oporu i odwetu, powstawały bandy po kilkudziesięciu ludzi, napadano dwory i podłoże pod bunt powszechny było gotowe.

W uczuciu pewnej trwogi i niepokoju opuszczała szlachta podgórska dwory i zagrody, aby do obozu królewskiego pod Sokal ciągnąć. Szczupłe, prawie nieistniejące lub zgoła nieistniejące załogi po starościch grodach i gródkach, strzec ma-

jący w czas wojny pokoju domowego wojscy, prywatne poczty, te, których przeciw Chmielnickiemu nie pchnięto, panów duchownych i świeckich — małą dawały ochronę i skąpe bezpieczeństwo. Główną otuchą szlachty wyciągającej z progów rodzinnych była nadzieja, że chłopi się na nic większego nie ważą, a także przekonanie, że nad ogólniejszym ruchem musiałaby stanąć jedna, i nie chłopska, nie chamska głowa. Nie bez trwogi, ale wzgardliwie liczono, że się taka głowa nie znajdzie. Nie przypuszczano dwóch Chmielnickich równocześnie, gdy jeden już był i od lat całych nękał wojną i odetchnąć nie dawał.

W dumnej hardości z zamków swoich spoglądali naokół panowie małopolscy, ci, którzy dla wieku czy niedomagania w pole na wezwanie królewskie nie wyszli, i plenipotenci pańscy, pod czas dominiami rządzący; z umyślnym też lekceważeniem patrzyli na ruchy chłopskie urzędnicy królewscy. Starosta czorsztyński, pokojowiec królewski Platemberg, w zamku dzierżawców Żydów pozostawiwszy, w zbroi szmelcowanej ku wojsku odjechał.

Gdy Szymek Bzowski czyli Aleksander Leon Kostka z Krakowa do Siworogu, zamku Joachima Herburta, pana na stu wsiach, u którego podówczas bawił, zakupiwszy odzienia z sercem roztęsknionym wracał — na każdym popasie, od Mogilan poczynając, tu o podpaleniu, tam o kradzieży, ówdzie o zabójstwie nawet słyszał, a gromadki chłopskie, nie budzące ufności po drodze spotykał.

Ale jego strój szwedzki, bródka z szwedzka przycięta, łatwa do poznania najęta w Krakowie kolasa czyniły na chłopach wrażenie, iż obcy to człowiek jedzie, a napadu lękać się potrzeby mieć nie musi, skoro go nawet na pachołka przy boku woźnicy nie stać, bez którego lada szlachetka za próg z domu nie stąpił. Mijano go też bez uwagi.

Ów zaś plany szerokie roił.

Beatę Herburtównę, jedynaczkę, poślubić, na stu wsiach panem się uczuć, rywala wojewodzica Sieniawskiego pognębić, a potem? Król Jan Kazimierz bezdzietny był, linia Wazów polskich gasła — on jeden krew z krwi, kość z kości króla Władysława IV, wnuk jedyny Zygmunta III, pierwszego z dynastii, w Polsce pozostawał... A choć go mała szlachcianka, panna Tekla Bzowska, porodziła, po ojcu on jeden z królewskiej w Polsce krwi się wiódł... Gdyby jakiś wielki czyn, jakiś czyn znakomity...

Na dworze szwedzkim wiedziano, kim jest, gdy z listami króla Władysława, wzywającymi do wojny tureckiej, w 1648 r. jeździł, i przyjmowano go odpowiednio; znał go także jako królewskiego syna książę Siedmiogrodu, Rakoczy, u którego po śmierci ojca przebywał; wiedział o nim Chmielnicki. Czuł w sobie zręczność, śmiałość, dar ujęcia ludzi, przyjaciół znaleźć się spodziewał. Wychowany też w magnackim domu Kostków z dzieciństwa, otarty o dwór jako paź królowej Cecylii Renaty, wiedział, iż niejednego z panów panicza dwornością, pańskim obejściem przewyższy i gdyby trzeba było, głowę wznieść i panem stanąć potrafi.

Rozumiał też, że król ojciec nic o nim nie myślał, gdy go niewątpliwie z królewską wolą do Kostków, których imię przejął, na wychowanie dano, gdy go później do fraucymeru królowej stamtąd wzięto i gdy na koniec, jako wysłaniec królewski do Szwecji, miał kredytywy do wszystkich monarchów i książąt chrześcijańskich. Król Władysław IV jedynego miał syna, Zygmunta, i ten umarł. On był jedynym synem królewskim, dziedzicem...

Małżeństwo stryja Jana Kazimierza z królową wdową nie wróżyło już potomstwa — ale możnowładcy polscy, choćby

królewskiego, bękarta na tron by nie puścili. Nie puściłaby go też i szlachta, ciemna, głupia i możnowładcom służąca. Ha! I jednych i drugich zgnieść!

Pycha pierś Kostce rozpierała, żądza wzniesienia oddech dławiła. Zgnieść, zdeptać, a znakomitym wojennym czynem błysnąć i ogłosić się światu!...

Pod króla znaki pociągnąć nie chciał — nie chciał służyć temu stryjowi, który go nie znał, który na tronie jego ojca siedział, nie chciał służyć i słuchać, gdy się do panowania i rozkazywania urodzonym widział.

Zawidził też panom polskim nad wyraz wszelki. Ci magnaci, którzy, jak Bogusław Radziwiłł, kiedy jechali *incognito,* w tysiąc koni jechali; ci dawni, dumni z rodów Zborowscy, Chodkiewicze, Koniecpolscy, Tarnowscy, ci dumni z książęcej krwi Wiśniowieccy, Zbarascy, Zasławscy, ci pyszni, rosnący przy pomocy łask królewskich zagrabiciele dostojeństw, władzy i bogatych starostw, Lubomirscy, Potoccy kłuli go w oczy aż do krwawych w nich świateł.

A porówno z ambicją, gwałconą miłością własną, zazdrością wrodzoną, wrzała mu w sercu miłość do Beaty Herburtówny.

Jej serca pewny był, lecz i tu naprzeciw niego stał szlachcic — pan polski, potomek przodka, który się na akcie unii lubelskiej podpisał, prastarego, potężnego, przesławnego domu syn: Jan Sieniawski, wojewodzic krakowski.

Polak, rdzenny Lach, również z Herburtówny urodzony, w którego żyłach krew wszystkich polskich królewiąt płynęła.

Bogaty jak król, władny jak hetman, butny jak książę udzielne, urodny jak bożek słowiański.

Drobny, nikły, w obcisłych, szwedzkich pluderkach, często skrycie łatanych, karłem i nędzarzem czuł się syn króla

Władysława naprzeciw tego dębczaka, od złota i drogich kamieni lśniącego.

Gryzł Kostka pod cienkim, czarnym wąsem wargi i w palcach niecierpliwych pierścionek z włosów Herburtówny, ofiarowany mu jako zadatek miłości, obracał.

Jako Kostka, choć z mniej bogatego, mniej możnego domu niż Sieniawski, od tego kasztelana rzekomo się wiódł, co również podpis na akcie unii za Zygmunta Augusta położył. Świętego też w rodzie miał, a stąd osobliwe błogosławieństwo nad domem Kostków upatrywano.

Stary Herburt, pobożny nad miarę, ze czcią go i poszanowaniem, jako krewnego świętych, gościł i niewątpliwie przez samą pobożność związkowi z córką nie miałby się sprzeciwiać.

Do stanowczego punktu musiało przyjść. Sieniawskiemu na polowaniu kość niżej łokcia niedźwiedź przetrącił i stąd on, sześciuset husarzów i tysiąc piechoty własnego pokrycia królowi pod Sokal posławszy, sam w domu pozostał i do Siworogu jako krewniak po matce i konkurent do panny zjechał.

Popierała go stryjna panny, kasztelanowa księżna Dymitrowa Korecka, po śmierci matki matkę Beacie zastępująca, pani dumna i ubogim, choćby to był nie świętego Stanisława Kostki, ale samego świętego Piotra krewny, gardząca.

Gdy Kostka w nowym odzieniu na zamku herburtowskim stanął, zastał on tam sprawy naprzód pchnięte. Oto księżna Sieniawskiego, który rzeczy aż do szczęśliwego zakończenia kampanii kozackiej odkładał, nastraszyła Kostką i ten się zdeklarował i o panny rękę tegoż dnia właśnie prosić się gotował.

Zacisnął Kostka pięście na te wieści i ledwo się z kurzu podróżnego otrzepawszy i obmywszy, do Beaty szedł.

Już się ku zachodowi słońce miało. Pachniał ciepłym kwietniem ogród zamkowy, pełen kwiatów cennych i drzew odwiecznych.

Nad sadzawką zamyśloną napotkał Beatę.

Ośmnaście lat swoich i cudne lico uwieńczyła wianuszkiem kwiatków polnych, zaplecionych zgrabnie i powabnie.

— Prawdali to? — zawołał Kostka, prawie witać zapominając. — Prawdali to jest?

— Co ma prawdą być? — zapytała Beata.

— Co słyszę, iże wojewodzic Sieniawski o rękę waszą, miłościwa wojewodzianko, prosić dziś jeszcze przed wieczorem ma?

— Prosić może, to nikomu nie wzbronno.

— A ja?

— A wy też o nią prosić możecie.

— Lecz jakaż wasza odpowiedź będzie?

Wojewodzianka uśmiechnęła się lekko i wzniosła oczy niebieskie ku górze.

— Gwiazd jeszcze nie ma — one wiedzą.

— Zatem je wydrzeć z nieba rękoma trza, aby rzekły!

— Wydrzejcie. I to wolno.

— Wojewodzianko! — krzyknął niemal Kostka. — Dawaliście mi próby przyjaźni waszej! Włosów waszych pierścionek mam!

— Gwiazd jeszcze nie ma — odrzekła Herburtówna z uśmiechem. — Nie wzszedł wieczór.

I aleją dębową ku zamkowi jęła iść, a Kostka szedł za nią, tak gorejący ogniem, że trudno mu było chciwe usta i dłonie pragnące na wodzy trzymać.

Szli chwilę w milczeniu, z jednego szpaleru w drugi przechodząc. Wtem pierwsza gwiazda na błękicie zatlała, blada jeszcze, ale już widoczna.

— Gwiazdy już są — szepnął Kostka pochylając się ku Beacie.

Ona zaś odwróciła ku niemu nieco głowę i niewypowiedzianej łaski uśmiech posłała mu z ust i ze źrenic.

— Kto ma wiarę i nadzieję — zaczął Kostka pół nieprzytomny.

— Ten posiąść może miłość — dokończyła Beata Herburtówna nigdy dotąd u niej przez Kostkę nie słyszanym, drżącym od wzruszenia głosem.

— Mam rozumieć? — zapytał Kostka półszeptem namiętnością zdławionym.

— Jak serce dyktuje.

Naówczas zastąpił on drogę Beacie, ukląkł przed nią na kolana i za kraj jej żupanika obramowanego gronostajem ujął, a ona zwróciła naprzód twarz w bok, jakby ze wstydu, a potem wraz ku niemu, jakby zwalczona tym, co ją parło. Za dłonie obie Kostka ją chwycił — nie broniła ich; ku sobie pochylił — poddała się — i nachyloną, klęcząc, wyżej stanu ułapił, piersiami przygarnął i usta w usta jej wcisnął. Wyrwać się niby chciała, ale ją niemoc zniewoliła.

Wtedy Kostka wstał i wpół przez ramię przegiąwszy, lica, oczy, usta, szyję obnażoną w czas ciepła całować bez upamiętania zaczął.

Gdy do siebie przyszli, więcej już gwiazd na niebie płonęło.

Szybko poprawiwszy i ogarnąwszy szatki, jak sarna spłoszona, iść przed się ku zamkowi jęło dziewczę, Kostka zaś obok kroczył, milcząc ze szczęścia, z ręką na rękojeści szpady, którą szwedzkim obyczajem nosił, opartą.

Podeszli pod zamek.

W wielkiej sieni od ogrodu stał Herburt wojewoda, księżna Korecka, Sieniawski i dworzanin jego i druh, Michał Gozdawa Sulnicki, człek siły niezwykłej i rębacz w Małopolsce

pierwszy, z twarzą zuchwałą i groźną, bez grosza majętności, z łaski Sieniawskiego żyjący. Z nim razem on się chował, pół-sługa, pół-przyjaciel.

Obaj strojni byli od stóp do głów — a Sieniawski na podziw.

Miał on na sobie kontusz szafirowy aksamitny, z brylantowymi guzami, z których każdy miasteczko żydowskie był wart, pod tym żupan z niebieskiego atłasu, a pas go opasywał niewysłowionej roboty, tak mieniący się przy blasku zapalonych już świeczników, iż się widziało, że się sztuką tęczy przepasał. Ku temu hajdawery karmazynowe i z żółtego safianu łyskliwe buty, na złotych podkówkach u napiętków. U boku słynna Sieniawskich karabela o złotej pochwie, na rękojeści kołpak soboli z czaplą białą kitą, rubinami, szmaragdami, brylantami, szafirami i żółtymi topazami przypiętą. Lewa ręka, od niedźwiedzia przetrącona, na czarnym spoczywała temblaku.

Sulnicki, choć dworzanin, prawie niemniej od złota i kamieni świecił, aby znać było, co to za pan, co nie tylko siebie jak królewic, ale i dworzanina swego nawet nad miarę niejednego posesjonata ubrać może.

Właśnie w imieniu Sieniawskiego Sulnicki deklarację o rękę Beaty czynić kończył, gdy oboje z Kostką nadeszli. Aliści Beata, która ostatnie wyrazy słyszała, a z nich i z wyglądu sceny snadnie treść dyskursu poznać mogła, zwracając się wprost ku Sieniawskiemu, z uprzejmym skinieniem głowy rzekła:

— Wielki to honor dla mnie, gdyż, ile się domyślam, rzecz o mnie idzie, że potomek tak znakomitych przodków i sam nie mniej od nich znakomity kawaler, którego mężem swym nazwać za zaszczyt by sobie najpierwsze w Polszcze panny miały, ku mnie afekt swój zwrócić raczył. Iście srodze mi

markotno, że afekt ten w tym momencie wewspółdźwięku nie znajduje.

— Jakoż to? — zapytała księżna Korecka.

— Gdyż serce moje komu innemu oddałam.

Blask radości zajaśniał na twarzy wojewody, Sieniawski zaś przy tych słowach Beaty w bok się wsparł i płomieniem z oczu zaświecił.

— I komuż to, jeśli wiedzieć wolno? — zapytała księżna Korecka.

— Tu obecnemu panu Aleksandrowi Kostce — odpowiedziała Beata.

Nim kto ozwał się, pospieszył wojewoda głos wziąć:

— Umiem i ja cenić honor — rzekł — jaki na dom mój z ucieleśnienia afektu imci wojewodzica spłynąć by miał. Nie ma jednak snadź domu wielkiego w Rzeczypospolitej, z którym by gniazdo Herburtów spowinowacone nie było, a i samego tu przytomnego wojewodzica Herburtówna rodziła. Gdy sami do czeskiej mitry prawo nosim, nie obce w naszych krewieństwach małżeńskich buławy, wielkie pieczęcie i mitry książęce. Z rodem atoli, którego najwyższa dystynkcja ziemska: świętego wydać — z łaski Boga spotkała, nie dał Bóg się dotychczas skoligacić. I gdy ani dostatków, ani dostojeństw nam nie brak, za wyraźny dokument łaski Opatrzności mam, iż do krwie naszej krew, która i we świętego Pańskiego żyłach krążyła, przymieszać życzy sobie.

Naówczas zdarł w górę głowę Sieniawski i odpowiedział:

— Nie mam ja tu co dłużej porabiać, gdy mnie porówno serce córki jak wola ojca odtrąca. Zbyt jednak umiłowaną sercu mojemu jest wojewodzianka Beata, w zbyt wielkiej czci mam jego wielmożność pana wojewodę, w zbyt wielkiej estymie przesławny ród Herburtów, abym, co wiem im przeciwnego, zmilczał.

A iż do delacji nawet w świętej i obowiązkowej sprawie usta Sieniawskiego się nie zniżą, Sulnicki, czytaj list, który na twoje zapytanie kasztelan Janusz Kostka z Dębin ci odpisał. —

Kostka drgnął, jakby złym przeczuciem tknięty, a Sulnicki wielki arkusz z zanadrza dobywszy czytać począł:

— „Do Imci Pana Michała Sulnickiego, wojewodzica Sieniawskiego dworzanina:

Jako mnie Waszmość, podejrzeniami pewnymi, jako piszesz, tknięty, pytasz i do odpowiedzi ze strony wiadomej osoby obligujesz, odpowiadam Waszmości przez umyślnego, co następuje:

Sprawiedliwie szacuję miłość Waszmości ku prawdzie i nienawiść szalbierzy i wiadomym czynię, iż ów Aleksander Leon Kostka ze Szternberku, za takiego się podający, z rodu naszego nie jest. Przed dwudziestu kilku laty do stryjecznego mego Rafała Kostki, kasztelana bełskiego, zaufanego króla nieboszczyka Władysława, przywiózł hajduk chłopię, ledwie mówić mogące, bogato odziane i tam je wraz z oddanym sobie listem zostawił. Dom był bezdzietny i dziecko jak swoje chowano. Gdy chłopiec podrósł, zasię po niego przysłano i co się z nim później działo, nie wiem. Z naszego plemienia Kostków on nie jest, jeśli to ten za takiego się prezentuje. To wiem i słowem uręczam, a nawet, gdyby potrzeba w jakiej ważnej sprawie była, i przysięgą uręczyć mógłbym.

Życzę zdrowia Waszmości.

Janusz Kostka z Dębin,
kasztelan sieradzki".

Gdyby grom z jasnego nieba uderzył, większego by efektu zdziałać nie zdołał.

Wojewoda list z ręki Sulnickiego wychwycił, jeszcze raz go przeczytał i ozwał się mocno pomieszany:

— Zaiste! Na palu pal — bo takie miał, gdy go co poruszyło, przymówisko — ręka to kasztelana, tak mi znana jak moja własna. Któż więc waszmość jesteś? — zwrócił się ku Kostce.

Ten stał biały jak płótno.

— Ktoś waść jest? — zapytała porywczo księżna Korecka.

Kostka milczał, a Sieniawski rzekł:

— Jakom rzekł, nie mam ja tu co dłużej porabiać. Atoli zdaje mi się, iż źlem nie uczynił, zezwalając zaufanemu memu, któren z gorliwości ku mnie, o cześć domu Herburtów niemniej też dbały, podejrzenia powziąwszy, w najsłuszniejszą stronę, gdy kasztelan Rafał i małżonka jego nie żyją, z interrogacją się zwrócił. Cokolwiek stąd wyniknie, mnie wszelako jedno tylko: odejść stąd — pozostaje.

— Czekaj, wasza miłość, nie odjeżdżaj, póki się sprawa nie wyklaruje! — zawołał wojewoda i zwracając się ku Kostce: — Mów waszmość, kto jesteś? — powtórzył.

Kostka milczał. Białość nie ustępowała mu z twarzy, oczy w ziemię wbił i stał jak skazaniec. Byłby może słowa nie rzekł, gdyby nie prośba Beaty, która ręce jak do pacierza złożywszy ozwała się błagalnie:

— Na Boga, proszę, powiedz waszmość nazwisko swe i godło!

Naówczas Kostka spojrzał na nią zarówno z wyrzutem jak z miłością nieopowiedzianą i wyprostowawszy się, iż, acz nieduży, prawie wysokim w tej chwili się wydał, spojrzenie w oczach obecnych topiąc, rzekł spokojnie i wyniośle:

— Imię moje jest w księdze dziejów zapisane nie tam, gdzie wasze będzie.

Znaczenia tych słów nie pojąwszy, a najmniej się podobnych spodziewając, wszyscy stali chwilę, spoglądający po sobie, aż pierwszy ozwał się zuchwale Sulnicki:

— Nie o enigmata tu idzie, jeno o nazwisko waścine. Powiadaj je i basta!

Jeszcze dumniej wzniósł Kostka głowę w górę i odparł:

— Odpowiedzieć ci raczę, pachołku, iż pan twój mnie do kolan kołpakiem kłaniać się winien.

Spłonił się na to Sieniawski i w oka mgnieniu karabelę ze złotej pochwy wyrwał, ale go blisko stojący wojewoda za rękę chwycił i krzyknął:

— Jedno nie pozwolę krwi rozlewać w domu moim, drugie nie wiesz waszmość, kto zacz, a jak zbój mordować nie będziesz!

Zatrwożona i ze łzami w oczach Beata powtórnie się ku Kostce skłoniła.

— Mów waszmość, jak cię zowią — błagała — nie wystawiaj serca mego na próby ognia!

I wtedy ponownie Kostka, jako pierwej, na nią popatrzywszy, rzekł głośno i wyraźnie:

— Jam jest króla Władysława syn.

Znów oniemieli wszyscy, jeszcze dłuższą chwilę milczenie potrwało niż uprzednio.

Przerwała je kasztelanowa Korecka, mówiąc w aluzji do nazwiska Wazów:

— Z tych pewnie waz, co nie jabłko i wawrzyn, ale pierogi ze śmietaną naszały.

Huknął śmiechem Sulnicki, rozśmiał się i Sieniawski, a Sulnicki przez śmiech zawołał:

— U mojego szwagra jest fornal Władysław Król, zali nie ten? Nawet podobny z urody!

— Pachołku — odpowiedział Kostka wyniośle — jesteś mi jako pies, co na mnie szczeka. Obrazić nie możesz, ale obitym będziesz.

Porwał się wreszcie wojewoda, który stał jak słup, bez słowa i ruchu.

— Dość! — krzyknął. — Ktokolwiek waść jest, iżeś śmiał pod nieprawdziwym wejść w dom mój nazwiskiem, próg mój przestąpić proszę!

— Panno Beato! — zwrócił się Kostka ku wojewodziance, która z twarzą zasłonioną rękoma stała.

Słowa nie otrzymał, ale ruch głowy nic dobrego, owszem, źle mu wróżył.

— Beato! — rzekł jeszcze.

Lecz tylko ten sam ruch głowy uzyskał.

— Milcz, wasze! — rzekła księżna Korecka. — Jak śmiesz ozywać się jeszcze do tej, którąś zuchwalstwem twym i bezczelnością pokrzywdził i pohańbił! Znamy takich królewskich synów! Z hajduka w pralni się kocą!

— Tak jest! — krzyknął z kolei wojewoda. — Tak jest! Jak śmiałeś, fałszywego nazwiska używając, na dziecko moje, na Herburtównę oczy podnieść! Powsinogo! Przybłędo! Precz mi z zamku! Precz!

Kostka na te obelgi i groźby ku Beacie się zwrócił, ta jednak twarzy nie odkrywając milczała jako pierwej.

Naówczas gniew go ogarnął, ręką w zanadrze sięgnął i z kieszeni zwitek z pierścionkiem z włosów wojewodzianki dobywszy, pod nogi go jej rzucić chciał, ale się wstrzymał, zbyt bowiem ją jeszcze miłował, aby wstydzić zdołał.

Ta snadź odgadła, czy odczuła myśli jego, odsłoniła bowiem nieco lica i pełne strachu, przerażenia, wdzięczności spojrzenie padło na twarz Kostki.

— Precz! — huczał wojewoda. — Ty niewiadomy człeku, szalbierzu imienia królewskiego! Precz, bo na samą myśl, żeś na córkę moją patrzeć śmiał, krew mię zalewa! Fora! do kroćset diabłów, bo psami wyszczuć każę!

Za wiele tego Kostce było. Nie licząc się już z nikim i z niczym, choć wiedział, że zginąć musi, za szpady rękojeść chwycił, gdy nagle o niespodzianej godzinie dzwon kościelny we wsi pod zamkiem zabrzmiał i równocześnie dwaj dworzanie wojewody, Rajcerz i Szybka, w najwyższym pomieszaniu przybiegli, jeden przez drugiego wołając:

— Wasza miłość! Zbóje! Folwark zgorzelicki płonie! Czerń pustoszy!

— Gwałtu! — krzyknęła kasztelanowa, wojewoda zaś, o Kostce zapomniawszy, bo Zgorzelice tuż niemal obok zamku leżały, gębę na razie w zdumieniu i przerażeniu otworzył.

— Kupa chłopstwa! — wołał Rajcerz. — Dowiedzieli się snadź, że chorągwie nadworne pod panem Makowskim do obozu królewskiego wyprawione!

— Co jest ludzi w zamku! Do broni! Na koń! — wrzasnął wojewoda mowę odzyskawszy. — Hej! Wasiutyński! — krzyczał oglądając się za marszałkiem dworu.

Poskoczył naprzód Sulnicki, a Kostka, trzasnąwszy szpadą w pochwie, wpadł za nim do stajni i nie mając swego, w zamieszaniu najlepszego z wierzchowców wojewody okulbaczył i za bramę na nim wypadł. Myślano, że ku Zgorzelicom leci, ale on w lesie nieopodal zamku na prawo skręcił i na gościniec myślenicki ku Rabie, co pary było w bachmacie, ruszył.

Wrzawę i dzwon larmo czyniący słyszał, wkrótce otoczyła go cichość wieczorna, łunę tylko widział na niebie.

O Beatę się nie lękał. Zbyt potężnym było imię wojewody, aby chłopi, choćby jak zuchwali, porwać się na zamek ważyli; zbyt wielu ludzi w zamku, aby najmniejsze niebezpieczeństwo rodzinie wojewody grozić mogło. Spalono już wprawdzie po dwakroć Bełz i zamek ciechanowski, ale tam

dowodził zorganizowaną bandą zuchwały i podstępny emisariusz Chmielnickiego, Jachowski. Uprzednio wstecz złupił herszt Bajus z towarzyszami Januszkowice, zabito panów Trojanowskich, Bobownickiego, Bylinę z Leszczyn, splądrowano dwór Olszewskiego w Siarach, Domaradzkiego w Ropie, słynny Czepiec i Sawka napadli na Jamgród, choć obwarowany, Męcińskiego, zrabowali w Zyndramowy siedmdziesiąt siedm stadnych klaczy, zgrabieżyli dwór Delpacego w Glinniku, Cikowskiego w Żeglcach, Michałowskiego w Rogach pod Iwoniczem, ale z podobnych napaści drwić mógł armatami strzeżony, podobny do twierdzy gród Herburtów. W Zgorzelicach były obory pańskie, tam też znęcili się zbóje.

Z łuną w sercu, nie mniejszą niż ta, która ponad nim świeciła, z huraganem gniewu, żądzy zemsty, a zarazem bólu i rozpaczy w sercu pędził Kostka gościńcem. Aż ubieżawszy więcej niż milę drogi, koniowi zwolnił, aby go nie zapalić i nie zmarnować.

Olbrzymia łuna gorzała na niebie.

Wstrzymał Kostka konia, na kulbace się skręcił twarzą wzad, wzniósł rękę z pięścią zwiniętą i wyciągnąwszy w stronę pożaru, począł nią trząść złowrogo, mówiąc:

— Poczekajcie, magnaty! Zapalę ja wam lepszy ogień nad głową! Poznacie mnie! Psie syny!

Ku górom konia skręcił. W tę dziką, zapadłą stronę wściekłość go i gniew skierowały, jak instynkt wilka, co się z łańcucha urwał. A w pędzie o Chmielnickim jął myśleć. Chmielnicki niejednokrotnie znać mu dał, że o nim wie, że się z nim liczy. Jakby umyślnie wysłannicy hetmana zaporoskiego spotykali go, półsłówka znaczące szeptali. Bohdan Chmielnicki nie tylko o prawa Kozaków i chłopów ruskich, on i o inne prawa upomnieć się mógł — — zwłaszcza dla sprzymierzeńca...

Chmielnicki...

Ojciec był osadnikiem czehryńskim za czasów starosty Daniłowicza i zwano go Chmiel, a syn był hetmanem kozackim, który z chanem tatarskim brat za brat był, księcia Jeremiasza Wiśniowieckiego zza Dniepru wyparł, hetmanów koronnych wielkiego i polnego w niewoli miał, do którego wojewoda Kisiel w poselstwie jeździł. Więc jeżeli syn Chmiela z Sobotowa, z futoru, Chmielenko, nad sobą chorągiew malinową nosić kazać mógł, cóż on, królewski syn?!...

•

— Hej, hłopce, wiés, co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem — ciepło.

— Ono wej ciepło.

— Wiaterek od wyhodu słonka poduhuje — wiesna.

— Wiesna.

— Jar.

— Ydź jar.

— Kie wiesna, to ciepło.

— Terazeście wej, Janie, dobrze pedzieli! Wy macie rozum!

— Tak ci powiem, Symuś, ze hań na Stawie ani śkiełka lodu nie bedzie.

— Nie bedzie.

— Słonko cysto piéknie spaliło.

— O bo haj!

— A na Zmarzłém pod Zawrate bedzie.

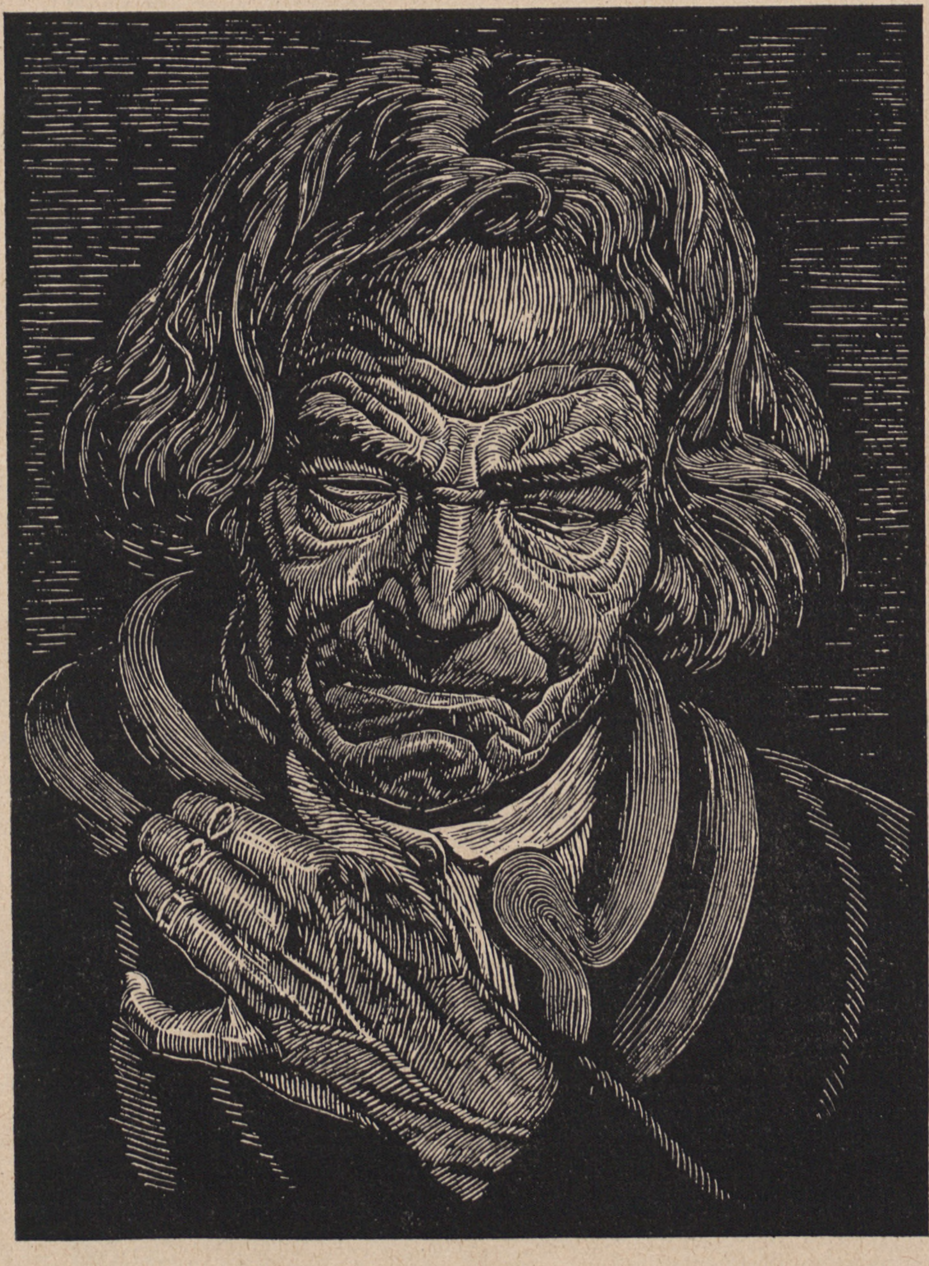
— Bedzie.

— Bedzie. Kazby sie podział, kie hań do cienia.

— Zej tys to!

— Ale w Pięcistawak hań juz sołtysia Nowobilscy z owcami moze bedom.

— Moze.



— Przy Rybim bedom?

— Bedom. Cozby nie byli?

— W Cihéj bedom?

— Syćko nizy.

— Naska hala haw u Stawuk nawyzsa.

— Nawyzsa.

— Ale co ci powiem, to ci powiem: piékna.

— Piékna.

— E, ze piékna, to juz piékna. Nié mas jej gany — nijakiéj.

— O bo nié mas!

— Jyno telo, co zimna. Ka inędy juz dawno pasom, kim sie trawa otawi na niej.

— No.

— Tego lata, jak bedzie tak bars ciepło, to hań pudziemé.

— Oba.

— Oba pudziemé. A gęsiołki se Symuś weź. Bo kie hań Byrnas na kobzie zabrzęcy, a Franków Pieter i mój wnęk Sobek na fujerak zagrajom, to coz byś ty hań, hłopce, przez gęśli robiéł! Ani byś hań nié miał po co iść. Boby cie weredy skalami dołu zajeny!

— Hej! Moze.

— Siedniemé se popod sałas do słonka. Las nam bedzie pachł z doliny, a zaś kosodrzewina i limby od wiérchów. Telo musicie grać, coby nas juhasi za graniom we Wirhcihej słyseli!

— Téj tys to!

— Nieg wiedzom, ze Polaki grajom! Luptocy zatraceni!

— Wiera ze tys! Ono ik sytko mierzi to granie.

— No! I zyntyce se słodkiéj popijemé. Z moskalicke.

— Bajtoć!

— Do słonka sie grzejęcy. Bo my starzy.

— He! Co bees robiéł...

— Symuś, kielo ci tys to rahujom?

— He, ono bedzie cosi na pionty na sézdziesionty.

— Dziecko! Jedy mnie haw trzi osiemdziesiont na świentom Flawijom mineno! Coześ ty proci mnie? Smarkac! Ale byś mnie i tak jesce w tańcu nie przebrał!

— Kazby!

— O bo nié! Nie przebieres! Kie mi pięć dwaścia roków béło, to sie trzok juhasów Białcanów ustawiło, kimek ja sie zagrzał!

— Ej ha!

— Tak béło, tak. Ja béł hłop! Ja cały Carny Staw równo ze pse obleciał! Cok go toporzyske pądziéł. Alek hipkał!

— Pod Kościelce.

— Wody kęs!

— Kęs. Ale ja se i tak, wiécie, Janie, uwazujem, ze kieby hań do stawu dopływu nie béło, a coby sie woda w nim w piwo obróciéła, he! to by go do jesieni ludzie wysusyli.

— Mójeś ty! Niejeden by hań skapał przi nim, jyno by taki mułek ostawili. Ba jesce by przi nim lezał, coby go cuł.

— Ale by sie tyz zgichło luda, kieby sie wieść taka po świecie ozniesła! Taka by jyno cyrniawa hań stała. I kose by prasnon, nie bałby sie, cy mu zaleje.

— Anibyś drógom nie przeseł, telo by na koniu jehał, nacyrpał w obońki i wióz ku hałupie.

— Nagorzyj by jyno na tyk béło, co po więzieniak siedzom. Kieby sie taki dowiedział, to by umar ze zalu, co przez niego wypijom.

— Ale ci powiem, Symuś! Ale by sie tys tém głownym pijakom ocieliła krowa! Z dziecyskami by przíseł, a i babe by w doma nie ostawiéł.

— Hoć kulawy, to by laz, a i ślepy by tu macał!

— Straśnie by sie moc luda bez ten pijatyke wykróciło! Biskupi by musieli nakazować i księdzowie z ambon wołać.

— Starostowie z Nowego Targu i z Ciorśtyna by musieli hajduków posyłać, coby dostępu bronili.

— Haj! Ono by sie i wojsko zdało! Bo kiedy sie chłopi na to uzdobirali, to by ka jaki hajduk na ziemi lezał. Słuzbe by odrobił dubelt!

— Wiera by odrobił! Do poruseństwa by przisło, jakby na siéłe bronili. Boby hłopi pedzieli: coz haw komu do tego? Dy to piwo nase! Cyś go ty warził!?

— Prawda! Co by sie haw wto miał do tego wrazać! Woda béła wse gazdowska, to i piwo gazdowskie!

— Miałby sie wto opowazyć twoje własne piwo ci bronić pić?!

— Ja by temu dał! Przi sam Panu Bohu, tu byk bestyjom zabiéł!

— Wojewoda z Krakowa by zołmirzów posłał. Ludzi by karali. Za wojaka byś wisiał.

— A za jednego powiesonego to by sie do siódmego pokolenia ludzie mścili. Ja by mu haw pokazał za własne piwo we stawie ludzi karać!

— Krew by sie lała potokami!

— Całom Polskom by skróś tego piwa zmącili. Król by uciekać musiał.

— Prawda, zeby sie nie osiedział, kieby sie cały wóz ozkierendał.

— Co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem, Symuś, rebelija by béła jesce nie taka, jako teraz skróś Kozaków. Ale to sie nie stanie.

— Dyć ja wiem, ze sie nie stanie, ale o cémze by my radzili...

Tak w ciepłą, długą wiosenną noc stary Jan Topór Jasica z Hrubego i stary Szymon Krzyś z Olczy, siedząc przed Toporową chałupą i na gwiazdy patrząc, rozmawiali.

Gwiazdy świeciły nad nimi, nad Koszystą, nad Buczynowymi Turniami, nad Świnicą.

Olbrzymi las czerniał popod góry, popod hale, las, który się zdawał nie mieć końca, początku ani wieku; bo pnie w nim z pniów na pniach spróchniałych rosły.

Wiosenny wiatr nocny powiewał starcom w twarze i muskał długie, masłem wysmarowane, na ramiona spadające włosy.

Ujął Krzyś w rękę leżące obok skrzypce, od wędrownego Cygana nabyte, a przez Cygana podobno gdzieś aż we Lwowie ukradzione, przedmiot podziwu i zazdrości wszystkich muzyków góralskich, i lekko brzęknął w struny smyczkiem.

Wiedział on, czym Topora ucieszy i starodawną nutę cicho zagrał.

Przysłuchał się Topór, pokiwał głową i rzekł:

— Hej, z tąm to wej nutom za króla Stefana, Panie Boze mu ta grzyhy odpuść, wybranieccy hłopcy na wojne moskiewskom śli.

I zanucił pod nosem:

Hej, kie my sie rusymé, ej, z wirsku do doliny,
ej, wroga pobijemé, ej, zoden nie zginiemé...
Ej, w doliny, w doliny, ej, wybraniecki hłopce,
ej, do króla Stefana, ej, pod moskiewskie kopce...
Ej, od madziarskiej strony, ej, poduhuje wiater,
ej, nas Stefan Batory, ej, jako oreł z Tater...
Ej, Stefanie Batory, ej, prowadzze nas, prowadz,
ej, bo my nie budziemé, ej, krwie naséj załować...
Ej, Zomojski hetmanie, ej, wielgomozny panie,
ej, dałeś mi prok, strzelbe, ej, dzieńkujem ci za nie...

Ej, budzie jar, budzie jar, ej, budom rolom orać,
ej, wybraniecki hłopiec, ej, budzie masiérować...
Ej, włosy moje, włosy, ej, moje zółte włosé,
ej, nie bedom otrząsać, ej, popod bucki rosel...

Tak cicho nucił za cichą Krzysiową melodią, wtem dobył głosu i na odmienną nutę huknął:

Dziewcyno kohana, mas biołe kolana,
bassamterremtete! jak na wodzie piana! Hjjheuu! —

i to go zgubiło.

Albowiem w te razy zgrzypły dźwiérze i wychyliła się z nich głowa Toporowej Marty, Sobcakówny spod Kopy z domu, Janowej żony, i gromki głos się ozwał:

— Wiés go! Smyku! Bedzies haw holofił po nocy? Spać!

— Krzyś... Dyj haw Krzyś — próbował mamrotać Topór.

— Krzyś nie Krzyś, nieg idzie spać! Pościelone ma w izbie. Spać!

Ruszył się Topór z ławy, mruknął do Krzysia, a to dla salwowania honoru:

— Z babami narabiał nie bedzies! — i postąpił ku drzwiom chałupy, a Krzyś, odmruknąwszy po rozumie:

— Bajtoć! To nie hłopska rzec! — gęśle pod pachę wziął i za nim poszedł w gościnę. Bo Krzyś na posiady, w odwiedziny, do Toporów rad przychodzował i rad był zawsze witany, tak dla humoru, jak dla pięknego grania na gęślach, jako też, że nikt tak szczerze nie podziwiał, subtelnie i przyjemnie bogactw i dostatku Toporów nie chwalił, a komplementów obojgu nie zdołał prawić.

Ale po drugiej stronie domu, za bramą obory okolicznej, pobudowanej tak, że gdy się wrota wielkie wjazdowe zaparły, żadnych drzwi na zewnątrz, żadnego okna nie było, a stąd równie złemu człowiekowi, jak wilkowi i niedźwiedziowi

niepodobnym był przystęp, na skamieniałym odłamie cisowego pniaka, co, jak starzy ludzie mówili, tysiąc lat miał mieć, również w gwiazdy pozierając, siedziały wnuczka Toporów, dziewiętnastoletnia Maryna, i jej krewniaczka, ciocana, cioteczna siostra, młodsza o rok Mrowcówna Teresia, także w Hrubem rodzona, co się do nich nazywało do Sikory spod uspiska.

...Rzeźwa, jasna, złota woń szła we wczesne, słońcem błyszczące rano z polanki pod Kopieńcami w świetlne, błękitne niebo. Iskrzyły się rosy na trawach, ziołach i kwiatach, kwiatach wonnych, białych i różowych, błyszczały na igłach rosnących wraz cisów, jodeł i świerków, na czarnych, podłużnych liściach wierzb górskich i zielonych, pierzastych liściach jarzębin, lśniły w słońcu. W przepysznej świeżości rannej stały obok siebie ogromne buki i szeroko-konare jawory, dostojne i majestatu twardej siły pełne, a obok bielały brzozy białopienne i olsze splątane zielonymi liśćmi.

Młódź drzewna, w gęstą, zwitą splećć związana, miejscami zbite, zwarte krze, chuściaki, gaje, wrzeć się zdawały rozpędzoną mocą wzrostu i bujnią soków życiowych. Polanka otoczona była wałem drzewnym, koronami i pąkowiem lasu.

Olbrzymie paprocie i łopuchy zarzuciły ją z kraju drzew, a wysokie szczawie i smukłe kiście i łodygi paśnej trawy ponad niską murawą zieleniły się jako podłoże i baldakimy kwiatów. Rosa szkliła świat, ziemię u nóg.

A wysoko lśniły się w słońcu obfite w żar przezroczysty, śniegiem jeszcze osypane, zawisłe w przestrzeni wysoko na zwiewnych mgłach seledynowych, nad ciemnymi lasami szafirowo-promienne skały, tak lekkie i lotne, jakby wiatrem niesione, w radosny niezmiar nieba wcięte. Całą polankę napełniało wesele i szczęście wiosennego rana. Nieujęty urok rozwiał się we fale promiennego powietrza.

Tysiące drozdów skalnych, okowiaków i mazaków śpiewało, których dźwięczny, cudowny, mocny gwizd rozdzwaniał las dookoła. Zdało się, że każda kropla rosy brzmi, każde drzewo, cicho stojące, dźwięczy. Śpiewające powietrze błękitniało nad ziemią.

Niezmierny, niezmącony spokój oprządł uroczysko. Cicho, wolno z gęszczu wyszedł jeleń i przekroczył przez polankę, unosząc olbrzymie, rosochate rogi w inną stronę gęstwiny.

Ze starą, poszczerbioną dziadkową kosą, prosto przymocowaną na drzewcu, wziętą od wszelkiego wypadku z domu, wsparta na niej, stała Maryna Toporówna i patrzała w świat. Nie wyszła ona po cokolwiek, przez wiosnę szła z domu na tę polankę, na słonecznisko śródleśne. A kiedy ją owoniały ziemia i las, ośpiewały ptaki, oświetliło słońce i obłękitniły góry hen skalne, wówczas z piersi jej wypłynęła pieśń:

Hej, Janickowa krasa rada owce pasa,
we dnie po dolinie, w nocy przi dziéwcynie...

I taką ją śpiewającą z dala usłyszał w gęstym lesie wojewodzic Jan Sieniawski, samotrzeć się na górskim, z Hiszpanii za nieprzepłacone pieniądze sprowadzonym niewielkim koniu snujący popod Tatry.

Błędnym rycerzem przezywała go rodzina i znajomi, albowiem z pół-przyjacielem, pół-sługą swoim Sulnickim i hajdukiem Tomkiem tygodnie, a czasem miesiące całe wędrował on przez lasy i pola, dróg nie pytając, upolowaną zwierzyną się żywiąc, po zamkach pańskich albo i po chłopskich stodołach na sianie nocując. Sześć psów gończych przy koniu szło, tak tresowanych, że żaden bez znaku nawet na widok zwierza nie ruszył, prócz tego wyżły dwa i cztery olbrzymie w Anglii zakupione dogi, którymi szczuć dzika było miło, a które i do obrony służyły. Albowiem w tym otoczeniu wo-

jewodzic Sieniawski, półbóg z Sieniawy, jako go księżne i hetmanówny w Warszawie i w Krakowskiem zwały, przejechał świat od północnych bagien i jezior pruskich i litewskich, aż po Żelazne Bramy Dunaju, Dzikie Pola i goszczony przez grafów i fuerstów niemieckich aż po Ren.

Ale najraczej wędrował on przepastnymi puszczami Karpat, bijąc odyńce, walcząc z niedźwiedziami i szukając przygód miłosnych z urodziwymi mołodyciami na Rusi, z bujnymi góralkami w Polsce. Oprócz tego od wczesnego chłopięctwa kochał się w wojewodziance Beacie Herburtównie, z którą się we właściwym czasie ożenić chciał.

Sierotą był i samodzielnym panem tak olbrzymiej fortuny, iż ledwie ostrogska ordynacja ją przewyższała, a ni Zasławscy, ni Radziwiłłowie, ni książę Jeremiasz Wiśniowiecki, — któremu sam czynsz roczny z 39.610 poddanych zadnieprskich, nie licząc mnóstwa futorów, folwarków ekonomicznych i 423 młynów, nie licząc podatku z szynków, zboża, miodu, bydła, zwierzyny, ptactwa po jego dobrach, milion dwakroć sto tysięcy złotych przynosił — nie byli bogatsi. Wydawało mu się też wszystko równo, jak mówili współcześni, i mało kogo za równego sobie z rodu poczytując, o książęcy tytuł, do czego go namawiano, dbać nie racząc, wszystko za dostępne i możliwe dla siebie miał.

Był Jan Hieronim Zygmunt August Sieniawski wzrostu wysokiego, w barkach szeroki, ale w postaci smukły, o włosach ciemnych w loki z przyrodzenia krętych, nos miał orli, pod nim wąsy młode z polska puszczone, a oczy jasnobłękitne, świetnie promienne, kiedy chciał ciepłe i słodkie, kiedy chciał srogie i straszne, z przyrodzenia dumne i nieulękłe. Twarzy był jasnej, pociągłej.

Z Herburtówny zrodzony dwie miał tradycje w pochodzeniu: jedną, że Herburtowie, gdy marli, dla dzielności w orły



się siwe przemieniali i orłami opuszczali świat ziemski; drugą, że gdy się rodzi Sieniawski, piorun w najwyższego dęba okolicy bił, aby go nie zacieniał koroną.

W swej woli i potędze rosnący, ledwie się królowi Sieniawscy uchylali, a Jan Hieronim, za kwiat rodu uważany, kwiatem się rodu swego znał.

Jednak obok buty, pychy i awanturniczości, melancholia go nachodziła nieraz, a wówczas nikogo przy sobie nie znosił. Jeśli był w zamku, ostrożnie się mu trzeba było na oczy pokazywać; jeśli na łowach, opuszczał myśliwych nic nie powiedziawszy; jeśli na samotnej ze Sulnickim i pachołkiem wędrówce, znikał im z oczu z ogarami i czasem tydzień minął, nim się spotkali znowu. Tkwiły wprawdzie w olstrach przy jego siodle pistolety, rusznicy jednak nie brał, tylko łuk i strzały, niechybne w jego ręku, i jeśli ubił zwierzynę, to go huk nawet nie zdradził. Często starając się dyskretnie pana śladami iść widzieli go z daleka Sulnicki i Tomek, jak na ogierze swoim hiszpańskim pomiędzy psami gdzie wysoko na połonince lub polance stał, czasem w noc księżycową, a czasem silny jego głos gdzie z lasu ich doleciał, gdy śpiewał:

> Wdzięcznej młodości niespełnione żale,
> kędyż po bystrym świecie mię nosicie...

Gdy Sieniawski, właśnie tak towarzyszów odbiegłszy, Marynę Toporzankę o kosę wspartą spomiędzy jodeł i smreków ujrzał, psyknął na psy i harapem im pogroził, po czym konia pocisnął i naprzód ruszył. Na skraju lasu się zatrzymał. Nie chciał on przerazić dziewczyny ani spłoszyć, już zaś krew w nim wrzała i żądza doznania rozkoszy natychmiastowej pierś mu rozdęła.

W kieszeni od rajtuzów dłonią po czerwonych złotych, których tam garść nasypana była, przesunął, kołpaczek letni poprawił i patrzał.

Po chwili z konia zeskoczył, psy na smycze wziął i do drzew poprzywiązywał i świsnąwszy nad nimi harapem, aby przestraszone nie rwały się za nim, nazad na konia wsiadł i z lasu powoli wyjechał.

Z daleka kołpak zdjął i ku dziewczynie nim na powitanie, na dobrą wolę, powiewał, ale ta nie lękała się snadź, lecz jak była wsparta o stylisko kosy, tak stała, z chustką żółtą na ramiona opadłą, w białej, wyszywanej czerwono na ramionach koszuli, w niskim do pół piersi, z błękitnej materii w srebrne naszywane kwiaty gorsecie, rozchylonym na przodzie i zasznurowanym amarantową tasiemką, w ciemnogranatowej w niebiesko-biały deseń tłoczonej spódnicy. Włosy we dwa warkocze splecione po plecach aż poniżej tyłu spływały, stopy obute miała w białe onycki i w żółte kierpce, wełnianą czarną taśmą po płótnie kręto przypięte.

Dopiero bliżej podjeżdżając, jej przepysznej górskiej piękności zadziwił się Sieniawski, miała bowiem cudną jasną twarz nad białą szyją i wyniosłymi półkulami piersi, a biodra kryły niewypowiedziane ponęty. Spod gęstych ciemnoblond brwi, nisko zbiegłych, ogromne szafirowe oczy patrzały śmiało i bystro.

— Niech będzie pochwalony! — zawołał podjeżdżając Sieniawski.

— Na wieki wieków! — odpowiedziała dziewczyna.

— Dzień dobry! Dobrze jadę? — wołał Sieniawski, świadomy fortelów.

— A ka? — zapytała dziewczyna.

Rozśmiał się Sieniawski i rzekł nieroztropnie:

— Przed siebie.

— Starajcie się o nos, bo hań las — odpowiedziała dziewczyna.

— Ja bym tu nim wprzód rad uwadzić.

— Coby ino nie scyrniał!

— Twardo tak?

I najechał blisko koniem.

Ale dziewczyna zagrodziła drogę do siebie kosą w poprzek.

Sieniawski zeskoczył z siodła i oszołomiony żądzą, zbliżając się, bełkotał, sam widocznie nie wiedząc, co gada:

— Tak twardo? Tak twardo?

Maryna nie cofała kroku, tylko przesunęła szybko kosisko w ręku tak, że ostrze znalazło się wzdłuż naprzeciw Sieniawskiego.

Przystanął i roześmiał się głośno.

— Zacięłabyś mię? — zapytał z góralska.

— Zatnem.

— A wiesz, kto ja jestem?

— A to mi syćko jedność.

— Wiesz ty, że ja mam sześć tysięcy własnego wojska?

— Ale nie tu. A ja mam kose!

— I że mam więcej niż sześćdziesiąt tysięcy poddanych gospodarzy?

— Ale ja wolna, królewska!

Sieniawski sięgnął do kieszeni i wydobywszy dukata o kosę nim brzęknął.

— Słyszysz? — zapytał.

— No?

— Dukat.

— Ej ha! Raty! My haw złota nie widzieli! — zadrwiła Maryna.

— A skąd?

— A z haństela — i Maryna wskazała na Tatry, ku Węgrom.

— Zbójeckie?

— A pan co myśleli? Ze oń pytać pudziemé?

— Sto dukatów ci dam — rzekł.

— Za co?

— Za ciebie — szepnął namiętnie.

— Za mnie? Ja nie warcem nic, abo świat.

— Jak to?

— Wto mnie nie miłuje, to mu nie stojem za nic, wto mnie miłował bedzie, tok mu za świat cały.

— Zamek mam z pięciu wieżami — chcesz w nim mieszkać? — rwał Sieniawski słowa ze zduszonej piersi.

— Moje wieze wyse i więcél ik — wskazała ręką Tatry.

— Uzłocę cię, ubiorę w perły, w diamenty!

— Ej ha! — przydrwiła Maryna. — Kie ja do wody do potoku wlazem, to po mnie perłów, diamentów dość!

— Kochać cię będę! — krzyknął Sieniawski.

— Wiedzom pan, jako u nas powiadajom? Zakohał jom, jak sydło mróz.

— No to cię porwać każę, zuchwała dziewko!

Maryna obejrzała się szybko, myśląc, że może służbę ma ten pan za sobą i wymierzywszy sztych kosy prosto w piersi Sieniawskiego rzekła:

— Gwiźnij!

Oczy jej przy tym zaiskrzyły się tak, że można było uwierzyć, że uderzy.

— Jestem sam, nie mam nikogo — rzekł Sieniawski, w którym mimo woli zabiło serce.

— No to wiédz pon: u nas co Topór — to topór!

— Jakże to?

— Ja z Toporów mam ród, z Hrubego. Mój brat i nascy hłopi by mie pod ziemiom naśli!

Roześmiał się Sieniawski. Gdyby miał był pod ręką Sulnickiego i Tomka, byliby dziewkę porwali, choćby dla przekonania się, jak to jej chłopi z Hrubego szukać będą i jakby

wypadła wojna między Sieniawskim a Toporami. Ale sam tego wobec kosy uczynić nie mógł.

— Jeść mi się chce — rzekł, aby jakoś rozmowę dalszą umotywować.

— No to jedźcie do nas, do hałupy. Bo tu nié mas nic.

— Ugościsz mię?

— Wdzięcnie.

— A nie gniewasz się o to, com ci mówił?

— Młodziście, toście głupi — rzekła Maryna zamykając kwestię. — Pocie!

Ale gdy Sieniawski po ogary ruszył w gęstwę, aby je zabrać ze sobą, Maryna zawołała:

— O, to na nic! Ze psami! Boby ig naskie owcarskie potargały!

— No, to jakże? Psów zostawić nie mogę.

— To nic. Ostańcie haw przi nik, a ja haw jeść la was i la nik doniesem. Słóżcie watre za tela.

Zwróciła się i z kosą na ramieniu w las wstąpiła.

Ale Sieniawski ognia nie kładł, tylko popręgu koniowi popuścił i wędzidło podpiął, aby się paść mógł, po czym na trawie na wznak legł i o młodym, gibkim, jędrnym ciele Maryny myślał.

W pół godziny, albo mało co więcej, wypadła ona z lasu okrakiem oklep na koniu, w pełnym galopie, z workiem i koszyczkiem w jednej ręce, w drugiej z siekierą. Gnała z leśnej drogi polaną, co koń, niski, krępy kasztan, mógł wyskoczyć.

— No a kaz watra? Coście haw robili? — wołała z daleka. — Kaz watra? Jest haw bób, fasola, spyrka, placek, la psów tys w rąbiaku. Cyście spali? Jakisi s was papęziak!

Sieniawski z trawy wstał śmiejąc się, a Maryna zwłóczyć chrust na ogień zaczęła. Z pomocą jej siekiery i podróżnego toporka wojewodzica w mig olbrzymia watra buchnęła. Do-

był Sieniawski wino i wódkę z troków, spyrkę nożykiem krajał i na patyku skwarzył; popijał. Za ten czas bób i fasola się gotowały.

Ucztę miał smakowitą, w kłębach dymu, wśród iskier trzaskających z żywicy.

Gdy się posilił, Maryna z pustoty świeże smolne smreczki i jodełki ciąć zaczęła i na ogień je ciskać; skoczył i Sieniawski do tej uciechy. Wybudowali stos na człeka wysoki, że się zdawało, iż płomień i dym w niebo bije.

Ogary podrażnione jak na pożar wyć zaczęły.

Tak się poznali.

Minęło temu dwa lata, na samym początku wielkiego maju (czerwca).

Nikt o tym nie wiedział, tylko Teresia, powiernica.

I długo w noc czerwcową za chałupą siedząc, szeptały dziewczęta o „panu“, który się jeszcze tego roku po zimie nie pokazał, choć zawsze, gdy tylko śniegi stajały, przybywał w te strony.

— Wto wié? Moze sie ozeniéł? — mówiła Tereska.

— Ja by jego i jom zabiéła! — odpowiedziała Maryna.

W izbie zaś, korzystając z tego, że gaździna, stara Marta, „Sobcockula“, zasnęła, a przy tym trochę przygłucha była, stary Topór, któremu sypiać w nocy nie dawała, z Krzysiem na pościeli leżącym rozmawiał w ciemności.

— Śpi?

— Śpi.

— To wrodniak taki cujny jak pies, telo ino co głuhawy, to moje babsko — szeptał Topór. — Twoja Byrka słisy?

Bo Krzyś od Byrcarzów z Gładkiej żonę miał.

— Słisy. Kiebyk ino napity du domu przziseł, hoćbyk jak kot pocihućku laz, wié!

— Wis, wis, wis? — zacudował się stary Topór. — I co robi?

— Je klnie. A case to i z pościele na pośród izby stusi!

— Wis, wis, wis! Stusi padas?

— Bo to wiécie noge w łydku ma jak barani zadek! Byrka i Byrka!

— He wiera! Taka cie wyonacy! Moja ta dziękować Panu Bogu nowysemu telo dobrze, co huda. Siéły już takiej nié ma.

— He, Byrka to se tak jyno pokracuje po izbie. A hoćbyk jako domarźniony w zimie béł, kie z lasa przyjade, to se jyno pod noge wlazem, to mi ciepło.

— Hej hłopce! Co ci powiem, to ci powiem, ale ci powiem: ciepło! — rzekł Topór z zazdrosnym znawstwem.

— Jak niedźwiedziowi pod wykrote.

— To, to, to! Wis! Kieby to Sobcockula taka béła! Ale to scypki!

— Dopiéroście se kwalili, co je huda.

— Hej, wiés, człekowi biéda dogodzić. To by fciał i hańto. Temu to wej padajom: nie wierz lewemu oku, zakiel sie prawe nie przipatrzi, a pote obu!

— Terezeście wej, Janie, dobrze padzieli! Wy macie głowe! — rzekł Krzyś z wielbiącym przekonaniem.

— I ciepło ci hań?

— Ciepło.

— Pod nogom. Hm...

Zamyślił się.

— Symek! — ozwał się po chwili.

— Co?

— Ja se to tak uwazujem, aj uwazujem, co jakby béło, tak by béło, zawdy tłuściejsa baba lepsa.

— Wy macie rozum! — rzekł Krzyś, ale już sennie.

Po cieple przyszło zimno, a potem znowu ciepłe dni, nieomal jak w Jakubskim miesiącu (lipcu) nastały. Po czym pewnego popołudnia szybko od północy ku południowi ciemne chmurki zaczęły nad hale wybiegać, stawiać się nad nimi i pierzyć, i głuche, jednotonne huczenie z gór poczęło się toczyć w dół. Szedł halny wiatr.

Wzmagał on się poza wierchami i runął w dół, gorący, nieodparty, nawałny, miecąc tumanami chmur i gęstą, rzęsistą siekawicą. Uderzył z taką mocą, aż las pokłonił, ustał i znowu runął. I tak z przerwami, już potem suchy, bez deszczu, obalając jasienie i lipy przy chałupach, rwąc dranice z dachów, krócąc las, dął przez noc i dzień aż do południa, tłoczył spoza krzesanic kłęby chmur na przewyrt w doliny i krył w pomroce, w mroku chmur, Tatry. A gdy deszcz po nim, mocna wiosenna lić dwie doby przelała i słońce się ziskrzyło na niebie, gazdowie spod Świnicy i Giewontu uznali, że czas już ku Stawom statek wygnać, bo śniegi wyginęły i Kopa Magóry radośnie zazieleniała.

Było to w początku wielkiego maju.

Wzięto się więc do mycia i czyszczenia sprzętu szałaśnego, kotłów miedzianych, pucier, gielet, drewnianych naczyń z pałąkiem do dojenia owiec, oboniek, płaskich okrągłych naczyń do zwozu mleka, skopców, czerpaków. Juhasi poczęli smażyć w maśle koszule i strugać strzały, naprawiać kołczany; kto miał, to opatrywał rusznicę lub pistolety na krzemień. Powszechny ruch, powszechna wesołość nastała. Już do Toporów, do Sobka, wnuka Janowego, po trzeci raz przez gazdów z Hrubego, z Olczy, z Ustupu, od Bachledów, spod Kopy, od Sobczaków, od Walczaków, od Tatarów, od Gąsienic wybranego bacą, poczęli się schodzić juhasi dawniejsi i świeżo nastali. Były rady, narady, nauki, a osobliwie udzielał ich stary Kret z Ustupu, juhas odwieczny, którego

nikt młodym nie znał i któremu mogło być nawet wyżej stu lat.

Na wtorek trzy dni przed Zielonymi Świątkami naznaczył baca dzień miesania. Ze wszystkich osiedli w pobliżu Hrubego zegnano owce na polankę przed domem Topora Jasicy, gdzie czekali już na nie baca Sobek i juhasi. Tam każdy gazda oddawał swoje stadko, a potem zmieszano wszystkie owce razem do wielkiego zagrodzenia, koszaru. Jeden juhas wziął koronkę w rękę, drugi z zagrody owce puszczał, licząc, a gdy krzyknął z orawska: desat! — juhas paciorek różańcowy przesunął. Owiec było tysiąc dwieście, które bacy gazdowie na lato powierzali.

Osobno stały krowy z pasterkami i młode woły z wolarzami, do szałasu należącymi. Szałas nadawał nazwę tylko pastwisku owiec. Stało i kilkanaście koni, mających lato spędzić na hali.

Z mrocznej, szarej mgły wyłaniały się wierchy, bystro słońcem złocone, w pełnym obłoków niebie tonące. Liliowosine i fioletowe były te obłoki, które wiatr po szafirowym niebie gnał. Bo wiatr dął silny w to rano wygnania na halę.

Wierchy jakoby się ścigały z obłokami, to miały je przed sobą, to ginęły w nich; to znowu ponad szczytami skłębił się tuman kolorowy, a czasem rozbił się w strzępy i rozleciał właśnie w chwili, kiedy blask słońca ugadzał, jak gdyby złotawy ryś wpadł między stado barwistych cietrzewi, sinogarlic i dzikich gołębi na kępach podkrywańskich.

Mnóstwo bab, chłopów, dzieci zebrało się żegnać juhasów, pasterki i swój dobytek. Matki całowały córki, ojcowie upominali synów, ażeby trzody warowali przed wilkiem i niedźwiedziem, bacy słuchali, ze zbójnikami, jakby przyszli w odwiedziny, byli grzeczni, co polecali tym więcej, że niejeden z nich sam za młodu „za buczki“ chadzał.

Stara Baganta dawała dziewkom ziela od uroku, od porobiska, tak dla człowieka jedne, jak dla bydlęcia drugie, nieodbyte, gdy się rozdętemu świeżą trawą bydlęciu spałtek, kawałek drewna, w pysk kładzie a boki gniecie. Brali i juhasi ziela, srebrne pieniążki dając, choć klęte naszyjniki na szyjach nosili.

Ten ów na owce, na statek swój spoglądał, baby krowy po karkach głaskały, osobliwie cielęta przez zimę podrosłe; smutno się im z nimi było rozstawać.

O pogodzie możliwej radzono, lato przepowiadano mokre zrazu, potem aż do jesieni suche i upalne.

Owiec zegnanych do kupy pilnowały już psy wielkie, kudłate, o wilczych mordach, białe, z obrożami kolczatymi na karkach, i obstawili je sobą juhasi zbrojni w ciupagi z brzęczącymi mosiężnymi kółkami na tylcu toporzyska, w kije opalone na czarno, śperulce, oblaki bukowe, sękowce ze smreka, siekańce nasadzane krzemieniami, buńkosie, maczugi obite mosiężnymi kółkami, wesołe brzękiem przy pochodzie, straszące owce, a straszne jako broń.

Na głowach mieli małe kapelusiki czarne, okrągłe, płytkie, z wąskim skrzelem, wysmarowane tłuszczem, z kostkami z morskich muszelek białych naszytymi na rzemyk, lub z mosiężnymi łańcuszkami, owitymi dokoła dla oporu na wiatr; ten i ów w kołpaku baranim w kształt perski, kostkami, paciorkami, koralikami oplecionym; włosy wymaszczone, na ramiona od uszu dwie kiecki, huncfuty, we warkoczyki plecione, w paciorki i koraliki zdobne; na szyi brembulce, naszyjniki z kamyków, kulek i kawałków mosiądzu; koszula spięta blachą mosiężną z łańcuszkami, trzpieniem przekłuta, od pasa do pachy pas z pięciu żółtymi mosiężnymi klamrami, z ciemnej brązowej skóry, nabijany świecącymi mosiężnymi i srebrnymi guzikami, za pasem noże z trzema bulkami z mo-

siądzu na trzonku, u poniektórego pistolet. Koszula w maśle usmażona, czarna, połyskliwa, z rękawami rozszerzonymi ku pięści, że gdy chłop stanął, do kolan opadały kutasikami zdobne, krótka, że ledwie spod pasa nad portkami rąbkiem wystawała, a często gęsto chłop gołym bokiem i brzuchem błysnął. Portki białe, ze zaszczepkami niebieskimi i czerwonymi z włóczki, wąskie, obcisłe, w onycki wpuszczone i rzemieniem okręcone w pół łydki, na stopie kierpiec z jednego kawałka skóry. Przez ramię torby juhaskie z wełny czarnej i białej plecione, frombiami (frędzlami) zdobne, u niektórego rusznica na krzemień, ale z rzadka, zresztą łuki długie i kołczany strzał pełne, zręcznie z łyka smrekowego plecione.

Ten i ów zaś to kobza skórzana, to piszczałka z wierzbowego drzewa, to fujera lub trombita długa niezmiernie, czasem na półtora chłopa zdłuźć, rozszerzona u wylotu; tę osobliwie wolarze miewać lubili. Chłopy same rosłe, smukłe, gdzieniegdzie olbrzym dwie stopy nad sążeń, to znowu chłop jak pniak, zebrany w sobie, krótki, a z plecami jak ława. Na ramionach serdaki, guńki białe, krótkie, nijako nie wyszywane; ten i ów kożuch na plecy odział.

Przy juhasach młode chłopcy, gońcy, czyli honielnicy, uczniowie na juhasów.

Zaś pasterki miały koszule białe, cyfrowane czerwoną lub czarną grubą nicią na ramionach, spodnice ciemne, wytłaczane w białe kropki, zapaski różowe; nogi w kierpcach, tylko nie rzemieniami, ale czarnymi grubymi wełnianymi sznurami, nawłokami, owite, na ramionach chustki, zapaski, stare guńki ojcowe, stare kożuchy macyne. Mało która piechotą, ale okrakiem na koniu na drewnianym siodle, na nim przewieszone obońki, garnki, skopce, rajtoki, worki z mąką. Tu znowu koń objuczony kotłami żelaznymi do gotowania strawy, sprzętem juhaskim, przyodziewą męską, dziewecką,

zapasami we workach. Przytroczona do siodła tu i owdzie rąbanica krótka z szerokim obuchem, wygodniejsza od ciupagi do domowej roboty. Dziewki, co pieszo szły, na długim lejcu konie trzymały.

Dziewki bujne, urodne, piersiste i zadziste, aż się spodnica jak bruzda między kępami dzieliła. A twarze rozmaite. Jedne podłużne, ciemnowłose, czarnookie; inne o włosach jasnych, oczach niebieskich, krótkie i kwadratowe, z mocno wystającymi kośćmi policzkowymi; nosy najgęściej orle, nie za długie, wspaniałe, o wąskich nozdrzach. A tak u chłopów jak u bab twarze śmiałe, przytomne, myślące, pełne energii i ochoty.

Ruch był. Juhasi oganiali owce do kierdela, a raz po raz który z radości, że już w hale idzie, pokrzyknął, gwizdnął lub ciupagę zberczącą mosiądzem wysoko ponad głowę rzucił, że zawarczała młyńcem w powietrzu i w rękę mu z brzękotem spadła.

Stał baca, Sobek Topór od Jasiców Toporów, Janów wnęk, Marynin brat, jak buk pomiędzy gromadą. Ruszać już trzeba było, bo słońce wychodziło coraz wyżej.

Wzrostu nie był nadludzkiego, jak kilku olbrzymów, ale imponująco głową ogół przenosił, barków potężnych, a ciemna jego, wąska, orla twarz z nosem zgiętym ku wąskim ustom, harda, miała zuchwały wyraz, jakby z magnatów i rycerzy pochodził. Podobne do Maryninych szafirowe oczy spod ciemnych włosów, z ciemnej twarzy świeciły jak ognie.

Bacą był już trzeci rok na wspólnych halach pod Kopą Królowej i przy Stawach, choć dopiero dwadzieścia pięć lat sobie liczył, gdyż rozumem, odwagą, męstwem, siłą, a przy tym rzetelnością wszystkich przewyższał. Starzy chłopi na bacostwo go wprowadzili, a starsi juhasi chętnie słuchali i poważali.

— Łop! — mówił patrząc nań do Krzysia dziadek Jan, który przed izbą stał.

— Łop! — odpowiedział Krzyś.

— Taki był i nieboscyk ociec, kieby bél zył.

— Ja takiego hłopa jyno raz w Luptowie widział, kiek do Budzyna na robote seł. Kamieniami młyńskimi sie bawił — rzekł Krzyś chcąc pochlebić.

— Ej ha? — zadziwił się Jasica Topór z niedowierzaniem. — Kamieniami młyńskimi? Cy zaś nie śklis, Symuś, dziecko?

— Naozaist! Jeden kamień podrucował, a drugi hytał.

— Cie! Cie! Cie! — dziwił się Topór.

Sobek się kamieniami młyńskimi nie bawił, ale pięścią najokrutniejszego buhaja głuszył i na plecy zarzucić mógł, był zaś przy tym na podziw lekki w tańcu i skoku i szybki w biegu, co przy takiej sile ludzi zdumiewało. Jeden tylko Janosik Nędza Litmanowski go przewyższał, ale z Janosikiem się nikt nie równał.

— No, cas! — rzekł popatrzywszy na stado uporządkowane i na słońce i niebo.

I skinąwszy na starego Franka Bundę z Kotelnicy, który mu kropidło podał i kotlik miedziany ze święconą wodą, co po nią aż do Szaflar biegał, bo jej bliżej nigdzie nie było, podstawił, szedł przed nim dookoła owiec, kropiąc je i modląc się o błogosławieństwo i zachowanie od nieszczęścia, po czym, na czoło pochodu wyszedłszy, krzyż ciupagą przed stadem na drodze uczynił i do góry ją ostrzem wzniósł.

Błysnęła stal pod słońce, a to był znak.

— Ostajcie z Bogiem! — krzyknął Sobek do pozostających.

— Boze prowadź! Zegnaj Panbóg! Z Pane Boge! — odpowiedziały mu sętki głosów.

Zadęli juhasi i wolarze we fujery i trombity, zabrzęczeli na kobzach, gwizdnęli na piszczałkach, zadźwięczeli na gęślach, zazberczały metalowe kółka przy ciupagach i obijane metalowymi obrączkami maczugi; huknęli ci, co nie grali, krzyknęły na krowy pasterki i klasnęli w bicze wolarze. Szczeknęły psy i zatętniał tupot racic owczych i bydlęcych i tętent kopyt końskich. Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście zagrały tysiące spiżowych dzwonków u szyi trzód. I pochód ruszył. Konno i pieszo otoczone stada, wiedzione przez bacę, naprzód w olbrzymiej wydłużonej gromadzie, potem krowy, potem woły poczęły się sunąć drogą przez Toporową polanę. A wraz rozległo się wyskanie, wysoki krzyk, pasterek i młodych gońców, i kilkanaście głosów przy jęczeniu fujar i trombit, rzępoleniu gęśli i piszczałkach, przy basowaniu kóbz zawiodło:

Hej, baco nas, baco nas, podź s nami na sałas,
popod białe skole, na ślebodnom wole!
Hej, baco nas, baco nas, powiedź ze nas hore,
bo my uzdajali w turnickak obore!
Hej, baco nas, baco nas, kielo baranów mas,
kielo mas owiecek, kielo mas dziéwecek?

Rozłamał się chór — mężczyźni zaśpiewali:

Hej, baco nas, baco nas, nie załuj nam mléka,
my ci przywiedziemé spod Krzywania byka!

Zaśpiewali mężczyźni, a dziewki odpowiedziały:

Hej, baco nas, baco nas, nie załuj nam syra,
co jo cie nie bedem do rania budziéła!

I znowu chłopi:

Hej, baco nas, baco nas, nie załuj zyntyce,
my ci wybieremé uherskie piwnice!

I dziewki:

Hej, baco nas, baco nas, podzwól zatańcować,
co ci dam, to ci dam — nie bedzies załować!

I znowu chórem wszyscy:

Hej, w polany, w polany — kosiar murowany,
murowany kosiar — baca jako cysar!...
Huuhahahauuu!

Ale cudownie, melodyjnie, uroczyście grały tysiące spiżowych dzwonków u szyi trzód.

Stary Topór Jasica w szerokim pasie i jego żona, chuda, wysoka Sobcackula, i mały Krzyś w kapeluszu na bakier, o krzywych nieco w kolanach od siebie nogach, i setki chłopów, bab i dzieci stali na polanie i patrzyli, jak się pochód posuwał przez polanę ku lasowi, skręcał za drogą na lewo i prawo, aż się pierwsze owce zaczęły w lesie zanurzać.

— Idom — rzekł Topór.

— Idom — powtórzyła Sobcackula.

— Idom — zakończył Krzyś.

I wszyscy troje z rozrzewnieniem, miłością i tęsknicą za pochodem patrzyli. Stary Topór dwadzieścia lat, aż do śmierci ojca, kiedy mu już bogactwo odziedziczone czasu nie zostawiało, bacą bywał. Co się przy owcach naużył, napanował, nażył!... Stara Sobcackula tam była dziewką cudną i ponętną — tam przytulił ją ku sobie w ciemną noc Staszek Wraj z Cichego, dawno zmarły — tam bolesnej rozkoszy zaznała, przy Stawach, pierwszy raz w męskim uścisku leżąca... Jeszcze Topora Jasicy nie znała. Ale on później rad był, bo kiedy dziewkę parobcy radzi widzieli, to znać, że musiała być warta tego i że godną brał. Stary Krzyś co się nagrał tam, naśpiewał, przez trzy lata za gońca, przez dziesięć lat za juhasa

u Wawrzka Gąsienicy spod Kopy służąc, nim go potem w świat poniosło...

Tam przy Stawach najradośniejsze godziny przeżyli. Był to jakby raj jakiś zaczarowany. Dziećmi śniło się „o Stawach“, w juhasów bawiono, brzyski, wzgórza, to były turnie Świnicy, Kościelca, Granatów, Charnaś kudłaty musiał udawać niedźwiedzia, Zbójko wilka, woda w cebrzyku to był staw, ów staw czarny, wielki, posępny, nieprzeniknionej głębi, pustymi trawami i kosodrzewiną orosły, głuchymi turniami otoczony, którego jedyny ruch życia to była fala lekko marszczona, jedyny głos — huczący w turniach grom lub lecące spod nieba hurkocące głazy mrozem odcięte. Ów staw wiekuiście tajemny, jako król wieńcem jeziorek osnuty, w Pańszczycy, w Toporowym lesie, za Kościelcami pod Świnicą; jak okiem Zmarzłym Stawem w Kozie Turnie i w Granat patrzący, król, który snadź chyba wichrem ponad szczyty z równymi sobie wodami w Pięciu Stawach rozmawiał. Bo tak się, podług Krzysia, niosła mowa jezior, od jednych ku drugim, w Piarżystą Dolinę przez Mury Luptowskie, w Rybie i Oko Morskie ponad nim, ponad Miedziane i dalej het w Hińczowy Staw za Hruby Wierch Mięguszewiecki i het, het aż w słoneczne, leśne, zielonobrzegie nad jasną równią luptowską ploso Szczyrbskie, wodę nad złote zboża wyniosłą.

— Idom — mówił stary Topór.

— Idom — powtarzali stara Sobcackula i stary Krzyś.

Oni zaś szli, juhasi, pasterki, trzody, konie, z hukaniem, brzękiem, muzyką, śpiewem i cudowną grą tysięcy dzwonków. Rzucane w powietrze i chwytane w rękę migotały ciupagi. Tonęli w lesie.

Wąż jakoby olbrzymi, łuskami migocąc i brzmiąc, wsuwał się w nieprzejrzany, prawieczny las.

Idom...

Aż wchłonął ich głęboki mrok drzew.
Z lasu zaś jeszcze biegła juhaska pieśń:

Hej, idom se owiecki, idom se barany,
hej, idzie se za nimi juhas porubany!
Hej, porubane rence, porubane plecy,
hej, wtoze ig porubał? Przi dziéwcynie w nocy!
Hej, dziéwcyno kohana, z tysiąca wybrana,
hej, piéknie tobie hodzić we krwi po kolana!
Hej, gineni skróś tobie gazdowscy synowie,
hej, jaze cie pierunem zatrzaśli bogowie!...

Z coraz dalsza, z coraz dalsza słychać było jęczenie dalekonośnych trombit i zbyrkotanie spiżowych turlików i kłapacy.

— Idom — rzekł stary Topór, uczynił za pochodem ręką krzyż w powietrzu, schylił się, urwał garść trawy spod nóg i rzucił w stronę lasu szepcąc:

— Bóg daj! Bóg daj! Bóg daj! Dadźbóg, wielgomozny Boze! Panie dobrego losu!

Powoli wznosił się pochód lasem, aż rozwarła się przed nim Toporowa polanka, ta sama, na której pierwszy raz Maryna spotkała się z wojewodzicem Sieniawskim. Przepromienne słońce lało się na trawę i pachnące młode liście drzew, wycinane w rozmaity, śliczny kształt, nabrzmiałe soczystą zielonością i tak wesołe, że, jak mówił stary Kret, hnet byś rzók, jize świérgotać zacnom, jako sikory leśne. Nawet ciemne igły smreków, jodeł i cisów świetliły się pogodnie.

— Straśnie piékne to rano! — rzekł juhas Franek Marduła z Nad Potoka do Sobka, blisko którego na przodzie szedł.

— O bo piékne! Dobrze zwiestuje na całe lato.

— Kieby jyno Pan Jezus jasne dni a ciémne noce darzył — eh! niek cie co praśnie! pięć wołów z Cihéj Doliny nase!

— Bedom nam ta i luptowscy juhasi prógować kraść.

— Poprógujemy sie!

— Baca w Cihej sam ten co i łoni, Andryś Bleha. Pedział Sablikowi tak: powiédźcie Polakom za Liliowém, ize mam na to lato śtyrok takik juhasów napytanyk, co ś niémi samo pięć cały sałas Stawiański ozpierem!

— Ej ha! Telo sie wej tęzył?

— Trza sie bedzie warować. Straśnie pono piékne, bakiesiste owce ma mieć Andryś z jakiegosi dworu spod Hradku na lato dane. Wysy pięć sto.

— Ej ha! Bedzie w cém brakować!

Tak rozmawiali baca i jego towarzysz, Franek Marduła z Nad Potoka, najlepszy juhas, tylko że doić za niego trzeba było, bo nie umiał ani nie chciał, a i paść często, bo go raz po raz na hali nie było. Albowiem był ón wielki złodziej (zwłaszcza owiec i byków ze sąsiednich hal), zbójnik, tancerz, pijak, gładysz, bitnik i kochanek.

Sytka Mardułowie tacy: co u drugiego, to jego, co u tobie słowo, to u nik pięść, a co u kogo łyzka, to Mardułowi dziéwka.

Wiodła droga jeszcze lasem kęs pod górę, a potem się z niej Sobek wziął na prawo, w pérci.

Tam się owce poczęły wydłużać w nieskończony sznur, bo było wąsko, po boku się ledwie juhas pod smreczki przeciskał albo też w stadzie pomiędzy owcami z psem szedł. Gęstwa była straszna, drzewo nigdy nie cięte, chraścią, smędlakami zarośnięte i zatrzepane. Tysiąc dwieście owiec wyciągnęło się w biały i czarny sznur, kozy w nim, a za nimi jedna za drugą szły krowy i woły wielkie rogi między gęstwiną przedzierały. Od turlika pierwszej owcy do kłapaca ostatniego wołu dźwięczał i dzwonił spiż na ogromnej śródleśnej, błędnej w zakręty przestrzeni.

Bystrzej i bystrzej pod górę, między stary, choć coraz niższy las, gdzie się już wszelkie inne drzewo traciło, a tylko smreki coraz wyłączniej zostawały, koło potoku, co z Czarnego Stawu szedł, podbijać się począł pochód ku wąwozowi poza Kopą Królową, ku Królowej Hali, od Maćka Króla, co tam pierwszy pasać zaczął, nazwanej. Aż sięgnięto kosodrzewiny i po kilku godzinach cienia leśnego ujrzano słońce i wierchy, i ostry górski powiew przypłynął.

Naówczas taka radość owładła serce Sobka Topora z Hrubego, że zabrzęczał nabijaną ciupagą swoją nad głową i wzniósł głos:

Hej, idom se owiecki tom stawiańskom pyrciom!

drugi wiersz dziesiątki męskich, kobiecych i chłopięcych głosów rzuciły na las:

Hej, juhasa nie widać, ino zwonki zbyrcom!

i powtórzyły raz drugi, jak zwykle.

A Franek Marduła przeskoczył stopami przez własne toporzysko, prawą ręką za siekierę, lewą za koniec drzewa ujęte, i rozdarł się, aż zgiełcało po hali:

Ani jo nie juhas, ani jo nie baca,
sama mi dziéwcyna owiecek nawraco! Huuuhauuu!

— Is, is, Mardułe matura biere! — szepnęły z uśmiechem pasterki.

Zaś Marduła jął skakać przez toporzysko w tył i naprzód, potem puścił je jedną ręką i przez wyciągnięte ręce kozła na darni przewrócił i podskoczywszy pięć razy kierpce w powietrzu skrzyżował, nim na ziemię spadł.

— Is, is, Marduła lace — zaśmiały się dziewczęta.

Wówczas Marduła się rozpędził i wyższe od siebie huściaki susem przesadził, iż się zdał jak cap skalny, co za kozą w listopadzie goni.

Sobek zasię dobył pistoletu zza pasa i strzelił. Huknęły za nim i inne rusznice i pistolety, zadęto znów we fujery i kobzy, które już nad lasem były, a kto z lasu z instrumentem wychodził, dąć zaczynał, tak że muzyka rosła i wzmagała się od momentu do momentu.

Wkraczano w dziedzinę szczęścia.

Wtem: is! is! icie go! icie go! — ozwały się krzyki.

Czy zaspał w cieple i zbudziły go dopiero strzały i hałasy, czy telo śmiały a ciekawy był: olbrzymi czarny niedźwiedź z karbu pod Królową patrzał. Stał tak zachylony za ubocz, że mu tylko łeb z karkiem i piersiami i przednie łapy widać było, a cień gruby padał odeń na murawę zieloną.

Przekrzywił łeb, jak gdyby lepiej nastawionymi uszami się przysłuchać i lepiej małymi ślepiami się przypatrzeć chciał, i widniał w górze.

— Hej! Jak to se hań hyrnie stoi! — krzyknął któryś z juhasów.

— Erezie! — krzyknął inny, niby jak na owce, chcąc go zegnać.

— Nie byłbyś ty telo durny, kieby haw Sablik s nami béł! — zawołał trzeci.

Już jednak sześć czy siedm srogich psów z okrutnym ujadaniem pod górę się po upłazie puściło. Niedźwiedź nie czekał, tylko zawrócił się i znikł za upłazem.

— He! To obieś! Myślał, co se tu bedzie wirhował, jako bedzie fciał! — ozwał się Michna, wolarz.

— Wójt halom! Sołtys stawiański! — szydzili juhasi.

Jeszcze raz się niedźwiedź wyżej pokazał na wysiecysku, między kosodrzewiną ku Magórze i znikł.

— Ale ze je hytry! — wołano. — Hipce jak jeleń. Straciéł sie psie drewno w pustkak!...

Psy przywołane wróciły, a pochód cały posuwał się po sto-

kach Magóry po pochyłej darni, aż znowu na pérć między kosodrzewiną i ogromnymi głazami, co ku stawiańskiemu owczemu szałasowi i krowim szopom wiodła, wstąpił. Pomiędzy wyrosłą kosodrzewiną owce poczęły ginąć z widoku. Sobek, po przodku idąc, wybujałą od jesieni tu i owdzie gałąź zamachem ciupagi odtrącał i wiódł, aż się szałas i szopy ukazały.

Dolina, dolina, na dolinie sałas,
cemuz mie dziéwcyno do niego nie wołos?...

śpiewał Marduła, tańcząc w pochodzie „drobnego" i wywijając ciupagą nad głową.

Wkroczono w dziedzinę szczęścia.

Poruniło się pięknie, gdzie okiem spojrzeć, zielono, tylko na turniach śniegu płaty olbrzymie, w żlebach, gdzie do cienia, hrubo go jeszcze na chłopa zwyźć.

Jasne białe mgiełki kołysały się nad wierchami.

Zmęczone bydło poczęło się rozglądać, rozpoznawać, przypominać sobie, wdychać, chylić łby, wąchać bystrymi nozdrzami, poszczypywać i skubać trawę koło szałasu i szóp.

Wiatry halne, a osobliwie ten wielki, co z końca grudnia (z początku listopada) wiał, porobiły szkody, postrząsały kamienie z dachów, a śniegi wielkie, co w zimie, w jagwéncie przed gody (w grudniu przed Bożym Narodzeniem) i potem drugi raz w godniku (styczniu) ku końcu miesiąca spadły, zgniotły szopy dwie krówskie do imentu. Trzeba było naprawiać, ale to się duchem przy telik chłopach i wszelkim sprzęcie potrzebnym z domu zabranym robiło. Osobliwie olbrzymi Bartek Gałajda, wolarz, i Franek Marduła z Nad Potoka cud dokazowali, bo Gałajda na dachy kamienie wykładał, co by trzej ludzie mieli co dźwignąć, a Marduła tak obuchem dzwonił, co się widziało, że w pięciu kuźniach kują. A co raz to se pokrzyknął: Hoba hop!

Koszary jęto stare naprawiać, nowe stawiać, strągi, miejsca do dojenia owiec, w nich grodzić. Ożyła hala.

Zapłonęła watra w szałasie bacowskim; gruby zawaternik, kłat z drzewa z tyłu watry, tlał, a smolne drzewo raz po raz dorzucane trzaskało iskrami i miły, znany, gryzący, gęsty dym szałaśny napełnił wnętrze. Na jadwidze, długim kiju, uwieszonej u żerdzi poprzecznej, pod dachem szałasu z dwu stron przymocowanej, wisiał kocieł, a w nim warzyła się kluska z owsianej mąki, bo jeszcze nie dojono. Filarowego Józka Bronka od Cajki ją gotowała. Na odwiecerz, kiedy owce zegnano do koszarów, poszedł baca do szałasu po żarzące węgle i wsypawszy węgle, ziela zbierane na Matkę Boską Zielną i żywicę ze smreków, uzbieraną w lesie, w łubek z kory smrekowej — wrócił z tym ku owcom, zdjął kapelusz, przeżegnał się i kadząc od zachodu ku wschodowi trzy razy obszedł je w milczeniu, z powagą wielką.

Po trzecim razie wysypał węgle na ziemię przed strągą, korą przykrył i ukląkł, a za nim poklękali na jedno kolano juhasi, w oknach, otworach zagrodowych stojący, i odmówili pacierze do Opatrzności, aby się owce dobrze pasły i doiły i aby im rzucone przez złych ludzi uroki, porobiska, nie szkodziły, osobliwie przeciw zwartogłowianiu, skolerzeniu, chorobie skurłata, czyli wymienia, i tracelinie, gubieniu się w górach.

Gdy się pomodlili, powstał Sobek i krzyknął na gońców: Goń! Ci zegnali owce ku oknom, a juhasi wzięli się do dojenia i wypuszczali po jednej ze strągi. Gdy podojono, gońcy zawołali: Dość! Nieg bedzie pokfalony Jezus Hrystus! Juhasi przeżegnali się i chuchnąwszy w ręce ruszyli ku szałasowi za Sobkiem bacą. Ten uchylił skrzypiących drzwi i przestąpiwszy próg pozdrowił pustkę: „Nieg bedzie pokfalony Jezus Hrystus!“

Potem nad naczyniem, w którym się mleko na żentycę przygotowywało, Sobek, zakasawszy szerokie rękawy koszuli, rozciągnął czystą, cieniutką lnianą satę, położył na środku jej mały, gruby woskowy krzyżyk święcony i drobnej cetyny, gałązek smrekowych, aby mleko szło z gielet bez brudu i poświęcone.

Gdy zaś i krowy wydojone do szóp zaparto, woły, konie i capy polegały na trawie, psy koło nich — zeszli się pasterze do bacowskiego szałasu.

Było tam towarzystwo przebrane, chłop znał do chłopa sposób, wiedział, co drugi chłop wart, a i dziewki były nie płone, bo każda obuchem wilka ubić mogła.

Byli tam oprócz bacy owczarze zawołani, Michał Jesionek Wyćwicki ze Suchego Ogrojca, Wojtek Brzega Gdowin, bo matkę wdowę miał, Drzewiany, albo Drzewiarz, bo rad z drzewa strugował, Jędrek Mocarny ze Starej Polany, Staszek Bulcyk z Cichego, Byrnas, stary ale jary, byli baraniarze dwaj, Pieter Topór od Gacka i Józek Pycior, dwaj wolarze, Paweł Michna Sawicki, co go nazywano Dąbrowskim, i Bartek Gałajda, ku temu gońców młodych kilku; było pasterek siedm, a pośród nich Maryna Toporówna i jej siostra cioteczna Teresia, Jadwisia i jej siostra Zośka od Kohutów, która, jedyna spośród dziewek, wdziękom Franka Mardułowym się oparła, skutkiem czego przeniósł on się z afektami do Jadwisi, ku wiecznej pomście uzdajawszy śpiewankę (bo i to umiał), wysoce złośliwą i z góry mierzącą:

> Bolały mie nozki hodzęcy do Zośki,
> a kie do Jadwisie, zagoiły mi sie!

Tam oni koło watry siedzieli w dymie dusznym, wędząc w nim gibkie, mocne ciała i pasterskie odzienie.

Na hali zbyrkotały dzwonki, to tu, to tam, to owcze, to wole, to z krówskich szóp, ale nie często, bo stace było zmęczone drogą, więc spoczywało spokojnie.

Pies czasem zaszczekał. Było cicho.

Gwarzyli — musieli się na nowo w halę wżyć.

Opowiadał Wojtek Gdowin, co mu matka mówiła, jako mądry na mądrego trafił. Jechali furmani drogą i strasznie się im chciało pić, bo było prawie właśnie gorkie, gorące, połednie, a juhas owce pasł na upłazie.

Pyta się furman furmana: piłbyś?

— Jybyś pił, kiebyś miał co!

Furman zatrzymał konie, podstawił putnię pod dyszel, sjon huzdę z konia, zawiesił na dyszlu i wzion doić mléko z dyszla z tej huzdy.

Do razu owce staneny na upłazku i zbecały. He! Skocéł juhas! Zrucił cuhe ze sobie, prasnon na ziem, kie zacnie bić po niej toporzyske!

Ustał ten doić, co doił z uzdy, ba coz, kie trza było do juhasa jeszcze w pytanie, żeby ustał bić, bo się widziało, iże kości w grzibiecie furmanowi wypukajom. Tak wej mądry na mądrego trefił. Wiedział furman owcom porobić, coz, kie i ten juhas wybity chłop był; znał się bronić...

Tak opowiadał.

Potem, kiedy gwiazdy na niebo wyszły, nocny wietrzyk w kosodrzewinie i w poniżnej smreczynie zaszeleścił, poszły pasterki ku krowom na szopy, na strych, spać, a juhasi, baraniarze, wolarze ku koszarom i stadu. Pozapalowali watry godne, od wilka, niedźwiedzia i rysia, wolarze w trombity zadęli raz, drugi, trzeci na odstraszenie i gwieździsta cisza od czasu do czasu przedźwiękła dzwonkiem spiżowym, ogarnęła stawiańską halę.

Nazajutrz baca kierdele podzielił: owce, dojki i kozy z najlepszymi juhasami osobno, na najlepsze pastwiska, na Halę Królową, ku Magórze, pod Liliowe, za Zielone, ku Mechom; jarki, jagnięta, barany, capy osobno w Kościelec, w Żółtą Turnię; krowy poszły nad stawki Kuklaty, Długi i inne pod Pośrednią i Skrajnią, woły w kosodrzewinę i w las nad potokiem. Konie spętano przy szałasie, aby się nie porozchodziły daleko i wilkom łupem nie stały.

Sam baca warzył żentycę, koło oszczypków się krzątał.

Zaczęło się doroczne życie pasterskie.

Na trzeci dzień po przybyciu na szałas, przyszli gazdowie, właściciele owiec, z dołu do miru. Poszli z juhasami owce paść, a na południe, wróciwszy, sami w strągach owce do swoich naczyń doili. Po wydojeniu każdy do naczynia cieńki patyk wetknął i dokąd mleko sięgało, zakarbował, a podług tej miary drugi patyk naznaczył i taki zamirek bacy oddał. Podług obliczenia z tą miarą sér miał baca na końcu lata gaździe odważyć. Niektórzy zaraz po południu, niektórzy przenocowali i nazajutrz rano odeszli.

Już teraz przez trzy miesiące blisko nikt się na hali nie spodziewał gości, chyba jeden Marduła, który nigdy nie był pewien, gdziekolwiekby był, czy za nim jaka dziewka z płaczem i lamentem albo z miłości, albo, co go najbardziej cieszyło, z zazdrości nie przyleci.

Niemało się też zdziwił Sobek, cytający owce przy kosarze na schyłku słońca, gdy spostrzegł, iż z wielkim ujadaniem psy się ku pérci przychodniej rzuciły. Rozległ się strzał — jeden, drugi i trzeci.

— Zbójnicy, cy co? — pomyślał Sobek, ale zbójnicy zazwyczaj z głośną muzyką na hale szli.

Pobiegli gońcy i psy przywołali, i niedługo ukazało się czterech ludzi, z których tylko jeden, po pańsku ubrany, nie był

Sobkowi znajomy. Na czele on szedł, czekanem się wspierając, obok postępował sołtys z Czarnego Dunajca, ogromnej postaci, siwobrody i siwowłosy Stanisław Łętowski, za nimi zaś torby płócienne na plecach dźwigali dwaj chłopi z Ustupu, Stasel Wojtek z synem. Wszyscy zbrojni byli, jak do podróży w górach.

Z daleka się sołtys Łętowski baranim kołpakiem Sobkowi pokłonił. Znać go poznał, że baca.

Łętowskiego Sobek widział tylko parę razy w życiu, ale jego znano na całym Podtatrzu. On był jakoby księciem góralszczyzny, marszałkiem zwany, bo wszelakich buntów i rozruchów naczelnikiem bywał. Lat temu dwadzieścia trzy, w 1628 r., zasłynął on szeroko, kiedy jakoby hetman stanął na czele poruseństwa przeciw staroście nowotarskiemu, Mikołajowi Komorowskiemu, ciemięzcy ludu, na którego sołtysi Czarnego Dunajca chłopów pospolitym ruszeniem pozwali. „Marsiałkował" on wtedy ze sławą wielką i wielką już wówczas swoją powagę potężnie wzniósł i utrwalił.

Zbójnicy zaś, sam nawet Jano Nędza Litmanowski z Nędzowego Gronika ku Kościeliskom, harnaś nad harnasie, dolin i dziedzin strach, „oreł halny", „ryś leśny" i „stryła z hmur", najzuchwalszy z zuchwałych, najbutniejszy z butnych, najhonorniejszy z honornych, Łętowskiego szanował i „straśnie miał za co", tak dla chwały jak znaczenia, mądrości i bogactwa.

— Nieg bedzie pofalony! — zawołał Łętowski nabliżywszy się.

— Na wieki wieków. Jamen! Witajcie! — odkrzyknął Sobek.

A gdy sobie ręce wstrząsnęli, rzekł Łętowski do pana:

— Sobek Topór, baca.



Po czym, z godnością głowę wznosząc, wskazał na przybyłego:

— Pan Kostka, pułkownik królewski.

Sobek odkrył głowę.

Ale Kostka żywo przysunął się ku niemu, rękę z kapeluszem ku głowie mu podźwignął, dłoń potem uścisnął i rzekł:

— Cieszę się, że was poznaję, mój baco. Siła o was słyszę, kędy się popod Tatry obrócę. Widzę, że was nie przechwalono.

— Młody som jest, ale przy siéle i przy huci — rzekł Łętowski.

Sobek zaś, rad i z grzeczności, i z komplementu pułkownika, ręką wskazał szałas, mówiąc:

— Prosem, nieg racom do sałasa.

— Sobek — począł od razu Łętowski — my haw prziśli do was nie po próżnicy. Pan mająm rezolucyjąm królewskąm. Król kazuje na nogi wstanonć i panów bić. Nie kce, jyno coby nad krajem był sam, a w kraju hłopi. Pan pułkownik sąm jest wysłani poruseństwo zrobić. Uniwersały, ozkazy królewskie mająm, z podstarościm nowotarskim, Wiktorynem Zdanowskim, jak go znacie, i z panem rektorem Martinusem Radockim, bakałarzem we skole w Pcimiu, sąm jest porozumieni, ja ś niémi, od Dónajca, z Witowa, z Hohołowa, z Długopola, z Ludźmirza, z Cérwiennego, z Koniówki, z Marusyny, ka jaka wieś hłopi za mnąm, a wy zaś tu Podhalanów, a osobliwie swojąm rodzine zwieść macie. Bo co Topór, to topór, a wyście nad Toporami głowa! Mardułów, Galiców, Chowańców, Łojasów z Poronina, Gąsieniców, Sieców, Walcaków, Sobcaków spod Kopy, Gadejów, Matejów, Mocarnyk, Stopków, Pitoniów z Polan trza rusyć!

— Rusy sie — odpowiedział Sobek.

— No, nie rzókek panu? — zwrócił się Łętowski ku Kostce z zadowoleniem. — Ja ludzi znam. Jak ja stary i oni młody zawołamy, hyr sie stanie po sytkik dziedzinak dookoła — hłopy stanąm jak jeden! Za sytkie krziwdy, ucisk, swąmwole, ciemięstwo, łupiestwo i ozbójstwo ślaheckie sie mścić! Mnie jyno o to sło, cobyście wy, Sobek, stanęni przi nas!

Rad był Sobek niewymownie, gdy przed samym pułkownikiem i posłem królewskim sam marszałek Łętowski tak go wysoce cennym mianował, i z pewnego radosnego zawstydzenia ozwał się:

— Ono by wartało z Jane Nędzom Litmanowskim sie porozumiéć.

— E! — odpowiedział Łętowski. — Jano hłop bucny, ale powiher! A i złodziej strasecny! Jakby my kraść śli — nié mas nadeń, ale tu o więkse i inkse rzecy idzie. Jego byś nie utrzimał, boby piérsom noc, jyno by sie na doliny znizył, na rabunek poleciał. Pote go moze pozwać, kie o rabunek bedzie sło.

— O! Jak jyno o to idzie, to mnie go tu nie trza sukać! — roześmiał się Sobek. — Jest haw u mnie na sałasie Franek Mardułów, po Wojtkowi po Kulowym, mozeście znali, z Cihego z Nad Potoka?

— Ten, co miał pedzieć księdzu z miasta: ja by Panu Bogu gwiazdy krad, kiebyk skrzydła miał? Słysałek. Bo to séroko gadali, jako se z księdzem ukwalował.

— Ten, ten, ten.

— Już chłopi het po górach poruszeni — rzekł Kostka. — Koło Grybowa, Sącza, Myślenic, Limanowy. Wiecie, baco, że wojsko i szlachta w obozie daleko przy królu na wojnie kozackiej?

— I wybranieccy hłopi hań pośli.

— Uda się łatwo — wojska nie ma.

— Ja by wolał, jak sie mam bić, cobyk sie miał s kiém — odparł Sobek.

— Czekajcie jeszcze! To dopiero początek! — rzekł Kostka, bystre i zuchwałe rzucając spojrzenie.

W takiej rozmowie szli do szałasu, gdzie ich już juhasi i pasterki z ciekawością oczekiwali.

•

Na Liliowe, na przełęcz wysoką, wybiegła od krów Maryna. W głowie jej huczało, w sercu wrzało. Ostawiła krowy swoje przy innych pasterkach, co tam pasły, sama szła jak koza po czerwieniatych tam piargach, aż się wydarła na górę.

Pełna mgieł złocistych od słońca była pod nią dolina od strony węgierskiej. Mgły suche i lotne kotłowały się i kłębiły, unoszone rannym, wartkim wichrem, nisko w podolu. Czasem oddarł się płat mgły i podbity rozstrzępiał się po upłazach i uboczach wielkich, wyniosłych kop Gołych Wierchów, których zieleń spokojną zamącał.

Z głębiny, spod mgły słychać było spiżaki, dzwonki spiżowe wołów liptowskich, co się tam pasły.

Z biczem w ręku wybiegła Maryna na przełęcz, sama nie wiedząc kiedy.

Noc całą w szałasie przesiedziała, słuchająca mów mężów, co przybyli. Siedzieli na stołkach i na ławach brat jej Sobek, stary Kret i stary Byrnas, Marduła, Gałajda i inni juhasi, co starsi, Łętowski i ów pan młody w kusej czarnej katanie. On mówił najwięcej. Mówił o strasznych krzywdach chłopskich, o strasznej doli chłopskiej tam, niżej, po wsiach dólskich, gdzie z krwawego potu chłopa panowie żyją, gdzie pod batogami pańskimi chłopi konają, gdzie się im najświętszych, odwiecznych praw i przywilejów przeczy, własność rabuje, pańszczyzną dusi, gorzej psa, gorzej bydlęcia chłopa traktuje,

gdzie ucisk idzie w parze z poniewierką, katowanie mężczyzn z gwałtem kobiet, gdzie szlachcic ślinę swoją wyżej ceni nad godność chłopa, utarcie nosa nad jego życie.

A wśród tych nazwisk, które najczęściej na usta Kostki wracały, najgęściej brzmiało nazwisko Sieniawskich z Sieniawy, wojewodzica, który w chłopskie brzuchy i babskie tyły podkówkami kopał, aż odciski podkówek znać było.

Wrzało i huczało w sercu Maryny.

Był ten złoty panicz katem, krwiopijcą, zdziercą i okrutnikiem...

Był potworą, widmem, na której wspomnienie ludzie się żegnali...

Był gwałcicielem dziewcząt nieletnich, porywaczem matek i żon do swoich komnat zamkowych, skąd je po nocy napastnej rozpusty rankiem biczami płaczące wypędzać kazał...

Był ohydą, która dziewczęta, matki i żony do naga hajdukom przed oczyma swych gości rozbierać kazała...

I tego ona kochała?

Krew burzyła się w żyłach Maryny i na biczysku zatrzasły się jej palce...

Słuchała całą noc, sama jedna z kobiet, nie odzywając się nic, w kącie szałasu o ścianę plecami oparta.

Do pomsty, do powstania, do kary i zrzucenia pęt, do otrząśnięcia z siebie szlacheckiego jarzma wołał ten człowiek, którego pułkownikiem królewskim tytułowano. Tłumaczył, że król, zmuszony przez szlachtę, na wojnę przeciw chłopom ruskim ruszył, hetmana kozackiego Chmielnickiego jako wybawiciela ruskich chłopów malował, sam się takim wybawicielem w Polsce mianując. Mówił, że szlachta przeciw królowi, który ludowi dobrze życzy, zbuntować się zamyśla, pokazywał pergaminy i opowiadał, że król w nich chłopów do

obrony swej osoby i do dźwignięcia się przeciw szlachcie pozywa. Wymieniał miejsca, gdzie chłopi, a osobliwie beskidowi górale już powstali, i nazwiska dowódców ogłaszał. Raczył winem, które za nim na grzbiecie we worku Stasel ze synem przynieśli, i na zdrowie chłopskiej wolności w ręce marszałka Łętowskiego i Sobka pił.

Mieszało się w głowie podczas słuchania Marynie, myśli w niej wirem latały, jak woda w stawie wiruje, kiedy w nią wiatr halny uderzy.

Bolało ją serce, piekły usta, piekła krew...

I wstali wszyscy, i śmierć panom i szlachcicom na krzyż bacowski święcony z wosku, po którym się mleko cedziło przez płótno, przysięgali, a Sobek, jej brat, wzburzony, śmierć od topora największemu okrutnikowi, wojewodzicowi Sieniawskiemu, poprzysiągł.

Dziki zaś Marduła tak się wściekł, że z ławy się porwawszy we watrę równymi nogami skoczył, aż ogień pod dach buchnął, czerwono go jaskrawiąc i łuną obżegując.

I wszyscy krzyczeli jeden przez drugiego, tylko stary Kret patrzał w płomień i milczał.

W pierś chwytała Maryna wiatr z Wierchcichej Doliny po uboczy się ku niej pnący i chwytała w usta mgłę, co ją ku niej niósł, aż omgliło ją całą i świat jej, a ona światu znikła.

Wtem na obcą jakąś, liptowską czy orawską nutę zahuczało poniżej we mgle, dwoma głosami śpiewane:

E dy se, Janosik, twoje biłe ruce
budom otwierały kupieckie truchlice,
kupieckie truchlice i kralewskie składy
budzies se odmykał, Janosicku młady!...

Pieśń, górnie, dumnie śpiewana przez jeden stary głos i drugi męski, huczała we mgle.

Janosicku polski, nie bój sie nicego,
madziarskik hajduków, Zomku orawskiego,
nie bój sie zupana pod rysiom bekiesom,
Janosicku polski, tobie wiatry niesom!...

We mgle, poniżej, w poprzek uboczy, trzymając wzajem zarzucone ręce na swoje karki, szli, snadź przynapici, stary Sablik i Janosik Nędza Litmanowski z rusznicami na plecach. Snadź skądś z Cichej albo z Ciemnosmreczyńskiej Doliny, czy z polowania, czy z jakiejś może dalszej wędrówki z Węgier przybywali. We mgle zaś za nimi ujrzała Maryna trzech chłopów z torbami na grzbietach, zbrojnych również w strzelby. Widać Jano Nędza ze zbójeckiej wyprawy na Węgry wracał.

Zataczali się obaj ze Sablikiem, ale dzierżyli się na nogach mocno. I nie dostrzegłszy Maryny we mgle przeszli dalej po uboczy i zginęli z widoku. Pewnie ku Kondratowej Hali do białodunajeckich juhasów i Pawlikowskiego sołtysa bacy wstąpić zmierzali.

Nędza Litmanowski, właściciela wielu polan pod Hrubym Reglem, wielu gruntów i licznego stada, syn, zbójnik nad zbójniki i hetman zbójecki, bogato chowany, tak że nigdy nic twardo nie robił i białymi rękami jaśniał, skąd pieśń o jego białych „rucach" powstała, rabuś tak butny, że ze swymi towarzyszami: Tomkiem Gadeją Stopką od Cajki, Wojtkiem Stopką Mateją i Wojtkiem Stopką Mocarnym bodaś co nie kradł, ale na kupieckie „truchlice" po miastach i królewskie prawdziwe składy się porywał, znajomy był Marynie, bo od czasu do czasu szałas stawiański nawiedzał. Rad go gościł Sobek i obaj się bardzo za co mieli, obaj bogaci, mocni i odważni, a Franek Marduła nie wiedział, gdzie go posadzić najdostojniej. Byłby też do jego bandy na życie i śmierć przystał, ale się go Nędza bał, bo go zbyt ku dziew-

kom ciągnęło, a taki nigdy nie jest pewny. Niejeden już „dobry" i najlepszy chłop skróś tego i sam zginął, i towarzysze przezeń szwankowali.

A chodził Nędza Janosik Litmanowski w czapce twardej, wysokiej, czerwonej ze złotymi lampasami, z kutasem ze sznurków złotych po prawej stronie, w koszuli czerwonym jedwabiem haftowanej, ze złotą spiną z łańcuszkami pod szyją, złote klamry do pasa dał zrobić, było ich pięć, i portki, zawsze białe i nowe, czerwoną i szafirową nicią grubo w kółka i piękne desenie koło szafirowej zascepki, w pięcioro wykwintnie złożonej, cyfrować sobie po boku kazał, a od parzenic aż w oczy biło. Mnóstwo na nim łańcuszków, blach i guzików dygotało, że gdy szedł, jako dzwon dźwięczał.

— Kie tego diabli bedom brali — mawiał stary Krzyś — to bedzie Lucyper myślał, ze wóz do piekła z miedzianymi garkami wiezom, telo bedzie zbyrku.

Minęli Marynę poniżej po mglistym stoczysku góry, nad przepaściami idący Janosik z Sablikiem, a ona wbijała oczy w tego hetmana, jakby się w nim całe góry i cały lud zbiegały. Oni ginęli we mgle, aż się z niej tylko dobył górny, mocny zaśpiew:

Ozwijaj sie, bućku, syćko pomalućku,
po ciémnej dolinie, po ciémnym wiérsycku!
Ozwijaj sie, bućku, syćko pomalućku,
jak sie ty ozwinies, syćkik nas przykryjes.
Ozlégoj sie, głosie, syroko po lesie,
ozlégoj sie wkoło, pokiel mi wesoło!...

śpiewali zataczając się we mgle po upłazie stary Sablik i białorucy hetman zbójecki złotem malowany.

Kiedy się Kostka na cetynie w szałasie obudził, dzień już świecił i sołtysa Łętowskiego, który obok spał, dawno już nie być musiało. Członki Kostkę bolały, częścią, że nie przywykły był on do górskich dróg, które przewędrował, częścią od twardego legowiska. Przeciągnął się, na wznak położył, rękę pod głowę podścielił i rozpamiętywać począł.

Pędzącemu w noc, z łuną folwarku Herburtowego nad głową, z bólem i targającym wstydem w sercu, gościńcem myślenickim żądza tylko zemsty i wściekłość pobudkę grała. Chłopi się buntowali przeciw szlachcie, zatem przeciw wrogowi jego Sieniawskiemu, przeciw Herburtowi, przeciw Sulnickiemu, przeciw kasztelanowi Kostce, który go listem pognębił, biegł więc ku chłopom, aby przy ich pomocy, korzystając z ich pomocy, korzystając z ich zemsty, samemu się mścić, ich ręką ciosem za własną ranę zapłacić. Dusiły go gniew, nienawiść, zawiść, gdy pędził. Ale od tego czasu zmieniło się w nim sumienie.

Oko w oko strasznej, nieludzkiej krzywdzie mieszczaństwa i chłopów, strasznemu nieludzkiemu łotrostwu i zbrodni stanął. Owe łupiestwa, grabieże i gwałty, owe zabójstwa, pasy darte z żywego ciała, na pal wtłaczania, owe tortury nie szlachcica, ale nikczemnej, podłej bestii niegodne, które tacy dwaj Stadniccy chłopom zadawali, jeden przez gniew na panią Opalińską ręce jej poddanym odpiłowywać każąc, drugi „dla widoku" całe wsie paląc; owo panowanie bezkarnej, rozpasanej, srogiej, jak zwierzęta głupiej i hańbą okrywającej siebie, a do upadku wiodącej kraj szlachty, której „epoką" było ścięcie w Krakowie czterech niewinnych rajców miejskich za to, że płatnerz, w twarz przez pana Tenczyńskiego uderzony, odwetu na nim poszukał, a po zamordowaniu magnata w kościele franciszkanów przez tłum mieszczan, zbiegł, a której ideałem był książę Jeremiasz Wiśnio-

wiecki, żołnierz dzielny i na podziw bohaterski, lecz nad lud tyran krwawy i publicznego dobra we Lwowie jawny na swój prywatny użytek zaborca: wszystko to serce w Kostce wstrząsać poczęło, odkąd się temu żywymi oczyma przypatrywać, żywymi tego rękami dotykać począł. Czuł własną swoją krzywdę niknącą pod nawałą tej krzywdy ludzkiej, roztapiającą się w niej bez śladu niemal, jak kropla wody w morze wpuszczona. Biegł ku Myślenicom siebie mścić, a nim z Myślenic do Nowego Targu się dostał, już się czuł chłopów mścicielem.

I grało mu w uszach przysłowie szlachty: „kto by chłopa zabił, jakoby psa zabił" i słowa o szlachcie stryja króla Jana Kazimierza nad wyraz obelżywe, pełne goryczy, wstrętu i zniechęcenia.

Począł rozumieć nieszczęśliwego stryja, a sam królewską krew w sobie czując dębem się przeciw szlachcie podnosił w duszy i jedno czuł: że w tym narodzie król, mieszczanie i chłopi sojusz przeciw szlachcie zawrzeć byli powinni.

Z Chmielnickim porozumiał się. Znał on Chmielnickiego nicwartość moralną, ale i potęgę, i geniusz wojenny, i przede wszystkim znaczenie jego nazwiska dla chłopów. Chmielnicki to był bohater, który się porwał ocalić uciemiężony lud. Chmielnickiego imię było dla nieszczęsnych poddańczych chłopów symbolem wybawienia, wolności — czym był istotnie, nie wiedzieli.

W głowie Kostki wichrzyły się plany. Gdy uniwersały Chmielnickiego wzywające chłopów do powstania otrzymał, Rakoczego z Węgier pozwać postanowił, przy jego pomocy Kraków zająć, a potem dalej iść, aż po mieszczańsko-chłopską koronę w Warszawie...

Traf chciał, iż uciekłszy od Herburtów i w góry zapadłszy, w Pcimiu koło Myślenic popasał, gdzie się z rektorem Mar-

tinusem Radockim, anabaptystą, od 40 lat nauczycielem pcimskiej szkoły zetknął.

Srogi to był wróg szlachty, a jeszcze większy duchowieństwa, któremu zawinił, gdyż sam niegdyś teologię studiował i przez dziewkę, potem żonę swoją, odpadł. Naukę wielką miał i znaczenie u chłopów ogromne i mir, wrogiem ciemięstwa wszelakiego, wyznawcą Chrystusowego pokoju i bogomódlcą o mesjasza ludu będąc.

Ten w Kostce zesłannika niebios ujrzawszy, biegłość mając w sztuce i naśladowaniu pisma, dla świętej sprawy oswobodzenia chłopów spod katowni szlacheckiej na wzór przypowiednich listów królewskich, wydanych rok przedtem niejakiemu Napierskiemu pułkownikowi na zaciągi dla Wiśniowieckiego, gdy się w swaty do Multan wybierał, Kostce przypowiednie listy na jego imię wydał i pieczęciami je z poprzednich listów zdjętymi zatwierdził, pułkownika tytuł i nazwisko przysądzając.

Chudy i wysoki ten starzec, z twardymi żyłami w obnażonej długiej szyi, nim fałszerstwo to uczynił, długo przed krzyżem Chrystusa krzyżem leżał i noc całą potem się modlił, czysty zamiar Bogu ofiarowując.

On Kostce podstarościego Zdanowskiego w Nowym Targu jako człowieka największe zaufanie wśród sołtysów mającego wskazał, wskazując zarazem wodza całej góralszczyzny, „marszałka" Łętowskiego, z którym porozumienie kum Zdanowski ułatwić mógł.

Staruszek pan Wiktoryn Zdanowski w małym domku przy końcu ulicy Ludzimierskiej blisko boru miejskiego od lat sześćdziesięciu mieszkał, od lat trzydziestu był podstarościm, handlował serem, masłem, kapustą, grochem i bobem, z księżmi w okolicy w kości, karty i warcaby grywał, wino im, śliwki i gruszki przez furmanów z Ludzimierza, Krau-

szowa i Długopola sprowadzał i rozsyłał, ze wszystkimi sołtysami, czarnodunajeckimi, białodunajeckimi, białczańskimi, chochołowskimi i spod Gorców w najprzyjaźniejszej zażyłości pozostawał, ich samych i ich żony leczył, dzieci im do chrztu trzymywał.

Znali go wszyscy i szanowali, a gdy mały, w lecie już nawet w kożuszku sieraczkowym, modą węgierską skrojonym, z szarym barankiem na kołnierzu, zgarbiony i na czekaniku wsparty, na rynek nowotarski wyszedł, kapelusz za kapeluszem i czapka za czapką się uchylały, a sam ksiądz dziekan, proboszcz od św. Anny, na gorzałeczkę do niego często gęsto zachodził.

Podstarości, wielce pobożny, uproszonym i ochotnym opiekunem miejskiego bractwa kościelnego św. Anny patronki był i do kościoła co dzień rano z długim różańcem chadzał, nad którym zawsze w połowie zasnął, tak iż go baby budziły:

— Stajcie, panie podstarości, bo jus cas!

— Albo co? — pytał się, budząc.

— Bo jus nos kolanom dzień dobry pedział!

A mieszczanie nowotarscy zawsze z tego jednakową uciechę mieli.

Siedział podstarości w kożuszku w jednej ze swych dwu izbinek wieczorem w sam dzień Feliksa Kapucyna i kabałę kładł, dwie sroki chowane kłócące się z kawką na ramie otwartego okna, bo dzień był ciepły, od ogródka mając, gdy dziewka pułkownika mu królewskiego zameldowała.

— Co? Kto? Hę? — słyszał Kostka zapytania niezbyt chętne zza drzwi.

— Jakisik pon. Pado, co je pułkownik królewski.

— Jak powiadasz?

— Pułkownik.

— Pułkownik?

— Ze dyć mówiem: pułkownik! — krzyczy dziewka zniecierpliwiona.

— Pułkownik! Pułkownik! Ciekawym, jaki by tu mógł być, kiedy wszyscy na wojnie, nawet pan starosta czorsztyński Platemberg, Żydów na zamku zostawiwszy, pojechał. Pułkownik! Cielę! Może całownik, he, co, nie pułkownik? Cielę jedno! Proś!

Kostka wszedł.

Sam, bez sługi, w zakurzonym ubraniu, snadź że nie z konnej podróży, niepokaźny z twarzy i postawy, Kostka podejrzliwe i niedowierzające spojrzenie staruszka spotkał. Nie czekając też żywo listy przez Radockiego sfałszowane z zanadrza wyjął i wręczając je podstarościemu rzekł:

— Aleksander Lew Kostka Napierski ze Sternberku, pułkownik królewski, mający rozkaz po odejściu pospolitego ruszenia werbować lud na obronę granic województwa krakowskiego przeciwko Rakoczemu.

Gdy staruszek nazwisko Kostka usłyszał i pieczęć królewską ujrzał, zachłysnął się ze wzruszenia, a potem, listy obok na stół położywszy i ręce z rozczapierzonymi palcami wzniósłszy, przed Kostką stojąc bąkał:

— O rany Boskie! Kostka, świętego Stanisława, patrona czystości, potomek, senatorów syn, króla najjaśniejszy pułkownik — do mnie... Rany Chrystusowe... Do mnie? Cóż ja? Krzesło...

I z nieoczekiwanym impetem nagle z góralska wrzasnął:

— Jagniś! Krzesło dla pana pułkownika! Polewkę z wina! Z cynamonem! Wartko! Ka Agata? Półgęska przynieść! W ocymieniu!

Obaczył się od razu Kostka, z kim ma do czynienia, i chyląc się Zdanowskiemu ku ramieniowi i w rękaw sieraczkowego kożuszka go całując rzekł:

— Wielki to honor dla mnie pierwszą autoritatem nie tylko Nowego Targu, ale i całego Podhalą poznać. Pewnym jest powodzenia, z czym przybywam, jeżeli tylko wasza miłość, mości panie podstarości, względów mi swych i pomocy nie umkniesz.

Przy dymiącej polewce z cynamonem, przy półgęsku, szynce i kołaczu z serem żwawo szła pogawędka. Kostka się, nim pierwszą łyżkę do gęby wziął, nie tylko przeżegnał, ale westchnąwszy i krótką modlitewkę po łacinie szeptem, dla siebie widocznie, nie dla pozoru, odmówił, czym ufność do się w staruszku od zamachu wzbudził. A gdy się pokrzepili i Agnieszka miód stuletni, prezentem od proboszcza z Odrowąża, księdza Misia, przysłany, na stole postawiła, humor rozjaśnił twarze.

Ujrzawszy Kostka gitarę na ścianie, prosił staruszka, by zagrał, czemu podstarości nie odmówił, owszem, brzęknąwszy w struny nie tylko grać, ale i śpiewać począł. Jedną pieśń o bitwie pod Płowcami, o Florianie Szarym, drugą o Halszce z Ostroga od kniazia Dymitra Sanguszki porwanej prześpiewawszy uśmiechnął się filuternie i podreptawszy ku drzwiom, czy dobrze zamknięte, uderzył dwa akordy i dyszkantem zanucił:

Justysiu, Justysiu, czyli śpisz sama?
Nie, mości rycerzu, za ścianą mama!

A wtem Kostka nutę podjął i barytonem podłożył:

Justysiu, Justysiu, cicho to będzie,
że ani kogutek ciszej na grzędzie!

Ucieszył się staruszek, głowę na ramię przechylił, papuciem, w które obuty był, przytupnął i dalej wiódł:

> Ah, mości rycerzu, Pan Bóg nad nami!
> Kogutek, gdy kocha, bije skrzydłami!
>
> Nie skarży się kurka na takie bicie,
> puść jeno, obaczysz, mój aksamicie!

wtórował Kostka, Zdanowski zaś coraz cichszymi akordami zakończył.

Ale gdy skończył, nieco zawstydzony na pułkownika spojrzał i ozwał się jakby usprawiedliwiając:

— Stara to piosnka dworska — jeszcze ją pono za króla Zygmunta Starego skomponowano. Nieskromna nieco.

— Nic to, ojcze szanowny! — przerwał mu Kostka. — I święci apostołowie w Kanie Galilejskiej świeckimi piosenkami pewnie się zabawiali.

Staruszek Kostki już nie puścił, mieszkać go do siebie zaprosił, karmił, poił, czym mógł raczył, gościem się swoim pysznił i całe mienie swoje i osobę swoją gotów był oddać na jego usługi. Po sołtysa marszałka Łętowskiego posłał, a Kostka, krótko z nim na uboczu podczas poobiedniej drzemki Zdanowskiego pogadawszy, prawdę mu, po co i z czym przybył, powiedział, że chce w imieniu króla chłopów nie na obronę granic przeciw Kozakom, ale przeciw ciemiężącej chłopów i buntującej się przeciw królowi szlachcie werbować i jako drugi Chmielnicki mścicielem i obrońcą ludu roboczego stać się.

Uchylił Łętowski staroświeckiego kołpaka na nazwisko Kostki od świętego Stanisława, uchylił na tytuł pułkownika, uchylił na imię króla, ale najchętniej uchylił na wspomnienie Chmielnickiego.

— E, to to to, mości panie pułkowniku — rzekł. — To wej

człek! Kieby u nas taki béł! Taki hetman hłopski na Małąmpolskom!...

Marszałek Łętowski ciupagę swoją, którą wszyscy znali, z orłem rytym przez kowala Stanika ze Starego Bystrego na prawej stronie, z niedźwiedzią głową na lewej i krzyżem Pańskim na obuchu, gońcem po sołtysach i wójtach w Nowotarszczyźnie z zawołaniem swoim posłał, a Kostka na sfałszowanych listach królewskich wsparty, mandaty odnośne mając w ręku, werbował otwarcie w krakowskim województwie i aż na Śląsk werbowników posyłał, glejty bezpieczeństwa, gdy trzeba było, po polsku i po niemiecku pisząc.

Milczał Kostka o swym pochodzeniu, nie chcący podejrzeń żadnych ani hałasu tym wzniecać, wszędzie się jako poramiennik królewski przedstawiając. Przede wszystkim trzeba było ludzi sobie oddanych, sobie obowiązanych i na wszystko dla niego gotowych straceńców znaleźć, a tu mu traf szczęśliwy dopomógł. Właśnie gdy u podstarościego Zdanowskiego bawił i dostatecznie się już wieść o jego bytności, dostojeństwach i zamiarach po Nowym Targu rozkrzewiła, miano tam tracić dwóch znakomitych dowódców zbójeckich, Cepca i Sawkę, z których każdy po kilkudziesięciu ludzi pod komendą miał i podobną sławą, jak Nędza Litmanowski na Podhalu, w dalszym Beskidzie się cieszył.

Zdarzyło się im nieszczęśliwie, iż gdy się we dwóch, od band swych oddzieliwszy, na przeszpiegi lasem harklowskim snuli, pachołkowie miejscy przez Żyda podprowadzeni ich dopadli, powrozami związali i do miasta przywiedli.

Tam, na rynku przed ratuszem, za wiele łupiestw i morderstw rajcy miejscy ściąć ich skazali i już kat, Melchior Handzel, z niemieckich osadników, wielki, ostry, często używany swój miecz w gotowości trzymał, a łby zbójców na pniaku jodłowym położone być miały, gdy nagle konikiem

Zdanowskiego z ulicy Ludzimierskiej Kostka wraz z podstarościm na rynek wjechał i prosto przed ratusz, na zgromadzonych ludzi pokrzykując, gnał.

— Pułkownik, pułkownik jedzie! — rozległo się po rynku.

Wstrzymał się kat, czekał burmistrz z rajcami, aby znakomitemu szlachcicowi, świętych Pańskich potomkowi, króla pana pułkownikowi satysfakcji łbów odlatujących widoku nie umknąć, gdy, ku niemałemu ich zdumieniu, Kostka na nogi się podniósłszy gromko krzyknął:

— Szlachetni, sławetni, uczciwi, wiernie mili przyjaciele, panowie rajcy nowotarscy i ty sławetny nowotarski burmistrzu! W imieniu najjaśniejszego króla jegomości, pułkownikiem i wysłańcem jego będący, dla dwóch tych ludzi skazanych, iże najjaśniejszemu królowi życie ludzkie tej godziny ani jedno nie nazbyt, łaski i darowania proszę, abym pod przysięgą wiernej służby do królewskiego wojska ich zaciągnął, gdzie pierś nieprzyjaciołom Rzeczypospolitej nadstawiając niecne wczoraj zmażą, godne dzisiaj, błogosławione jutro zasłużyć będą mogli!

Zdumiał się burmistrz Mikołaj Rayski, rzeźnik z pradziada, zdumieli rajcowie miejscy.

Nie śmieli jednak życzeniu pułkownika i poramiennika królewskiego się sprzeciwiać i egzekucji na rozkaz burmistrza kat zaniechał. Miecz tylko goły, według starego zwyczaju, obu przed oczyma przewlókł i siarki grudkę sporą na miseczce zapaliwszy płonącą im pod nos przytknął, mówiąc: Pamiętaj, jak to pachnie! Pamiętaj, jak to pachnie!

Wystąpił potem przedni mówca miejski, kuśnierz Izydor Bełtowski, i długimi i wzniosłymi słowy grzeszników życiu cnotliwemu przywracał, po czym na znak burmistrza pęta im zdjęto i pułkownikowi ich darowano, ku któremu do kolan z płaczem wdzięczności przypadli.

Kostka przyjść im do siebie kazał, a porozmawiawszy, gdy ich widział na śmierć i życie sobie oddanymi, polecił im wcielić do band swych wszystkich junaków, którzy ku niemu przystawali, a nadto prawdę im odkrył i przysłany sobie uniwersał Chmielnickiego do rozpowszechnienia we właściwym czasie im wręczył.

A uniwersał ten brzmiał:

„Bohdan Chmielnicki wiadomo czynię wszystkim poddanym Korony polskiej, iż za szczęściem i błogosławieństwem od Pana Boga nam danym, pod moc i władzę naszą podbiwszy państwa tejże Korony polskiej, uwolnić was wszystkich obiecuję od ciężarów i robocizny. Będziecie tylko na samych czynszach, we wszelakich wolnościach, tak jako szlachta byli, tylko żebyście nam wiary, tak jako ruscy nasi poddani, dotrzymali; panów swoich żebyście opuszczali, przeciw nim powstawali i do nas się jako w największych grupach gromadzili".

Kości były rzucone. Kostka był winien zdrady względem kraju i względem króla. Gdyby uniwersał taki przychwycono i Kostce rozpowszechnianie go udowodniono — winien był śmierci.

Na całą Rzeczpospolitą, na wszystko, co się Polską nazywało samo i komu Polską nazywać kazało, się porwał. Musiał albo zwyciężyć, albo umrzeć.

A gdy w niespokojną noc swoją, po odprawieniu Cepca i Sawki z uniwersałem Chmielnickiego, w domku podstarościego nowotarskiego przy ulicy Ludzimierskiej rozmyślał, im głębiej w rzecz wniknąć usiłował, tym jaśniej widział, że tu walka nie tylko na żelazo, ale i na dusze być musi, że szlachta jest nie tylko w kraju panem, ale dusza szlachecka jest tego kraju duszą.

Zrazu wydało mu się: wzniecić bunt, szlachtę znicestwić, króla detronizować, samemu się królem mieszczan i chłopów stać — teraz jednak rozumiał, że na miejsce potęgi duszy szlachty potęgę jakiejś innej duszy trzeba dać, że gdy się jedną kulturę duchową obali, nie tylko natychmiast inną na jej miejsce stawiać trzeba będzie, ale nawet w imię tej nowej, następnej i zastępczej kultury wystąpić. Rozdać chłopom pańskie grunta nie dosyć było — ten chłop, stając się panem kraju, musiał od razu przed sobą jakiś wyższy ideał mieć, wiedzieć, że z chwilą zwycięstwa nie zaczyna się tylko używanie, ale że zacznie się dalsza jakaś szlachetna praca dla siebie i drugich, nie stagnacja, ale owszem pochód naprzód.

Chłop był ciemny i jedyną jego wiedzą, jego kulturą duchową, jedynym, za pomocą czego można w nim było duszę stwarzać, była religia.

W tym momencie przypomniał sobie Kostka opata tynieckiego, księdza Pstrokońskiego, biskupa, człeka dziwnego wielce.

Z kasztelanem, u którego się wychowywał, kilkakrotnie Kostka w Tyńcu był i potem jeszcze sam księdza Pstrokońskiego, który go polubił, nawiedzał, a ilekroć go widział, zawsze czcią i podziwem czuł się przejęty.

Ksiądz biskup Pstrokoński, opat benedyktynów tynieckich, wcale do ogółu wyższego duchowieństwa podobnym nie był, nad miarę nie jadł i nie pił, w karty nie grał, kochanic nie utrzymywał, na łowy nie jeździł, dostojeństw się nie napierał, dla miłego grosza wszystkiego uczynić gotów nie był, ale klasztorem i naukami się zajmując ludziom dobrze czynił, brata w każdym uznawał i świętego Franciszka z Assyżu za wzór najgodniejszy naśladownictwa uważał. Widział on zło zakrzewione w Kościele i złą drogę, którą kraj

ku zgubie wiodła szlachta, i nieraz o tym z Kostką, zachodniej cywilizacji świadomym, mówił. Doń Kostka ruszyć, jego w zamiary swe wciągnąć, jego, szeroko przez chłopów znanego i błogosławionego, jakby papieżem, widomym reprezentantem katolicyzmu swej sprawy uczynić postanowił.

Tymczasem zaś z polecenia jego rektor Martinus Radocki i sołtys Łętowski porozpisywali listy po wsiach i sołtystwach okolicznych, wzywając lud, aby się gromadził pod wodzą pułkownika królewskiego Kostki, ze świętej pochodzącego rodziny, przeciw Żydom i szlachcie w imię Chrystusa, którego Żydzi zamordowali, i najjaśniejszego króla, przeciw któremu szlachta bunt podnieść zamyśla, obiecując, co Chmielnicki w swym uniwersale obiecywał, i pomoc kozacką. A iż ściąg wojsk do Nowego Targu do osoby pułkownika zapowiadali, nakazywali listami, aby wszyscy, którzy się do łączności poczuwają, chałupy zielenią maili, a to będzie znak, by ich zwerbowani przechodzący nie rabowali i nie podpalali, jako właśnie czyniły szlacheckie zaciągi, tak iż przemarsze ich do napadów tatarskich porównywano, a miejscami srogie bójki wynikały, gdzie szlachta grabiła i bez miłosierdzia odzierała chłopów i mieszczan, ci zrozpaczeni wściekle szlachtę mordowali, za co znów bez miłosierdzia karani byli, aż w końcu zgliszcza, ruinę, nędzę, rany i śmierć chłopom i mieszczanom za sobą wraz z trupami z obojej strony zostawiano.

Chłopi też na gwałt wiece zwoływać i gałęziami zielonymi chałupy maić jęli.

Nie wszystkim jasnym było, o co chodzi i co być ma, ale wszyscy zrozumieli, że się od złego zabezpieczyć można. Wsie jak gaje istne wyglądały.

Przez takie też zielone wsie Kostka, na krótki czas Nowy Targ opuściwszy, do Tyńca krakowskim gościńcem na wózku podstarościego Zdanowskiego pędził.

A był to piękny, pogodny dzień wiosenny, kiedy ksiądz opat Pstrokoński, z murów klasztoru tynieckiego z wysoka na Wisłę, łany i wsie wiślane patrząc, Kostki mówiącego słuchał.

Ten zaś wołał w gorączkowym uniesieniu:

— Ojcze! Nędznym człekiem, zbrodnią, zemstą pędzony między chłopstwo padłem, a dziś, gdym jako Tomasz w rany Chrystusa, w rany ich palce wetknął, siebiem zapomniał, ich mścić, ich zbawić chcę! I nie straszne mi nic, czylibym i śmierć dla nich ponieść miał! Szeroki ja plan żywię: szlachtę zgnieść, z Rzymem zerwać, aby nam tu zaś Possewinów, jak Batoremu, nie nasyłali, wysokie, z magnatami trzymające duchowieństwo obalić, królestwo polskie ze swoim własnym polskim papieżem, ze swoim własnym polskim kościołem zbudować! O, ojcze, ojcze duchowny! Zali może zrozumieć polskiego chłopa od żuru i barszczu włoski ksiądz, sałatą i morskimi ślimakami karmiony? Możeż być pasterzem duszy polskiej ten, który tej duszy nie zna, ten, który — sam suchą skałą, wodą i cyprysami otoczon — pszenicznej polskiej modlitwy, z dębów i jodeł rodzonej zbożności, w szerokich zachodach staczającego się nad Wisłą słońca rodzonej tęsknoty Boga nie zna? O zaiste, ojcze! Swego, o polskiej duszy papieża, nie bulli i rozkazów z rzymskiej kancelarii chłopu polskiemu trza!

— Schizma! — zawołał ksiądz Pstrokoński wzburzony.

— Nie schizma, ojcze, jeno Polska! — krzyknął Kostka. — Jeno polski papież w polskim Rzymie, jeno wawelska katedra miast katedry świętego Piotra, polski Wawel nad Wi-

słą miast zamku Anioła nad Tybrem, polski kościół Mariacki miast świętego Jana z Lateranu!

— Piotr Apostoł fundował Rzym — rzekł opat.

— Lecz Chrystus wszemu światu fundował Boga — odparł Kostka.

— Papież, świętego Piotra następca, namiestnik Chrystusa Pana jest, jako Piotr był pierwszym Jego namiestnikiem — rzekł opat surowo.

— Ja nie wiem, przewielebny ojcze biskupie, ja nie wiem — odparł Kostka, jakoby z rozpaczą w głosie — teologiim nie studiował, w Piśmiem Świętym, w Nowym Testamencie nie biegły. Może to grzech, co mówię, jedno widzę: *a planta pedis usque ad verticem capitis non est sanitas*, od stóp do głowy rak toczy, a Rzym nie daje lekarstwa, a Rzym nie leczy! Giniemy, ojcze, rozpada się ciało nasze! Wojny nasze to konwulsje, zwycięstwa nasze to kurcze rąk ściśniętych w spaźmie konania!

Dusić jeszcze możem — nie pokonujemy! Bronić się jeszcze możem — nie zwyciężamy! Zginąć musi ten lew, co chory słoniom i bawołom rykiem nie grozi, lecz się tylko, w jamie swej leżąc, wilkom, hienom i lampartom łapami, acz potężnymi jeszcze, opędza. Kędyś trucizna jest, co duszę i ciało polskie zatruła. Szlachta otruta jest — umrze. Ojcze! Nowej Polski trza! Zali w Rzymie się nowa dusza polska ma rodzić? Zali z Tybru wody trza czerpać, by polską pierś rzeźwiła, zali z cyprysów ogień kłaść, by w budowanym z dębów powiślnych kościele ogień ofiarny polskiej duszy płonął?

— Więc czego ty chcesz? — spytał biskup po chwili.

— Hasła z Krakowa, dzwonu Zygmunta, krzyża z katedry wawelskiej, polskiego biskupa, który chłopom w kłos pszenicy, w różdżkę dębu, w wiązkę trawy łącznej krzyż owity

ukazawszy powie głosem ogromnym: — *In hoc signo vinces!* — W tym znaku zwyciężysz!

Biskup Pstrokoński niżej głowę spuścił tak, iż długa mu czarna broda po habicie spłynęła.

— Ojcze! Wstań! Weź krzyż! Pastorałem nową Polskę wzbudź! Lud nie wierzy w Boga, on wierzy w was! Chłopu polskiemu księdza trza! Ojcze! Wstań! Z zakonnikami swymi z tych murów wyjdź! Patrz! Wiosna się kwieci — rozkwitnie świat! Porwiemy za sobą klasztory, proboszczów wsiowych, młodszy kler! Stworzymy na starej ziemi nowy kraj, nową Polskę, której królem ja, papieżem polskim będziesz ty!

Ksiądz Pstrokoński porwał się.

— Samozwańcy?!

— Jam króla Władysława Czwartego syn!

— Jam biskup katolicki, opat tyniecki, sługa Rzymu!

— Ojcze!

Biskup Pstrokoński odwrócił głowę i szlochaniem wybuchnął.

— Ojcze! — krzyczał Kostka.

— Nie! — odparł opat i twarz w dłonie ukrywszy łkał z wielkim piersi wstrząsaniem.

— Ojcze! — wołał Kostka z rozpaczą. — Wiesz, że w tym zbawienie! O Rzym, który cię łamie! O Rzym!

I wzniósł zaciśnięte pięści w górę, lecz ksiądz Pstrokoński opanował się i rzekł:

— Bóg jeden i jeden Jego kościół i jeden jest namiestnik Chrystusowy. Do końca świata Rzym będzie świata panem i wyrocznią. Twój krzyż w pszenicę, dąb i trawę łączną owity, pogański by był. Krzyż Chrystusów jedno różańcem spowijać można.

— Kłamiesz, ojcze, sam sobie! — zawołał Kostka z bolesną porywczością.

— Młody jesteś, królewicu! — odparł opat. — Z ziemi powszechnej powstaje człowiek i w ziemię powszechną powraca. Część ziemi jeno nazywa się Polską. Zaczęła się Polska, skończy się, bo ludzka jest. Lecz dusza z Boga pochodzi i wiekuiście żywie. Wszystko życie świata w nagim krzyżu się mieści. Tego słuchajmy. Piotr postawił opokę, na której stoi kościół świata, a bramy piekielne nie przemogą go. Ja cię rozgrzeszam. Młodyś jest i gorący. Wiara twoja zbawia cię, dobrego chcesz. Duch święty cię oświeci i na drogę prawą nawrócisz. Idź i działaj, twórz.

— A ty, ojcze, a ty? — jęknął Kostka.

— Modlić się będę za ciebie i za twoją sprawę, która jest świętą, póki jej światło Chrystusowe świeci.

— Nie krzykniesz z twoich murów tynieckich?

— Gdyby Rzym pozwolił.

— Nie wyjdziesz w infule z krzyżem z nich?

— Jeśli Rzym rozkaże.

— Ojcze! Ty gubisz miliony ludu! Na jedno słowo wasze, biskupi, na widok krzyża we waszych rękach — my zwycięzce!

— Jam sługa posłuszny — rzekł opat tyniecki.

— A! — zawołał Kostka z wściekłością prawie. — Ah! Palcami grudę rwać, gdzieby ją można rydlem jako piasek za się ciskać! A! Czego ja bym z wami nie dokazał?! Jutro by Polska naszą była! Lecz nie, ojcze! Ja ciebie porwę z sobą! Gdy tu, w Krakowie, chłopi w Zygmunta uderzą, ty się nie oprzesz, ty pójdziesz. Wiem! I rozkażę, by cię nikt nie niepokoił z tych, co tu ze Śląska ciągnąć do mnie popod Tyniec będą.

I do podręcznej torby, która obok leżała, sięgnąwszy, sprzęt potrzebny dobył i szybko pisać począł:

„Ich inscriptus Oberster zu Ross und Fuss commando und befehle last dem Closter Tyniec mit sein einige Gütter ganz frei lassen, aliter non faciendo sub poena colli.

Ja, niżej podpisany, zlecam i mocno przykazuję, ażeby ten Konwent Tyniecki ze wszystkimi wsiami wcale nienaruszenie zostawał od przechodzących żołnierzów, pod regimentem naszym będących, pod utraceniem gardła, kto by się inaczej śmiał poważyć i przy czym być znakowi wojskowemu sobie na obronę postawionemu, i listowi ręką i pieczęcią własną zaznaczonemu. Dan w Tyńcu dnia 8 maja, r. 1651. Aleksander Lew z Sternberku".

Po czym Tyniec i biskupa Pstrokońskiego opuściwszy Kostka nazad pod Tatry wrócił i tam podług rady marszałka Łętowskiego przez Sobka Topora skalnych Podhalanów ruszyć na halę ku Stawom poszedł.

W błękitnych mgłach, daleko, widywał Kostka nieraz podczas łowów, które mu podstarości Zdanowski gotował, z gór Beskidu, Kluczek i Gorca, zamek czorsztyński, nad Dunajcem na skalnym ostrogu wzniesiony. Wydawał on mu się sercem opancerzonym tej doliny, której koroną królewską były Tatry, mieczem jasny Dunajec. I górale na łowach zamek ów wskazywali. A wieści o zbierających się gromadach chłopskich coraz częstsze i gęstsze dochodziły.

Na błękitnym tym zamku z owitą w błękitne, przezrocze muśliny Beatą Herburtówną Kostka się widział — różowe jej ciało przez przezrocz świeciło...

A złote korony na głowach światłem grały... Ach! Czynu!...

Jako orzeł uderzyć od góry!

Hetmanem zaporoskim ogłosił się Bohdan Chmielnicki, a ten tytuł jemu nie mniej niż zwycięstwa blasku dodawał;

starostą czorsztyńskim postanowił się ogłosić Kostka — w imię króla przeciw królowi, niewolnikowi szlachty. A co starosta czorsztyński góralom, to kasztelan krakowski małopolskim chłopom miał zwiastować, a potem król — całej Polsce.

Wrzało 13 czerwca, w zły dzień, 1651 roku w wielkiej karczmie Icka Hammerschlaga na rogu rynku i ulicy Szaflarskiej, którą zbójników podhalańskich w kajdanach często do miasta na stracenie prowadzono i o której jest szeroko znana nuta:

Wiedom ze mie, wiedom, Saflarskom ulicom,
pewnie mie zawiedom ku tym siubienicom.

Ze stu chłopów zgromadziło się tam, a byli to przedstawiciele dziesiątków tysięcy górali, przy panu pułkowniku Kostce się opowiadających. Wielu tam było młodych sołtysów, którzy na mocy prawa króla Władysława od zaciągów wojskowych na wojnę kozacką się wykupili, wielu gazdów poważnych, a za stołem pod ścianą, gdzie siedział sam pułkownik, po prawej ręce mając podstarościego Zdanowskiego, po lewej rektora Radockiego, zasiedli po obu ramionach marszałek Łętowski, sołtys z Chochołowa Jędrzej Kojs, z Białego Dunajca Pawlikowski, z Białki Nowobilskich trzech, z wójtem sołtysim Maciejem, Zych z Witowa, mieszczanie nowotarscy, wójtowie nie sołtysi i z mnogich jeszcze wsi gazdowie znaczni, a na rogu stołu Sobek Topór, owce i bacostwo Byrnasowi zwierzywszy, szerokimi barkami wszystkim górował.

Urada szła, wino, piwo i gorzałka sprawiedliwie potokami się lały, którą bogaci sołtysi i gazdowie dawać kazali. Naleciało się bab i mieszczanek, baby także od wsi przybyły za chłopami, a Podhalanki skalne wierchowały nad wszystkimi

wysoką głową i jasnym licem, szafirowymi jak z ognia oczyma i wysokimi, pełnymi dumy i siły ramionami. Szyję też pojedna całą w dukaty węgierskie obwieszoną miała, że gdy kroczyła, to jak złoty dzwon dźwiękła.

Pośród nich Maryna Toporówna podobna do jodły bujnej królowała.

Dziesiątki tysięcy ciupag i kos do stóp Kostki kłoniono.

Potężnym się czuł, królem już prawie.

Róg jego z czorsztyńskich murów jak grzmot uderzy.

Wtem chłopi, Podhalanie, ryknęli ogromnym chórem:

Wto pije, to pije, piom Podhalanie,
dali se powiesać ciupazki na ścianie!...

Polana, polana niejednego pana,
polane skosili, pana obwiesili!

Panowie, panowie, budziecie panami,
ale nie budziecie przewodzić nad nami!

Panowie, panowie, wyście nas trapili,
i my was budziemé, jyno powstaniemé!

Panom béło wolno po kobiercak biezeć,
a nam béło wolno w grobie ciho lezeć!...

Złowrogo huczała pieśń. Rozgorączkowane, rozgadane, rozjaśnione twarze chłopów ściągnęły się i stały drapieżne, głuche i twarde. Twardość, zaciętość, suchość okrutna i złowieszcza jęła się ryć w znanych sobie, przez siebie wyżłobionych bruzdach na licu. Orle nosy, wąskie wargi, blade i suche policzki z wystającymi kośćmi stały się kamienne nieomal, w żelazo zastygłe. Tylko oczy niebieskie i bure płonęły, podobne do ognisk na dzikich kamiennych polach jesieni.

Do rana pili i do rana śpiewali. Nikt w mieście nie spał i warty stały pod bronią, choć czuły swą bezsilność wobec

tego zboru zbrojnych w ciupagi chłopów, jednak wściekłość przeciw szlachcie tak opanowała chłopskie głowy, że ani jeden uczynek gwałtu na mieszczanach się nie spełnił.

Pili jeszcze nazajutrz i śpiewali, kiedy Kostka, wysławszy Sobka Topora na Podhale, marszałka Łętowskiego do Czarnego Dunajca na tworzenie pułków chłopskich, z kilkunastu ludźmi pod zamek czorsztyński ruszył.

Starosta czorsztyński, młody i piękny Platemberg, w szmelcowanej zbroi i w lamparciej skórze na ramionach jako szambelan królewski ku osobie królewskiej w czas wojny wraz z całym swym pocztem wojskowym się wybrał, pozostawiając, wbrew prawnemu przepisowi, miast załogi ochronnej Żydów dzierżawców.

Kostka pod zamek podstąpił i gdy główny dzierżawca, Żyd Jozue Zbaraski, w rozwianym chałacie, z pejsami u wielkiego okrągłego łba, z cebulastymi oczami, w białych pończochach i pantoflach, bramę otwarł o świcie, zaczajony ze swymi w lasku pod murem Kostka przez bramę wpadł, Żydów, Żydówki i Żydzięta powiązać kazał i stał się panem Czorsztyna.

Gdy na mur zamkowy wstąpił, rozszerzyła mu się dusza, jak skrzydła wielkiego ptaka, gdy je, ocknąwszy się ze snu na wysokiej skale, szeroko rozłoży i potężnie nimi zatrzepoce.

Rycerskich Wazów królewski syn stał na blankach królewskiej twierdzy i poglądał po ziemiach.

Na skale, nad spienionym Dunajcem wyniesiony, dzielił zamek czorsztyński Węgry od Polski. Posiadłości Rakoczego tuż za Dunajcem leżały, a droga z Węgier do Krakowa przez Czorsztyn wiodła. Był to klucz, który wrota Wawelu od Spiszu zamykał.

Lecz mógł i otworzyć. Rakoczy, książę Siedmiogrodu, przeciw któremu pozornie Kostka wojska werbował, przez Czorsztyn na Kraków patrzał...

Niesłychanie, gwałtownie, nad podziw szybko niedawne jeszcze chęci tylko Kostki przybrały ciało. Uczynił krok na przepastnym moście, lecz wierzył, że przejdzie. Czy nie teraz spełnia się wróżba cyganki siedmiogrodzkiej, iż wysoko umrze? Czy nie jest już wywyższony nad innych?

Ze swojego zamku w Siwym Rogu, ze swoich baszt w Sieniawie czy Brzeżanach nie dumniej, nie wynioślej, nie wspanialej pozierają Herburt lub Sieniawski. Dziesiątki tysięcy otaczają ich nienawidzących ich poddanych — jego setki tysięcy ubóstwiających go górali. Sześć tysięcy żołnierzy ma Sieniawski, cztery tysiące Herburt — on kilkadziesiąt tysięcy siekier, kos, maczug, rusznic i pistoletów podniesie. Gdyby dzisiaj chciał, mógłby niebawem ruszyć stąd, w proch zetrzeć Siwy Róg, z ziemią zrównać Sieniawskich gród hetmański, Beatę na rękach chłopskich, jak wydarte z ogrodu nurtem powodzi brzoskwiniowe drzewo, gdzieby chciał ponieść — ale nie chciał. Nie był już zakochanym ubogim młodzieńcem — był odnowicielem Polski u progu czynu.

Ale że chytrze, zwłaszcza w początkach, nim się górale wiedzeni przez Sobka Topora i Łętowskiego zgromadzą, poczynać trzeba było: do księdza Piotra Gębickiego, biskupa krakowskiego, wysłał umyślnym list donosząc, iż za rozkazem królewskim zajął Czorsztyn „z obawy, ażeby forteca ta pograniczna, nie mająca żadnej załogi i opatrzenia, nie dostała się w ręce Węgrów". Prosił też biskupa o posłanie mu kilku armat przewoźnych, prochu i kul, bo nic w zamku oprócz nadartych z chłopów przez Jozuego Zbaraskiego pieniędzy i nagromadzonej przez Żydówki obfitej żywności nie zastał.

Aliści ksiądz dziekan nowotarski, Jędrzej Bytomski, zaproszony na indora do proboszcza ludzimierskiego, księdza Michała Słomki, zauważył przez wieś jadąc, iż wszystkie chałupy umajone są zielonymi choinami.

Zadziwił się i spotkanego przysiężnego ludzimierskiego Cyriaka o powód zapytał.

— Jegomość nie wiedzom? — odparł Cyriak. — Je dy to na to, coby wojsko nie rabowało i nie podpalowało.

— Jakie wojsko?

— E to, co pan Kostka, królewski pułkownik, za królewskim ozkazem werbuje.

I biskup Gębicki otrzymał w Krakowie równocześnie niemal Kostkowe zażądanie działek i amunicji do zajętego Czorsztyna i alarmujące listy od dziekana z Nowego Targu i proboszcza z Lubnia koło Pcimia, gdzie rektor Radocki wiece chłopskie tajemnie zwoływał, a nawet od pana Zdanowskiego, któremu ksiądz Bytomski o majeniu chałup donieść rozkazał.

W lot zrozumiał biskup, iż ów obrońca całości Rzeczypospolitej wysoce jest podejrzany, a zapowiedziane zaciągi Bóg wie na co posłużyć mogą, odpisał więc Kostce, że „nie w taki sposób zajmuje się królewskie zamki do obrony zlecone" i że radzi mu, aby dobrowolnie Czorsztyn opuścił, sam zaś zwołał radę panów krakowskich, którzy w mieście obecni byli, sześćdziesięciu dragonów pod panem Michałem Jordanem, dobczyckim starostą, na odebranie Czorsztyna wysłał, ku którym się spory poczet wolentariuszów szlacheckich przyłączył.

Zmieszał się srodze Kostka list biskupa otrzymawszy i w pierwszej chwili gorąco i zimno mu się zrobiło, a łydki pod nim zadygotały. Wydawało mu się, iż potrzebował tylko rękę wyciągać i brać, że zająwszy zamek nogę jakoby w strzemieniu postawił i tylko drugą przełożyć musiał, aby w siodle sieść, ale przekonał się przy pierwszym kroku, że się łudził i mylił. Przeraziło go także własne młode niedoświad-

czenie, którego sobie pisząc list do biskupa jaskrawy dał dowód.

Opór przeciw sobie sam wywołał i przyspieszył. Odezwać się można było mając kilka tysięcy, a nie kilkunastu ludzi w Czorsztynie.

Za drugiego Chmielnickiego, w którym mieszkał „lew wespół z wężem“, się miał, przekonał się jednak, iż stary hetman zaporoski z uśmiechem by go klepał po ramieniu, a on go jak żak nauczyciela słuchać był winien.

Jednak chwilę tylko zniechęcenie i przerażenie trwało. Odwagą i męstwem niedoświadczenie i nierozwagę wyrównać postanowił, a i czasu na myślenie nie stało, gdyż pan starosta Jordan swego brudnego kasztana ze strzałką, dragonów oraz ochotną szlachtę tak pędził, że już nazajutrz po liście biskupim pod Czorsztynem stanął.

Brzuchaty i wąsisty pan Jordan, pod zamkiem przenocowawszy, murom się o świcie przypatrywać począł i podług instrukcji biskupa zamyślił się z panem Kostką naprzód w słowne pertraktacje wdać. Rozkazał więc trębaczowi, Szeludze z Czarnej Wsi pod Krakowem, płachtę białą od pasterki wziętą na kiju wywiesiwszy z trąbieniem wielkim ze sobą pod zamek podjechać.

Kostka naonczas spał, a spali i chłopi, krzątaniem się po zamku i plądrowaniem go znużeni, nie spały tylko baby, dwie Nowobilskie, Maćkowa i Józkowa, i dwie dziewki, Jantosia Zegleniowa z Miętustwa i Hanka Pokusówna z Długopola, co z chłopami z Nowego Targu do Czorsztyna przywędrowały. Siedziały one w kuchni i piekąc z mąki pani Jozuowej Zbaraskiej kołacze z serem uradzały.

Nagle Józkowa Nowobilska przestała zagniatać mąkę, nastawiła uszu i powiada:

— Cosi robiom, co trombiom.

— Moze? — odpowiedziała jej Nowobilska Maćkowa.

— Naozaist trombiom — powiada Józkowa. — Trza wyjźreć.

Wyszła i wróciła z wiadomością, że szlachcic na koniu i żołnierz z białą płachtą na kiju i z trąbą pod murem stoją.

Maćkowa Nowobilska, żona sołtysiego wójta — rodziny sołtysie miewały osobnych wójtów i wójtom gminnym nie podlegały we wsi — odłożyła ciasto, otarła ręce i wyszła z kuchni, a za nią towarzyszki.

Wystąpiły na blanki, a Józkowa krzyknęła:

— Nie trąb ta telo, bestyja, bo pana obudzis, j... ci oko dziś!

Ale Maćkowa, baba obstarna i obszarna, rzekła z godnością:

— Ckaj! — i zapytała wyniośle:

— Wto?

— Hej tam mosterdzieju! — wrzasnął Jordan, bo takie przysłowie miał. — Nie ma nikogo, tylko baby?!

— Som jest i hłopy — odparła Maćkowa. — Co fcecie?

— Gdzie pan Kostka?

— Śpi.

— To go obudź!

A Maćkowa rzekła wyniośle:

— A coz to, nie widzis, ze gaździna?

Wspomniał Jordan polecenie biskupa, ażeby politykował chłopów nie drażniąc, zatrzymał więc oburzenie i zawołał:

— Obudźcież go, gaździno!

— Na co?

— Jaśnie wielmożny Michał Jordan, starosta dobczycki, rozkazuje!

A Maćkowa odpowiedziała z dumą:

— Nas pan starosta ciorštyński taki dobry jak i dobcycki!

— Ksiądz biskup krakowski mnie tu posłał!

— E to se stójcie! — zawołała Józkowa Nowobilska.

Pan Jordan wpadł w pasję — na razie jednak słów i pomysłu mu brakło i zwrócił się do Szelugi ze srogim spojrzeniem, wybuchając z pasji:

— Phu mosterdzieju, co?! Brrum!

A Hanka Pokusówna, tęga, przystojna młoda dziewczyna z „diablim pyskiem", spod baszty:

— A coz to hań grzmi? Bo tu u nas pogoda.

Siepnął się Jordan w kulbace, ale strzymał jeszcze.

— Słuchajcie, baby — podniósł głos — idźcie mi po Kostkę natychmiast!

— Ej ja hań nie ide, bo sie boje, byk się nie zadawiła — odpowiedziała Pokuszczanka.

— Best! — rozśmiała się Józkowa Nowobilska. — Diabłów zjadło z dziéwkom!

— Po coście, panie starosto, przyjehali? — zapytała Maćkowa godnie.

— Zamek brać! — odparł Jordan z dołu.

— Zamek u mnie gotowy, jyno nie wiem, cy kluc nie diablipote! — zawołała Pokusówna.

Huknął śmiechem trębacz Szeluga, który mundsztukiem trąby zęby zaciskał, buchnęły śmiechem baby na murze, a Józkowa zawołała:

— Siejdze, pokuso zatracona! Cy cie milońscy dziś?!

Pan Jordan zaś cały spłoniony ryknął:

— Psie baby sobacze! Skórę z was drzeć każę!

— A skądze pan zacnom? — zapytała Pokusówna.

— Skąd, ty małpo wszeteczna?! — wrzasnął pan starosta. — Stamtąd! — I obróciwszy się w siodle zaryczał bawolim głosem:

— Bywaj!

Wnet z przylasku poczęli się wysuwać dragoni biskupa Gębickiego i szlachta wolentariusze.

— Stąd! — powtórzył pan Jordan w furii.

Stropiła się Józkowa Nowobilska, poznała, że niepeć i rzekła do Maćkowej:

— Stosecnyk diabłów zjadło, aj zjadło — zołmirze...

Ale Maćkowa nie straciła godnego rezonu; wiedziała ona, że tysiące chłopów pod Czorsztyn nadciągnąć mają i krzyknęła z góry zuchwale:

— Panie starosto! Cobyś nie wlazł, jak koński mihał, ka ci nie trza!

— Czekaj, ty wiedźmo stara! — ryknął pan Jordan i zdarłszy konia z trębaczem za sobą, zawrócił ku swoim.

Długo sapał, nim się wysapał, a gdy za radą porucznika dragonów i pana Gozdawy Mieszkowskiego wymowny pan Skoraczyński i ksiądz z Maniów, za wojskiem przybyły, z samym Kostką już mówiący i obiecujący mu zupełną swobodę, gdyby zamek dobrowolnie oddał, nic nie wskórali: do szturmu uderzyć kazał.

Aliści kilkakrotne zapędy dragonów pod mury i usiłowane podpalenie bramy nie powiodły się; w zamku było nieco broni, chłopi też mieli swoją, w dodatku obecny pleban z Maniów ducha oblegającym odbierał, nieustannie powtarzając i wołając: — Śpieszmy się! Śpieszmy się! — Obawiał on się bowiem mających rzekomo nadciągnąć zbuntowanych górali.

Nieudane ataki, strata kilkunastu koni ustrzelonych i dość ciężkie rany i potłuczenia kilku dragonów, a przy tym coraz rosnący strach przed czernią chłopską źle podziałał na pana Jordana, gdyż nagle, nic nie powiedziawszy nikomu, z panem Mieszkowskim, Skoraczyńskim i jednym jeszcze szlachcicem ogony końskie zamkowi pokazali. Gdy wodza brakło,

ruszyła za nim, tchórzliwie zresztą bardzo zachowująca się, ochotnicza szlachta, a za nią i dragony pomknęli z kopyta gościńcem ku Krakowu, w ślad starosty.

Drwił Kostka sam ze siebie, że się tak łatwo dał był na razie listowi biskupiemu nastraszyć i że go tak szybko zwątpienie opadło. Zetknął się, starł z nią i zwyciężył przeciwność tak łatwo, że aż śmiechu to było warte, bez jednego skaleczonego w zamku człowieka. Stłukł się tylko w kolano, jakby naumyślnie na śmiech i żart, że przecie rany przy odpieraniu szturmu były, kowal z Łopuszny, Magiera, o kant kamiennego muru się uderzywszy.

Rad też i wesół, gdy państwo Jozue i Ryfka Zbarascy miodem swoim i winem chłopów częstowali, zasiadł w kancelarii szambelana Platemberga i znalazłszy tam inkaust i co potrzeba, do imci pana Wiktoryna Zdanowskiego list prozą i wierszem pisać począł, zapraszając, aby „na świętego Jana stawić się w Czorsztynie raczył, bo wielkie wojska tutaj ściągać się będą, gdyż jest wola Boża, a nie inna, aby tak wielkie zbrodnie ukarane zostały, co daj Boże, aby bez rozlania krwie chrześcijańskiej. Ja WM. Pana gospodarzem zostawiwszy pójdę sam, gdzie mię Bóg z wojskiem obróci...

...bramę zapalili,
Mniemając, żeby orła w piersi ugodzili.
Wtem się im lew otrząśnie, pocznie prószyć z góry,
Aże miéła maślanka rozlała się w dziury.
Bramę zalał, ich pokłuł, pozabijał konie,
Że nazad musiał jechać na świnim ogonie.
Wtem obaczy, nie dudka, starostwa pragnący,
Chłop babiasty i tłusty, Jordanek rzeczący:
Nie chcąc czekać ostatka samoczwart uskrobał,
Czyli się też w kwatery między skały schował.
Potem w kotły usarskie w zamku uderzono
I ospałych żołnierzy z akownic budzono.
Wtem się porwą do koni, nie chcąc czekać dalej,

Pieszo jedni, na koniach drudzy uciekali,
Inni jeszcze na zamku w Krakowie statutu
Zapomnieli i swego prawnego talmutu.
Kazał ich lew prowadzić, z długich arkabuzów
Nabawiéł niejednego z nich strachu jak guzów.
Otóż wam Zuzanicy, cóżeście wygrali,
Tylkoście lwa daremnie na się rozgniewali,
Który się skrył choć cicho, na tajemne skały,
Kędy ledwie orlice pióra donaszały.
Przy kiem Pan Bóg, z tym trudno, nieboże, wojować:
Lepiej by snać za grzechy wcześnie pokutować.
Bojemy się człowieka; bój się raczej Boga,
Przy tym stojąc, mnie ufaj, nie dojdzie cię trwoga.
O nieszczęsne łakomstwo, o przeklęta pycho,
Któraś w Polskę, ach, ach, ach, wprowadziła licho!
Boję się, by nie przyszły już proroctwa ony,
Że miało wniść wszystko złe tu od Akwilony.
Ten, co widział, świadczy".

Drugi też list do marszałka Łętowskiego wysłał, ażeby jako z największym ludem przybywał... „A upomnij WM. M. M. Pan, ażeby z sobą brali siekiery jedni, a drudzy rydle. Pójdziem wszyscy przez Kraków i dalej przez wszystką, jeśli wola będzie, Polskę. Mamy dobrą zmowę z Chmielnickim i z Tatarami i niemieckie wojsko przyjdzie nam na pomoc..."

Radowała się i weseliła młodość pana Kostkowa. Na zamku starościńskim, na wyniosłym ostrogu siedział, listy wojenne pisał, w hardości stał. Na wspaniałym karle szambelańskim rozparty, nogi przed się na niedźwiedzią podesłaną pod kantorek skórę wyciągnął i ręce w kieszenie szwedzkich rajtuzów wsadził, głowę przez poręcz przewiesiwszy.

Ty bendzies płakała,
jo nie bende słysoł,
jo nie bende słysoł,
sionde sobie w pokoiku
listy bende pisoł —

przypomniała mu się pieśń mazowiecka o trzech panach Potockich, co jechali z wojny, „pytali się, pytali się o nocleg spokojny...“

A kiedy już mieli „tę nockę spokojną,
pytali się, pytali się
o dziewcyne strojną...“

Beata Herburtówna...

Zali sen?...

Kędyś, gdzieś ogród kwietniowym wczesnym ciepłem pachnący... dawno... daleko... Uścisk — uścisk promienny...

Sieniawski, Sulnicki, Korecka księżna, wojewoda...

Pożar Zgorzelic, łuna...

Królowej Cecylii Renaty dwór... bale dworskie... uczty... psoty paziowskie...

Poniewierka, głody, niedostatki...

Zali sen?

Ah! ten słodki, ten cudowny, ten niebiański uścisk nadziemskiej iście rozkoszy...

Wtem stanęła przed nim Maryna z Hrubego.

— Panie — rzekła — przysłał mnie brat Sobek ze dwoma ludziami, sam w tym tyźniu haw s tysiące ludzi bedzie.

Przypatrzył się jej Kostka zamgławionymi marzeniem oczyma. Wspaniale stała.

— A ty co? — spytał. — Chcesz tu zostać?

— Fcem.

— Po co?

— Ja do wojny pudem.

— Bić się?

— Haj.

— Chłopów dość, wystarczy.

— Ja sie we krwi opłukać musem.

— Albo co?

— Bo ja sie od diabła kusić dała — musem sie omyć.

— We krwi?

— Haj.

— A coś robiła?

— Ja sie z potworom zadawała.

— Jak to?

Nie odpowiedziała Maryna, tylko rzekła ponownie:

— Sobek brat haw bedzie hnet. Samyk Toporów ś nim siedmi, Mardułów trzok...

Kostka przypatrywał się piękności Maryny.

— Maryna — rzekł przeciągając się.

— Co?

— Maryna — powtórzył.

— Panie, ostańcie mi świenty, hłopski zbawiciel! — rzekła Maryna i wyszła z komnaty.

Przybył nazajutrz Łętowski, ale z paru tylko chłopami, w odwiedziny, obiecując powrócić i spod Czarnego Dunajca dziesiątki tysięcy chłopów ze wszech stron góralszczyzny zwieść, oddano też w cztery dni po ustąpieniu Jordana list od rektora Martinusa Radockiego z Pcimia, który, o „miłośnikach prawdy Chrystusowej“ wspomniawszy, donosił, „iż chłopi, gdyby dozwolenie, albo głos IMci króla słyszeli, tedy by prawie sami na dwory szlacheckie następując niszczyli je, aby już więcej hardość i wyniosłość ze złością tyrańską na ziemi nie panowała......“

Siadł więc Kostka ponownie przy kantorku Platemberga i manifest swój, zaczynający się od „Pokój Chrystusa!“ — pisał, gdzie w imieniu króla „wszystkie wolności tym wszystkim, którzy teraz stać przy nim będą, i dwory szlacheckie i co w nich“ w obszernych słowach obiecał. Dodawał też, „aby (jako ma polecone od króla IMci) żadnym uniwersałom,

choćby i z pieczęcią i z ręką króla IMci były, wiary nie dawali, gdyż te musi wydać, bojąc się szlachty".

Na Kraków zapowiadał pochód i do Czorsztyna „pod swe skrzydła garnąć się" kazał, kościołów polecając nie tykać, „gdyż o Boga i krzywdę ludzką wojować będziemy".

Dan w Czorsztynie 22 czerwca 1651.

Szczęśliwa i radosna młodość pana Kostkowa na zamku się cieszyła. Manifesty wydawał, potęgą się czuł, sławę nieśmiertelną przed sobą widział. Cieszył się jak dziecko i w ręce byłby klaskał, a cebulooki, kłapouchy, minogogęby, mały, gruby, brudny, krostowaty i finezyjno-ironiczny Jozue Zbaraski śmieszył go nad wyraz. Sam nie wiedział, czy się bawi w rewolucję, czy to prawda? Jestli mesjaszem chłopów, panem Czorsztyna, wodzem setek tysięcy — czy paziem królowej Cecylii w Warszawie, w wojnę turecką z towarzyszami grającym? Krótko, nagle, jakby przez sen się działo...

Wypadł Kostka po napisaniu swego uniwersału z kancelarii Platemberga i na Józkową Nowobilską trafiwszy pod boki ją chwycił i kręcić babą zaczął, a pokrzykiwać: hop! hop! — że myślała, iż oszalał. A kiedy ją puścił, choć baba pięćdziesięciu blisko była, zwierzyła się Maćkowej Nowobilskiej:

— Wiécie, kumosko, kie mie ujon, hoćjek ta taka nienomłodsa, ej wiécie, na mój prawdu, ja by sie mu nie broniła — jakby tak jus musiało być...

A Maćkowa:

— Hej, wiera, jakby musiało...

I westchnęła ze zwątpieniem.

Aliści niedługo miał się czas cieszyć sobą młody pułkownik.

Z krzykiem: Zołmirze idom! Zołmirze idom! — przybiegł wysłany po jaja na wieś chłopak, co przy Kostce służbę pa-

chołka pełnił. W pół godziny później dragoni, piechota, puszkarze z dwoma działami zamek otaczać poczęli — w tysiąc ludzi blisko pod wodzą pułkownika biskupiego Jarockiego.

Ksiądz biskup Gębicki po niesławnym odwrocie pana Jordana spod Czorsztyna, gdzie babom na gębę, a chłopom na pięści nie sprostał, wielkie larmo podniósł. Wysłał 250 piechoty pod Czorsztyn, a do podstarościego i sędziego grodzkiego krakowskiego list pchnął: „Z Krakowa d. 30 Junii 1651. Czorsztyn ubieżono i zbójcami osadzono! *Ad primum nuntium* posłani ludzie, *qui flammam extinguerent,* nic nie wskórali i ten ogień tli się, bo chłopstwo *insurgit*... Dla miłości i ratunku ojczyzny przybywaj, przybież W. M. Pan, bo to straszny ogień!"

Popędził goniec do króla, rozesłano do wszystkich proboszczów po wsiach, aby z ambon przeciw buntowi wołali i lud powstrzymywali, a za 250 wyprawionej piechoty wyekspediował przerażony biskup jeszcze 200 siewierskiego swego regimentu, 60 harników, zwanych tak od harnisza, albo zbroi, a także świstakami, od komendy świstaniem na wzór zbójecki, strzelców górskich wybranych i dwa działa. Starosta z Lubowli otrzymał rozkaz i przywiódł również dwa działa i 150 żołnierzy. Spod Muszyny przybyli dragoni biskupa. A gdy na dzień 27 czerwca podstarości krakowski Śmietanka wszystką szlachtę, starych, chorych, sługi, faktorów i urzędników królewskich i duchownych do Krakowa przeciw buntownikowi Kostce powołał: miał on 22 czerwca naprzeciw tysiąca oblęgających 27 górali i 5 kobiet w zamku.

Ale miał pewność odsieczy. Z Podhala z Sobkiem, z Beskidów z Cepcem i Sawką, od Czarnego Dunajca gromady Łętowskiego przybyć miały lada godzina. Cepiec i Sawka donieśli, iż pod Lanckoroną, pod Melsztynem stoją całe kupy czerni, iż całe wsie spod Krosna, jak Żeglce, Budzyn, ciągną

z wójtami na czele, iż pod Babią Górą, w Ochotnicy nad Nowym Targiem, w Porębie, w Niedźwiedziu, w całej okolicy bliskiej i dalekiej dziesiątki tysięcy pod bronią stanęły.

Więc choć się nie spodziewał oblężenia i dwudziestu siedmiu tylko chłopów i pięć bab w zamku miał, nie uląkł się i bronić postanowił, a wici smolne na alarm palić kazał. Rozgorzał Czorsztyn na wsze strony i dymem się osłonił.

Tymczasem, gdy się zamek na wezwanie nie poddał, bombardować go z dział i szturmować piechotą poczęto.

Rusznic i armat kilka w zamku było, ale nie było prochu i kul. Kostka za czasu manifesty pisał i z Jozuego Zbaraskiego kpinkował, ale o amunicję się nie był postarał. Zębami zgrzytał teraz i paznokcie w dłonie wciskał, ale to się na nic nie zdało.

Wierny pachołek jego, do Lubowli w nocy po proch i kule choć do rusznic chyłkiem wysłany, w ręce dragonów wpadł i pod zamkiem na widoku rano 24 czerwca ćwiczony był batami.

Wstało to rano złowrogie. Smolne wici płonęły na murach dzień i noc, gorzał Czorsztyn na wsze strony i dymem się osłaniał, na alarm buntownikom, ale nikt nie przybywał.

— Coz bedzie? — zapytał Kostkę Łętowski w kuchni, gdzie ogień płonął.

— To! — krzyknął Kostka i wybiwszy czekanem szybę z ramy ołowianej, wydarł ołów i na tygiel rzucił. — Będą kule!

Za czym za jego przykładem wszelki metal w zamku na kule przetapiano, gwoździe z gontów darto, baby marmury z posadzek łamały, smołę warzyły, kamienie z bruków wyważały; czym kto mógł, raził, prażył, tłukł dobywających fortecy.

Dobiegło południe — pomoc nie przybywała.

— Coz bedzie? — zapytał sołtys Łętowski, patrząc ku wojsku biskupiemu, które obiadowało.

Ale Kostka, ranny draśnięciem kuli w czoło, nic mu nie odpowiedział. A że krew mu oczy zalewała, poszedł ranę zawiązać.

Spotkał w progu Marynę, kule ulane w kuchni z kandelabrów Platemberga na mur niosącą.

— Płótno masz? — spytał.

— Cysta kosula — rzekła Maryna i ugiąwszy spódnicy płótna kawał oddarła.

— Wiąż — powiedział Kostka.

Zawiązała.

— Gdzie twój brat Sobek?

— On przydzie.

W tej chwili kula armatnia okno zdruzgotawszy, nad głowami im w pułapie cegły krusząc utkwiła.

— Aby tylko dotrzymać! — rzekł Kostka. — Zresztą mnie nie wezmą. Nie damy się wziąć!

Marynie stanął w oczach straszny wyraz twarzy Szczepana Kurosa, parobka z Miętustwa, kiedy kochanka jego Żegleniówna, która mu jeść na mur niosła, kulą w pierś trafiona u nóg mu padła i zmarła.

Maryna zauważyła już, że chłopi między sobą zamieniają szeptane słowa i kryte spojrzenia. Słyszała, jak Nowobilski Maciek, chłop po Łętowskim najpoważniejszy, mówił do brata stryjecznego Józka: Nie przydzie nik. My tu wyginiemé sytka i telo bedzie.

A Józek Nowobilski, olbrzym woły noszący, ponuro powiódł po ziemi jastrzębimi oczyma.

— Ale co z Sobkiem? Co z Toporami? — mówił Kostka. — Co z bratem twoim, Maryna?

— Ja nie wiem, panie. Wto jak wto, ale on haw jus powinił być. Na wcora pod noc se ślubił przyjść. A Sobek hłop nie taki — co komu, cy sobie sam prziślubi, to zrobi, hoćby mu sam Chworz-Smok z carnymi skrzydłami abo Krwnik-Ubijca, śmierzci bóg z macugom, zastąpili.

— Niech się dzieje, co chce — rzekł Kostka chwiejąc głową. — Już drugi dzień na murze na nogach jestem, oka dwie noce nie zmrużyłem, morzy mnie taki sen, że wytrzymać nie mogę. Chwileczkę pośpię.

— Nie légajcie, panie — rzekła Maryna. — Wto wié, co moze być?

— Niech będzie, co chce! Za ten czas może Sobek nadciągnie, albo Cepiec i Sawka...

I rzucił się na łoże Platemberga.

Tymczasem działa biskupie i starosty lubowelskiego grzmiały bez przerwy i mury zamku kruszyły. Gorączkowo dobywał Czorsztyna pułkownik Jarocki, bo się nadciągnięcia chłopskiej odsieczy bał. Osobliwie o podhalanach skalnych wieści pewne doszły, że się ruszyli i na przełaj przez góry na Białkę mieli iść. Sobek Topór dowodził. Coś ich snadź w drodze zaszło, ale każdej chwili przybyć mogli.

Nie wiedzieli jednak o tym oblężeni chłopi, a wiarę w odsiecz stracili. Piechota ani dragoni do zamku się nie darli, chował ich Jarocki na możliwy atak czerni, tylko działa raz po raz kruszyły mur, rażąc wewnątrz muru zamkniętych ludzi.

W piwnicy, aby się od kul zasłonić i winem pokrzepić, zebrali się obaj Nowobilscy, Kuros i czterech innych górali.

— Co moze być, co nik nie przyhodzi? — rzekł Józek Nowobilski.

— No ja ci nie wiem pedzieć, bracie — odpowiedział Maciek. — Sobek od Jasice sie zadusiował na rany Hrystusa Pana

i na samego boga Poklenca klął, co haw wcora we wiecór z ludziami przydzie. Dy ani wte nie wiedział, co s nami bedzie, a nie dopiéroz teraz, kie harmaty po górak dudniom, jaz Oźwiena głuhnie. Ale tu nikogo znikąd nie widno.

— No, to co bedzie, krzesny ojce? — ozwał się Kuros. — Mamé ginąć sytka, jak moja Jantośka niescęsna?

— Ze dy prawda — rzekł Kułach z Ludzimierza.

— Obwiesom nas, lebo bedom i kołem łomać, lebo ćwiertować jak w jatkak — rzekł Bagancarz z Klikuszowy.

— Pasy s nas kazom katowi drzyć — rzekł Truty z Lasku.

— Bedom s nas ciało odscypali jak trzaski — ozwał się Kapuściarz z Pyzówki.

— Ani nas we święconej ziemi nie dadzom grzybść.

Zwiesili głowy.

— Baby i dzieci ostawimy siéroty...

— Majątki, ziemie świentej odumremy...

— Na męki sie damy...

— A nie sprawimy nic...

— Hłop był hłopem i hłopem bedzie...

— Pan był panem i bedzie panował...

— Taki musi być porzondek świata i wola Boska...

— Coz bees robiéł?...

— My tu nasom śmierzciom światu nie zbawimé...

— Ani nikogo...

— Moze ta pan Kostka i dobrze kcieli...

— Abo i marsiałek Łętowski...

— Ale kie sie nie da, to sie nie da...

— A coz komu z naskiej haw śmierzci przydzie? Nic.

— Abo z męki?

— Ma sie odmienić, to sie odmieni, a nié, to nié.

— Ale bez ten zamek sie nie odmieni.

— O bo wiera nié!

— Wto dowodzi — nieg radzi. Ginąć sie nikomu nie fce.

— Zej ba! Hébaby głowy ni miał!

W tej chwili we drzwiach piwnicy okazały, z siwą brodą, Łętowski stanął.

— Hłopy! — krzyknął. — Hań na murak jyno pięci zdrowyk, a wy tu?!

— Tu — odpowiedzieli ponuro.

— Coz radzicie?

Chwilę milczeli, a potem Józek Nowobilski rzekł:

— Ginąć darmo sie nikomu nie kce.

Zrozumiał Łętowski i zbladł.

— No to co fcecie? — zapytał cicho.

— Kaz som jest pułkownik? — ozwał się wymijająco Maciek Nowobilski.

— Poseł rane zawiązać.

Nastało milczenie. Wtem zagrzmiało i z muru za plecami Łętowskiego gruz się od uderzenia kuli działowej posypał.

— Sami widzicie — rzekł Józek Nowobilski.

— Nas jest żdrowyk mało co wysy dziesięńci, a hańtyk jest tysiące.

Nagle porwał się Szczepan Kuros z niskiego stołka.

— Co haw długo ukwalować?! — krzyknął. — Zamek trza oddać i jest!

Na to chłopi czekali.

— Zamek trza oddać! Słuśnie gadze! — zawołali zrywając się z miejsc dwaj Nowobilscy, Kułach i trzej towarzysze.

— Hłopi! Bójcie się Boga! — krzyknął Łętowski. — I zamek oddać, i pod nóz iść! To lepi zginąć w murak!

— Ja juz wiem, jako zrobić! — zawołał Maciek Nowobilski. — Mnie nie trza ucyć. Ja przy wojsku bywał.

I porwał się biec.

— Kaz lecis? — zatrzymał go Łętowski we drzwiach.

— Na mur! Zamek dać!

— Przez pana pułkownika nie wolno!

— Pytaj sie go sam!

— Nie pudzies!

— Pude!

— Marsiałku, puście nas! — krzyknęli chłopi, którym Łętowski drogę z piwnicy we drzwiach zagradzał.

— Przez pana pułkownika nic!

— Bajto! — wrzasnął zuchwale Kuros i starca wpół uchwycił, by na bok szarpnąć.

Gdy się ten ośmielił, ośmielili się i inni. Ubezwładnili Łętowskiego, a Józek Nowobilski rzekł:

— Zapremy was haw, w piwnicy, do czasu.

I wepchnąwszy Łętowskiego do lochu drzwi zatrzasnęli. Maciek Nowobilski zaś na mur wbiegł, powiewając białą czuchą nad głową na znak, który jako dawny wojskowy znał. Dostrzegł pułkownik Jarocki czuchę i pod mury się posunął.

— Co chcecie? — krzyknął.

— Za Kostke i za Łętowskiego puścicie nas ślebodno?

Jarocki się czerni bał, odpowiedział więc:

— Puścimy!

— Przysięngniecie?

— Przysięgniemy!

— Podpisecie sie?

— Podpiszemy!

— No to ustańcie strzylać! Poślemy opis do podpisania!

— Dobrze!

Skoczył Maciek po Jozuego Zbaraskiego, wywlókł przerażonego Żyda spod stosu pierzyn za kołnierz i rozkazał mu pisać warunki poddania zamku i wolności.

Armaty ucichły.

Kostki chłopi nie szukali. Nie chcieli mu spojrzeć w oczy. Wiedzieli od Maryny, że spał.

Wtenczas Maryna weszła do komnaty i ujrzała Kostkę na łożu Platemberga, nad chęć snem zmorzonego.

Wstrząsnęła go za ramię.

Zerwał się: — Co?! Sobek z Toporami?

— Nié — odpowiedziała Maryna. — Hłopi zamek oddali.

— Jak to?! Co?! — krzyknął Kostka skacząc na równe nogi.

— Jako wam mówiem. Skoda was.

— Kto oddał?! Gdzie Łętowski? Ustrzelon?

— Nié, zaparty do piwnice.

— Prawdę mówisz?

— Prawde.

Kostka opadł na łoże.

— Słuchajcie, jak nie wierzycie — rzekła Maryna. — Armaty cicho stojom.

Kostka poczekał chwilę.

— Prawda — rzekł.

— Skoda was — powtórzyła Maryna.

Strasznym wydało się Kostce milczenie oblężniczych armat.

— Jak śmierć — rzekł jakby do siebie.

Nagle porwał go gniew, wściekłość, tupnął nogą, cisnął przez zęby przekleństwo, porwał się biec... bronić się jeszcze godzinę, jeszcze dwie... pomoc nadejdzie!

Skoczył w drzwi, chciał wypaść na podworzec zamkowy — ciężkie drzwi dębowe, na schody wiodące, znalazł zamknięte od zewnątrz.

Snadź czymś zaparte. Skręcił ku oknu, ale z okien apartamentu Platemberga nie było widać podworca, tylko w dali Tatry, a przed nimi okolicę podgórza. U dołu był wysoki stok skały zamkowej. Nie podobna się było wydostać.

— Zamknęły mnie psiewiary! — krzyknął stając bezradnie.

— Zamkneni — rzekła Maryna. I po raz trzeci dodała:

— Skoda was.

W mgnieniu oka, jak tonącemu, przesunęło mu się przed myślą wszystko: sfałszowane listy królewskie, werbunek i buntowanie chłopów, uniwersał Chmielnickiego, uniwersał jego własny przed dwoma dniami wydany, zajęcie zamku — jawna zdrada i rewolucja... czekać go mogła tylko śmierć.

Siadł na łóżku i głowę na rękach na stole wsparł.

— Zal wam młodego zycia? — zapytała Maryna.

Kostka milczał.

Nagle coś zahuczało.

— Strzelili! — krzyknął radośnie, dźwigając głowę.

— Nie — to mur kajsi kulami zdziurawiony gruchnon.

Kostka naprężył uwagę — cicho było.

— Zal wam zycia? — powtórzyła Maryna.

Naówczas Kostka podniósł oczy, popatrzył na nią i począł mówić powoli:

— Hej, Maryś...

Hej, Maryś! Słońce się nade mną wzniosło, jak nad młodym dębem, królem drzew, i koronę mi uzłociło... za cóż tak rychło, tak zaraz chmury miały zejść, piorun się nade mną miał zakołysać?... Wywyższon chciałem być — ale nie jeno własnej chwały — ludzkiegom szczęścia pragnął...

Wieki miną, nim się to pełnić pocznie, co się za moją sprawą, co się przeze mnie pełnić miało... Królem chłopów, królem małych chciałem być, jako on król Kazimierz Wielki... —

— Królem jeście kcieli być? — zapytała zdumiona Maryna.

Ale Kostka nie wytłumaczył jej, tylko mówił dalej:

— Wieki miną... Chłopi sami, rękoma własnymi, nóż pęta na ich szyi przecinający w odmęt morski rzucają. Czemu

mnie opuścili? Czemu nie przyszli? Oh! Czemuż biskup Pstrokoński, opat tyniecki, Rzymu się bał? Któż pierwszy gubi mnie i któż pierwszy gubi wolność narodu chłopskiego?! Wiem! Zgaduję kto!

Rozżalił się Kostka i łzy mu w oczach stanęły.

— Czemu chłopi nie przyszli! — wybuchnął. — Czemu nie przyszli! Zdruzgotali mnie życie młode, sobie powróz na szyję zmocnili! Obaczą teraz! Ogień i miecz ich karać będzie. A mnie jeno śmierć... O Beato, Beato, Beato!...

— Świętom Beate wołacie?

— Świętą, mnie najświętszą na ziemi! Miłowałem ci ja, miłowałem, aż serce tajało we mnie! Miłowałem dziewicę aniołowi niebieskiemu podobną i ona mnie też miłowała. Myślałem z nią szczęśliw na szerokich majętnościach, albo i więcej jeszcze, być, a dziś co? Na suchej skale zamkniony, wojskiem oblężon, od wszystkich odstąpion — krzyż mnie, mesjaszowi chłopskiemu, z cierni korona, włócznia do boku i gąbka octowa! A o szatę moję, o myśl moję, o cnotę moję szlachta z księżmi kości rzucać będą i niedolę chłopską wydzierać sobie będą, jak krucy kości i ścierw, szponami go każdy we swoję stronę ciągnący!

Straszliwy żal, ból brzmiał w głosie Kostki.

Przybliżyła się doń Maryna i rzekła:

— Panie, luto mi was.

Pojźrał na nią Kostka.

— Uzaliło sie mi was serce moje. Miéjcie pociesénie.

— Jakoż pocieszenie mam mieć? — odpowiedział gorzko Kostka.

— Prząśnice, piekielne panny, na kołowrotku nić wam pletły... Juz nastarsa nozyce biere, juz ogień gotowy, nie wypletom wam nici do znaku, w ogień prasnom. Pociescie sie — na kwile.

— Jak?
— Uciescie sie se mnom.
— Jak? — powtórzył Kostka nie rozumiejąc.
— Tu wam legne — rzekła Maryna, stając przy łożu szambelana Platemberga.

Zezwał Sobek chłopów ze Skalnego Podhala. Spod Osobitej od Orawic pod Murań do Zaru rozlecieli się jego wysłańcy po wsiach podtatrzańskich... Zeszło się przeszło trzystu zbrojnych chłopów przed chałupę Topora Jasicy do Hrubego. Stanęli gromadą, w kosy, łuki, maczugi, ciupagi, często w rusznice i pistolety zbrojni. Było wielu starych, byli chłopcy nieletni, bo młódź parobska w polu przy królu była.

Wyprostował się stary Topór Jasica, że się o głowę wyższy niż zwykle zdał, i zieloną gałęzią smrekową krzyż nad wojownikami w powietrzu uczyniwszy, silnym wyrzekł głosem:

— Bogu przenoświętsemu was oddajem, Panu Jezusowi i Matce Boskiej Ludzimirskiej! Nieg was prowadzi, a Tur bóg, co ramie dźwiga, i Trzas Straf, co przed nim na kruku leci, nieg bedzie s wami! Dziewięsiły, Ćmy i Krocie nieg bedom s wami, a Cérnica Marzanna, Mór poprzed was! Węzokose, jędze straśne, i Dziw-Dziwo z kociom głową i kat-diaboł z wilcym pyskem nieg wroga przed wami płosom! Jessa, trzygłowy boze, Panie świata, pomagaj w bój!

Za czym wyniosła Toporowa Sobcackula jarkich węglików drzewnych na łopacie żelaznej, a Topór obuchem siekiery w łopatę uderzył, że się ogień na wsze strony świata rozprysnął, i gromkim głosem zawołał:

— Jako té wągle na strony świata, tak od was nieg idzie moc i przerazenie! Bydźcie zdrowi!

— Jezus Maryja s nami! — krzyknęli chłopi. — Ostajcie z Bogem!

— Boze prowadz!

Wyszedł Sobek na czoło, a Marduła obok niego, z wielkiego męstwa wyrzucający młyńcem w powietrze zberczącą obrączkami ciupagę.

Chciał Sobek Janosika Nędzę Litmanowskiego pozwać ku sobie, aby się z nim spotkał i posłał doń Krzysia z Mardułą na Nędzów Gronik. W ciepłe piękne południe tam zaszli.

— Is, is, kieli lezy! — ukazał Krzyś Mardule Janosika Nędzę, wyciągniętego pod jaworem do słońca. Z podziwem nań popatrzeli, choć go dobrze znali, a podziw ten w Mardule był tak wielki, że nawet nie budził zazdrości.

Mały dwunastoletni chłopiec, celadnicek, siedział za Nędzą na pniaku jaworowym, bo od wieków jaworami Nędzów Gronik zarośniony był, i grał mu na gęsiołkach.

Nędza w krzesanice Czerwonych Wierchów błękitno bielejące między ciemnymi lasami na reglach patrzał. Białe i różowawe obłoczki ukazywały się i nikły.

Krzyś przybrał uroczystą minę, a Marduła począł drobne kroki stawiać. Podchodzili niezauważeni przylaskiem rzadkim, dom od wschodniej strony ocieniającym. Krzyś ruszył kapelusz nad czołem i ozwał się:

— Nieg bedzie pokfalony! Co se tak hań poziéracie?

— Niegze bedzie! Witajcie! — odrzekł Nędza wstając z trawy na widok gości. — Patrzem, bo sie mi widzi, ze hań cosi widzem.

— Je co?

— Jyno sie wpatrzajcie dobrze. Straśnie haw u nas w Połanak dzieci na cosik mrejom. U samej mojej siostry umarło

dwoje, a trzecie jyno, jyno! Patrzajciez dobrze! W rzecy mgiełka. Hań za lase, popod turnie. Widzicie?

— Haj, widzem — rzekł Marduła. — Obłocek.

— Obłocek, wpatrzaj sie tęgo, a przisłoń ocy, bo słonko razi. W białej sacie Ciha, bogini moru dziecięcego hodzi, a wianek ma na głowie z cyrwonego polnego maku i krwawiącąm hustom włosy obwija. Ja tu juz uwazował, ize ona hodzić ma, bo kwiaty skły i trawa miejscym tak jak kieby pozwypalował. Ona to hań!

— E? — zawołał Marduła z przestraszonym niedowierzaniem.

— O, óna bedzie — potwierdził Krzyś z dwóch powodów: raz, że we wszystko nadzwyczajne wierzył, po wtóre, że skoro tak potęga Janosikowa widziała i mówiła, to tak musiało być.

— No, to jom widzicie — rzekł Nędza. — Ona hań jus dość dawno miga. Ceka pewnie na Kanie, co té dzieci, co jej zuciekały, przywabi ku sobie, pohyce i hań je na obłoku przíwiezie.

— E jakoz to? — zapytał chłopczyk, co gęśle trzymał.

— Ciha jest cyrniata na gębie, a ocy ma wyłupione jak u sowy i takie jak mróz. Powietrze koło niej jak z grobu, zimne, wilgotne, zatychnione. Białom ma smate na sobie, taki płasc, opleśniony, a pręt carny trzimie w rency i ka na dziecko trefi, to go tym pręte tknie i dziecko mre.

— Sine sie stanie, jak kiebyś go zadawiéł — rzekł Krzyś. — Ja to widział pod Budzyne, be temu ze trzydzieści roków.

— Haj. A té dzieci, co jéj ucieknom, to zaś ściga piekielna bogieńka niescęścia, Kania. Ta sie obróci kazdemu dziecku w jego matke, kie sie ś niém stretnie, i wabi go ku sobie. Dzieci lazom jak głupie, to je pote na obłoki posadzi, siednie ku nim i leci.

— Ka? — zapytał chłopczyk.

— Je wtoz wié? Ciha słuzy u Marzanny, Kania zaś Cihej dospomaga.

— Ja jesce se staryk ludzi słyhował o Śmiertnicy i o Dzumie — rzekł Krzyś.

— Toté to jyno starsyk ludzi naracyj bierom — rzekł Nędza. — Mnie to Sablik radziéł o nik. Béły haw obie pote, kie tu Tatarzy w Kościeliskiej dolinie byli i z Polakami sie bili.

— Dzuma pono jesce gorsa — rzekł Marduła.

— Sytkik wte Carny Bóg i Peklenc z piekła puścili. Trzybek i Marzanna na Pogwizdowyk skrzidłak lecieli i hłopów i baby bili, a Mór z kosom za niémi seł.

— Haj. Boby se sama Dzuma nie dała rady — rzekł Marduła.

— Wte mieli hrubom robote — zauważył Krzyś.

— Bajto! Sablikowi gwarzéł pradziadek, co sie ludzie kopyrtali jak muhy.

— Bie! Nie kopyrtałbyś sie, kie cie taki palice tknie?! — rzekł Krzyś.

— Wicie jom? Cihom? Ona hań ciągle z lasa we wirhu wychodzi i wraca. Ja sie ku niej u samego rania patrzem. Ceka na Kanie pod turniami — mówił Nędza.

— Wiera ceka — przytwierdził z przekonaniem Krzyś.

— Pono śmierzć, Marzanna, na piérsego kwietnia, wtej, kie słomianom osobe we wodak topiom a śpiéwajom: śmierzć sie wije po płotu, sukająca kłopotu, mre — ozwał się chłopczyk z gęślikami.

— Wiera ci ta śmierzć mre! Nie gadaj gówien!... — odpowiedział Nędza, a Krzyś z podziwem nań patrząc rzekł:

— Terazeście wej, Janosiku, dobrze pedzieli! Wy macie rozum!

I popatrzał z pokiwnięciem pochwalnym głową ku Mardule.

— No, aleście haw do mnie s cémsi prziśli? — zapytał Nędza. — Maciuś, powiédz mace, ze som jest goście. Coby mléka prziniesła, i oscypka, i spyrki, i placka.

Wyniosła zatem gaździna, wzniosłego wzrostu i pięknej powagi, poczęstunek; popod jaworami legli, jedząc i pijąc. A chłopczątko przygrywało im na gęślikach, raz po raz przerażonymi oczyma ku białoróżowym mgłom pod krzesanicami Czerwonych Wierchów poglądając.

A gdy się najedli i napili i Marduła z Krzysiem, po co ich Sobek Topór posłał, opowiedzieli, odrzekł im Nędza, oddając naprzód, jak przystało, cześć Sobkowi:

— Sobek Topór hłop jak się patrzy, i my dwa, kieby na to padło, to by my świat oznieśli. Ani nie wiem, wto lepsy, jyno co Sobek jakisi powolniejsy. Ale ja ta wojny mam dość po Węgrak, za Tatrami. I co mnie to ta obhodzi? Ku mnie haw nie idzie nik, zaden pan, ani ksiądz, ani Zyd, ani pahołek, cy to królewski, cy kaśtelański, lebo starościński, nieg bedzie jaki fce, bobyk go obuske wypłaciéł, co by syćkie zęby we smatece du domu poniós. Mnie haw dobrze. Komu źle, nieg sie broni. Jakby mnie źle béło, to ja hań nie pudem nikogo pytać, ba sie bedem bronił sam. Moje interesy hań — wskazał za Tatry — nie po dziadowskik dolinak. A i casu nié mam tracić. Sablik ośpihował bogatyk kupców, co pojadom bez Luptów, idziemé na nik i moi trze hłopi jutro.

— Sytka polscy hłopi majom wstać — rzekł Marduła.

— I ci od Krakowa i od Sąca?

— Haj.

— Dobrze, coś mi pedział! Ja by sie hań z Lahami miał babrać? Nędza Litmanowski, skrzidlaty Podhalan? Bajto! Jesce kiebyście sami górale, hoćby ta i Klisce i Zagórzanie, na jaki dwór śli! Moze byk ta i poseł. Z podkówcarzami kieby

sie mi dało zejść, to héba po to, cobyk ś nik kope w polu ustawiéł, jak ze snopków owsianyk.

— O całom Polskom idzie — rzekł Marduła. — Tak mi Sobek pedzieć kazał.

— Je jakaz to ta Polska? I ka? Tu, bo my Polacy, a za granicom Orawcy i Luptacy, a pote Madziary. A ku Krakowu nie Polska, jyno Lafy. Ze coz mi ta po hańtyk hłopak? Nieg im ta i za pazdury drzyzgi wbijajom. Mnie to jedność.

— Król spólny...

— Pan Bóg jesce spólniejsy, taki twój, jak i miemiecki. A bees to Miemca broniéł? Jesce byś bestyjom kopnon, jakby go maścili, kiebyś jyno pięte wraził!

Na taki argument zwiesili Marduła i Krzyś głowy w zakłopotaniu.

— Powiédźcie Sobkowi tak: — dodał Nędza — ja hań w doliny nie pude, bobyk sie wodom struł i pod nos by mi dólskie powietrze śmierdziało. Ba jakby haw wto do nas z góralami, ze skalnymi, wojne fciał robić, to ja mu zastompiem. Wte nieg odkaze po mnie. A i to. Jest hań nizy tys zbójnicy godni, Cepiec, Sawka. Nieg robiom, co uwazujom. A mnie by nie rzec było hań im zbójecki honór odbiérać iść. Stary Sablik pada, jize niedźwiedź spod Krziwania nie pudzie niedźwiedziom pod Osobitom lebo pod Wysokom wołów paśnyk bić. Ja tu, tam oni zbójeccy hetmani. Ja im ta przeskadzać nie pude.

— Kie to nie o zbójectwo rzec idzie. Tém raze — rzekł Marduła.

— Sewiec jyno buty robi, a kowal jyno konie kuje — odpowiedział Nędza.

Powtórnie zwiesili w zakłopotaniu głowy posłowie i widząc, że nie wskórają nic, ku odejściu z powrotem się zabie-

rali. Ale Nędza wtedy wstał, do chałupy poszedł i wkrótce stamtąd do czekających z darami powrócił.

Dostał tedy dla siebie Krzyś pięć złotych węgierskich dukatów, pięknie pod słońce migocących, a Marduła nóż liptowski w cisowy trzonek oprawny, w kościele w Ruziomberku przez biskupa święcony, aby się nim przez trzydzieści brzuchów można wypruć, po wielkim i sławnym zbójniku Śliwie z Kubina. Dla Sobka dał Nędza blachę złotą, równie świętą, bo ze zabranej w Kiezmarku monstrancji, wielki talizman w przygodzie, przez słynnego Stanika w Starym Bystrem misternie przekowaną, dla Maryny złotej lamy na gorset, kupcowi w Koszycach skradzionej, i dla starego Topora Jasicy cztery flaszki wina, własnoręcznie przez Sablika ze znawstwem rzeczy w piwnicy w Ujhely pod Tokajem u grafa wybranego. W winie tym był ogień życia.

Każdy dar wręczając, Janosik Nędza, co trzeba było, o nim powiedział. Złotem suł ze szczodrych białych rąk, co nigdy nic twardo nie robowały.

A matka jego, dumna gaździna na stu krowach, dla Maryny sztukę ślicznego płótna w domu uprzędzionego dodała. Z zadowoleniem na tę moc swego rodu i podziw przybyłych patrzał stojąc w progu stary Nędza Litmanowski, Janosików ojciec, pan czterechset owiec i polan niezmiernych. I na skinienie jego celadnicek dzbanek gorzałki wyniósł, którą uraczyli się wszyscy do sytości. Zarazem się pożegnano.

— Hej — mówił Krzyś chwiejąc się nieco na krótkich, poderwanych w kolanach nogach — hej, wiés, powiem ci: majontek!

— Majontek — powtórzył usiłując się utrzymać w równowadze Marduła. I obaj jedną myślą przejęci zawiedli na gęsty las, którym powracali.

E dy se Janosik, twoje biłe ruce...

Sobek, niepomyślną odpowiedź Janosika Nędzy otrzymawszy, nie czekał, ale ruszyć do Czorsztyna postanowił. Jednak nie wprost, jak było najbliżej, na prawo w stronę Pienin, lecz w dół nad dunajeckie koryto, wsiami większymi, bo się spodziewał po drodze ludzi zagarnąć.

Aliści biskup krakowski, Gębicki, do kogo mógł, listy słał, a wojewodzic Sieniawski, zdrową już niemal lewicę czując, zaopatrzenie zamku w Sieniawie pozostawiwszy, mimo iż tak znaczne hufy królowi pod Beresteczko wyprawił, jeszcze dwieście siedmdziesiąt koni z sześciu działami polowymi pod Czorsztyn na wezwanie biskupie mógł ruszyć. Żołnierz każdy w strzelbę i pistolety w olstrach był uzbrojony.

I ci się ze Sobkowymi chłopami, ku którym się już niewielu przyłączyło, bo w Szaflarach wszystkich chłopów ksiądz zatrzymał, na równi pod Nowym Targiem o południu zeszli. Nagle, jak na zaklęcie, z mrocznego lasu wypadli Sieniawskiego żołnierze.

Siły były te same, ale uzbrojenie i sprawność bojowa inne. W mig obiegli dragoni chłopów i z koni z rusznic ognia do nich dali, gdy sześć dział prosto w kupę kartaczami bluznęło.

Jęk się podniósł, strach górali ogarnął.

Spotkanie było tak nieprzewidziane i niespodziewane, atak tak gwałtowny, że się chłopi od razu zmieszali i bezład się wszczął. Na próżno Sobek ciupagę wzniósł i ze wściekłym przy boku Mardułą z nożem Janosikowym w ręku ku najbliżej stojącym dragonom pędem ruszył; na próżno kilkanaście strzelb chłopskich huknęło i kilkadziesiąt strzał furknęło przez powietrze. Ten i ów dragon zachwiał się i spadł z konia, ale palba ich i armaty, przez ćwiczonych artylerzystów Sieniawskiego kierowane, waliły chłopów, jak burza las. Rozbiegli się w ucieczce.

Sieniawski, rannych chłopów z placu ruszać zakazawszy, aby za żywa dognili, i dragonów na straży tego czynu kilku zostawiwszy, sam pod Czorsztyn co pary w koniach kłusował, aby przybyć, nim go wezmą bez niego.

Z oczami w sufit wlepionymi, uwięziony w komnacie Platemberga, leżał Kostka na łożu drugą już godzinę z rzędu. Maryna obok siedziała milcząc.

Czekali.

Wtem otwarto drzwi przedpokoju i kilku ludzi weszło; zastali podwoje do sypialnej komnaty Platemberga zamknięte i zapukali silnie.

— Kto? — zapytał Kostka.

— My.

Poznał głos Maćka Nowobilskiego.

— Łotry, tchórze i zdrajcy?! — krzyknął.

— Nieg pan odepre. Pote bedziemé gadać.

Kostka porwał się i klucz w zamku przekręcił.

Weszli obaj Nowobilscy, Kuros i trzech innych chłopów.

— Daliście zamek!

Potężni chłopi przeciw niskiego Kostki zmieszali się, aż Kuros zuchwale rzekł:

— Kupilimy zycie i wolność za wase głowy.

— Za czyje?

— Za wasom i za Łętowskiego.

Rozśmiał się wówczas Kostka. Rozśmiał się szeroko. I śmiał się długo, długo, serdecznie. A potem ręce naprzód wyciągnął i rzekł:

— Wiążcie mnie!

— Tego nie trza, jak pan dobrowolnie pudom — odpowiedział Maciek Nowobilski, nie patrząc Kostce w oczy.

— Dobrowolnie pójdę — dobrowolnie narażałem się na śmierć dla was, to i dobrowolnie pójdę na śmierć przez was. Idźmy.

I Kostka postąpił przed siebie.

— Hłopi — ozwał się Józek Nowobilski z wahaniem.

Ale Maciek rzekł:

— Przisiengnione, podpisane, skończone.

— Gdzie marszałek Łętowski? — zapytał Kostka.

— W piwnicy je — zaparty. Zaraz go wywiedziemé.

— Przyjaciele — rzekł Kostka łagodnie — we mnie i w nim zabijacie sami siebie.

— Kieby odsiec béła nadciągła, kieby hoć Sobek z Hrubego béł nadeseł — lepsi co dwie głowy spadnom, jako coby my sytka mieli być o głowe krótsi — uniewinniał rzecz Józek Nowobilski.

— Mieli my ostawiać baby, dzieci sieroty? — mówił Bagancarz.

— Łętowski stary, wyście nie zeniaci — zauważył Kułach.

— Wyście nas zréstom na to prziwiedli — ozwał się Kuros. — Za wasom sprawom my tu prziśli, za wasym oskazem w zamku sie bronili. Obiecowaliście dziesienć tysięcy hłopów — kaz som jest?

— Kieby béli prziśli...

— Sami powiédzcie, panie, co my mieli robić? — rzekł Maciek Nowobilski. — Dwa dni my sie bili jak lwy, jageście to sami nie raz i nie dwa razy do nas rzekli. Syćko Złybóg bozek przeklon! Nie stanie sie nic. Ginońć — o co, ale o nic?

— Haj, haj! — przytwierdzili chłopi.

Otwarli Nowobilscy drzwi od piwnicy i wyszedł z niej Łętowski. Z lękiem spojrzał nań Kostka, ale chłop był spokojny. Nie rzucił mu ani jednego spojrzenia wyrzutu czy żalu.

Przystąpił do Kostki i wyciągnąwszy ku niemu twardą, zmarszczoną od pracy rękę rzekł bez wzruszenia:

— No to juz my hań!

Wszyscy zdrowi i lżej ranni chłopi, obie Nowobilskie i Hanka, Żydzi, z pęt uwolnieni, otoczyli Kostkę i Łętowskiego. Maryna szła z tyłu jak nieprzytomna.

Okropności, które słyszała była o kochanku swoim, Sieniawskim, a które jej z myśli nie ustępowały, szturm do zamku, w którym walczyła, lejąc na żołnierzy smołę, gruz strącając i widłami wdzierających się po drabinach prąc na dół, godzina przepędzona z Kostką w komnacie Platemberga, nieprzyjście brata, zdanie zamku i wydawanie Kostki na śmierć, i spokój jego, podobny do spokoju drzewa na walącym się urwisku w czas ciszy — wszystko to oszołomiło ją, jakby zamroziło krew.

I chłopi milczeli. Nawet zuchwały i zawzięty Kuros odwrócił głowę w bok i oczy przed siebie w ziem puścił.

Stali tak — w chwili wydawania ludzi na śmierć.

Wtem ozwał się chrypliwy, wąskoustny głos:

— Kłaniam jaśnie wielmoznemu panu staroście pułkownikowi, kłaniam!...

To Jozue Zbaraski przestał się bać Kostki i chłopów. A to tym więcej, że w tej chwili przez otwartą bramę zamku wjeżdżał na siwym dzianecie pułkownik Jarocki, a obok na rosłym, złotogniadym tureckim bojowym bachmacie, w bok buławką pozłacaną wsparty, wojewodzic Hieronim Sieniawski. Za nimi dragoni. Wpadli też i chłopi czorsztyńscy i zaraz widząc zmianę fortuny przypodobać się wojsku chcieli i Kostkę jęli szarpać za długie włosy i pomstować mu. Przerażony jęknął rozpaczliwie, lecz Jarocki dragonom chłopów precz odpędzić kazał.

Wtedy Sieniawski podjechał bliżej i krzyknął drwiąco:

— Tuśmy się spotkali, panie Kostka?!

Ale w ten raz wzrok jego padł na twarz Maryny.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknął żegnając się przez czoło, lewe ramię i pierś złoconą buławą. — Maryna?! Ty tu co robisz?!

Zacisnęło się Marynie gardło. W zdumieniu, w zasłupieniu poznała Sieniawskiego.

Wojewodzic lekce sobie Jarockiego, oficerów i obecną szlachtę ważył — był pan, a oni wszyscy do strzemion mu się ledwie, by sobie jego pańskie łaski zaskarbić, nie gięli; za nic też miał wzięcie w taki sposób Czorsztyna.

Pchnął konia i blisko ku Marynie podjechał.

— Maryna, ty tu, przy tym drabie?! — rzekł surowo, wskazując buławką Kostkę, którego już wraz z Łętowskim dragoni Jarockiego otoczyli.

Maryna milczała. Żal, ból, oburzenie, gniew mowę jej odejmowały.

— Ty przy tym psie?! — powtórzył.

Marynie głos wrócił. Wyprostowała się i rzuciła Sieniawskiemu prosto w twarz, co jej do myśli przyszło.

— To, coś ty bez dwa roki ode mnie ani upytać, ani za złoto kupić nie zdołał, to on ode mnie przed godzinom dobrowolnie dostał! Teraz wieś?!

Zapłynął krwią Sieniawski na twarzy, aż się purpurowy stał. Słowa mu brakło. Nagle buławkę złoconą wzniósł i z konia w głowę Marynę trzasnął. Bluznęła krew, a Maryna, krzyknąwszy: Jezus Maria! — z rozkrzyżowanymi rękami w tył padła. Potem wbił w boki bachmata złote ostrogi i zdarł go cuglami, że się wspięty na zadnich kopytach skręcił, i skinąwszy buławką przed siebie, konia między swoich wparł

i poleciał ku bramie, jak opętany. Runęli za nim jego kawalerzyści.

Ruch się zrobił koło Maryny. Podjęły ją z ziemi Nowobilskie z Hanką. Maćkowa jej do serca dłoń przyłożyła, a widząc, że żyje, zaniosły ją ku studni i trzeźwić zaczęły.

Wojsko zrabowało zamek do cna, potem Jarocki zostawiwszy w nim załogą piechotę biskupią z armatami, Kostkę i Łętowskiego na luźne konie wsadziwszy, co tchu, w obawie przed mogącą nadciągnąć od Czarnego Dunajca lub Białej Góry czernią, ku Nowemu Targowi z dragonami ruszył.

Gnał przez Luboń, Myślenice i Mogilany i na drugi dzień pod wieczór do Krakowa docierał. A tam, gdy się o prowadzeniu buntownika Kostki wieść doniosła, wyjechała naprzeciw druga dragonia na Kazimierz, za staw królewski, w towarzystwie panów szlachty Siewierskich pod chorągwiami. Tam wsadzili go na kolasę i stojącego przywiązali do drabinek, ręce związawszy. Stał w kolasce, że go mógł każdy widzieć. Stał i wesoło, śmiało, swobodnie po tłumie ludzi, bo lud srogi wyszedł na Kaźmierz, pozierał. Łętowski siedział za nim w kolasie, z rękoma w tył związanymi, w magierce i brudnej koszuli. Przez Grodzką bramę koło wału, przez miasto, przewieziono ich przed pałac biskupi, stamtąd odwieziono na zamek i wpakowano Kostkę do wieży szlacheckiej, Łętowskiego do złodziejskiej.

A już w Szaflarach księdzu plebanowi tamtejszemu oddawali chłopi uniwersał Chmielnickiego dany przez Kostkę Cepcowi i Sawce, a przez nich i ich wysłanników pomiędzy lud rozdawany. Ten uniwersał pleban szaflarski biskupowi Gębickiemu posłał, podpisując „pod przysięgą“, skąd go dostał, i ten uniwersał, przetrząsając w więzieniu kieszenie Kostki, w jednej kieszeni znaleziono.

Zebrał się na gwałt sąd krakowski i na gwałt strażnik grodzki przedłożył protokół, akta, listy i uniwersały Kostki, raporta zaciągów niemieckich i ów uniwersał Chmielnickiego i wniósł oskarżenie. Spieszono się, bo słuchy szły, że górale odbić Kostkę ciągną.

Nie chciało się to panom krakowskim, a osobliwie biskupowi Gębickiemu pomieścić w głowie, żeby jeden jakiś młody człowiek, bez bogactw, bez znaczenia osobistego, bez potęgi, Kostka czy nie Kostka, choćby jak śmiały, porwał się sam na szlachtę, i to w tak bezczelnie zuchwały sposób, gdyby kogoś za sobą za plecami nie miał. Agenta czyjegoś w nim podejrzewano.

Samo porozumienie z Chmielnickim, przed którym bądź co bądź wielkie wojsko Rzeczypospolitej w tej chwili stało, wydawało się niewystarczającym. Jedni mówili: Rakoczy, inni: cesarz niemiecki, inni imię samego nawet króla, którego ogół szlachty nienawidził, w grę wciągali. Mógł on o przygniecenie żywiołu szlacheckiego skrycie się starać. Inni rachub nawet pomiędzy sobą szukali. Wiedziano, że Kostka po dworach pańskich bywał. Mogły być czyjeś ambicje, zemsty, zamysły poruszone... Kostka mógł być podstawioną figurą jakiego magnata, dążącego do zrujnowania i unicestwienia rywali, detronizacji gasnącej dynastii Wazów i sięgnięcia po chłopską koronę... Ksiądz biskup Gębicki zaś, któremu pełniący cnoty św. Franciszka z Assyżu opat tyniecki dawno już pod oczy padł, a który, jak wiadomo było, Kostkę nie tylko ostatnim czasem gościł, ale nawet glejt bezpieczeństwa, w oskarżeniu przedłożony, od niego otrzymał, tam podejrzenia swe zwrócił.

Nie mógł sobie biskup wyobrazić, czego by opat w związku z buntem chłopskim szukał, co by zyskał, ale faktem było, że gdy się wszyscy tego ruchu bali, on się go nie potrzebo-

wał bać. Za nic, dla świątobliwości opata i jego cnót miłosiernych, Kostka by był listu bezpieczeństwa tak starannie stylizowanego nie dawał. — Ręka rękę myje — myślał ksiądz Gębicki — też kruczego tylko oka kruk szczędzi... Mógł opat w razie potrzeby schronienie obiecać Kostce, mógł mu i pieniędzy dostarczyć... Kto wie, co on tam, chodząc po swoim tynieckim ogrodzie za murami, mógł myśleć...

Kostka wyznać prawdę i wyjawić wszystko musiał. Postanowiono przeprowadzić z uwięzionymi śledztwo na mękach.

Ze zamkowego okna szlacheckiej turmy pozierał Kostka nad Wisłę w stronę Tyńca. Było rano, świt. Ślicznie wschodziło ogromne słońce, złocąc niebo od razu zuchwałym blaskiem. Na Wiśle zazieleniła się i zasrebrzyła fala.

Jak okiem sięgnąć, zboża i łąki, pełne kwiecia białego sady, ogrody kwitnące i naokoło puszcze. Góra świętej Bronisławy zielona, białe dwie wieże kościoła kamedułów bielańskich z czarnymi dachami, jakby pochylone nad Wisłą. Szeroka, zielona przestrzeń Błoń, na które już stada miejskie ze Zwierzyńca, z Półwsia Zwierzynieckiego, z Woli, z Czarnej Wsi, spod Łobzowskiego Kazimierzowskiego pałacu wyganiano — stada krów i konie.

Pod zamkiem i naokół cicho — cicho aż het poza pola ku błękitnym wzgórzom Beskidu, ku dalekim, majaczącym w śreżodze rannej ostrym, lśniącym widziadłom Tatr.

Szły drobne z wysoka postacie bab krakowskich w jaskrawych chustach, jasnych spodnicach i czerwonych butach, z koszykami na rękach i plecach do Krakowa na targ. Szły po dwie, po trzy, czasem grupką — drobne, kolorowe, jak w jasełkach dla dzieci.

Na zamkowej górze pod murami śpiewało mnóstwo ptaków wiosennych, czyniąc świergot i wesołe, radosne dźwięczenie powietrza.

Świat cały obudził się ze snu i otwarł barwne, świetne, dźwięczne źrenice.

W taki czas opat ksiądz biskup Pstrokoński chodził po swym tynieckim parku i pacierze poranne odmawiał.

Kwitły koło niego jabłonie i czereśnie, zieleniła się winnica benedyktyńska, kwitły starannie hodowane i pielęgnowane róże, lilie, narcyzy, fuksje, piwonie i tulipany.

Pachniał mu w spokoju ogród, w pogodzie i rozmodleniu porannym.

I wydaje się opatowi, iż Bóg widzi jego modlitwę — jego i klasztornego ogrodu; iż odwieczne dęby, lipy i klony, wśród których w surowym swym habicie się przechadza, współ z nim się modlą, jakoby kopułę nad ołtarzem, baldakim splecionych konarów nad jego pacierzem czyniące.

O ojcze, ojcze Pstrokoński!...

Czemuż nie chciałeś krzyża w rękę wziąć i z murów klasztoru twego, z Tyńca bram wyjść i chłopom polską chłopską wiarę powiedzieć i krzyż im w zboża, w bławaty polne, w trawę łączną owity wynieść?...

Czemuż nie chciałeś papieżem chłopskim być, narodowego kościoła jutrznią i wieszczem?...

Czemuż nie chciałeś być zwiastunem i ogłosicielem chłopskiego, polskiego Chrystusa?

Czemuż wolałeś być i pozostać sługą Rzymu?

Czemuż dałeś na zatracenie sprawę świętą, czemuż w rękach sług Rzymu i przyjaciół hardego barbarzyństwa przepadła?

O Beato!

Beato Herburtówna piękna, oto przez twoje ręce w ręce sądu wydany!...

Boleśnie, żałośnie patrzał Kostka przed siebie.

Otwarły się drzwi żelazne.

Wszedł dozorca więzienny i dwóch drabów z krótkimi, szerokimi tasakami w ręku.

— Na sąd? — zapytał Kostka.

— Nie, na męki — odpowiedział dozorca.

— Jak to?!

Nie odpowiedziano mu nic, jego zaś zimny pot oblał od stóp do głów w jednym momencie.

— Na męki?! Czemu?! Za co?! Możecie mię zabić, lecz po co męczyć macie?!

— Nie wiemy. Przywieść rozkazano.

Opanował się Kostka. — Idźmy — rzekł, podobnie jak kiedy go wydać miano w Czorsztynie.

Powiedli go na dół po wąskich schodach kamiennych, wywiedli w ciemny korytarz i wprowadzili w niskie sklepienie, kształt piwnicy mające.

Tam na ścianach czarnych ciosowych tliły się kagańce czerwone i słaby blask dnia przez kratowane okna zazierał; obok stołu nisko płonęła w tyglu siarka żółtym płomieniem.

Siedział za wielkim stołem, czarnym suknem okrytym, sędzia w kapturze zapadłym na oczy, w opończy długiej. Obok stał kat i jego pomocnicy.

Stawiono Kostkę przed stół.

Stanął prosty i sztywny, jakby wyniosły.

Królewski syn, ludu wódz i zbawiciel...

— Ktoś jest? — zapytał sędzia.

— Aleksander Leon Kostka Napierski ze Sternberku.

— Kłamiesz! — rzekł sędzia.

— Kłamać nie będę. Jam Władysława Czwartego króla syn.

— Z kim byłeś w zmowie?

Nie rzekł nic.

— Bierz go kat!

Zbliżył się kat i jego pomocnicy. Zwleczono z Kostki odzienie do pasa. Do obręczy żelaznych w podłogę wbitych przywiązano mu nogi, do podobnych obręczy wtwierdzonych w powałę ręce i przewleczono sznury, które ujął kat w dłonie.

— Z kim byłeś w zmowie?

Nie odpowiedział.

— Włócz go kat!

— Raz!

Kat wyprężył sznury. Zatrzeszczały kości w stawach w ciele Kostkowym.

— Z kim byłeś w zmowie?

— Dwa!

— Trzy!

— Pal go kat!

Dwaj pomocnicy kata przytknęli pochodnie do płonącego tygla i zapaliwszy przybliżyli je do wytężonego, wyciągniętego w strunę ciała Kostki, do boków. Skóra poczęła smędzić.

— Z kim byłeś w zmowie?

Milczenie.

— Raz!

— Dwa!

— Pal go trzy!

Kat zanurzył żelazną warząchew w tyglu i bryznął płonącą siarką na obnażone piersi Kostkowe.

Ze ściętych jego zębów wydarł się krótki, dziki jęk.

— Będziesz mówił? — zapytał sędzia.

— Będę! — stęknął Kostka.

Cofnięto płomienie, sfolgowano sznury.

— Chłopów zbuntować chciałem, Chmielnickiego pomoc przyrzeczonąm miał — jego włócz! Rakoczy zjednany był — jego pal! Werbować Niemców posłałem, Kraków rabować,

kościoły palić, dwory szlacheckie w popiół mienić, szlachtę tępymi nożami rżnąć chciałem! W zgliszcze, w perzynę, w kurzawę dawną Polskę obrócić chciałem, nową z polskiego dębu i polskiej pszenicy postawić! Jak mór, jak Boży gniew, jak wulkan i trzęsienie ziemi, jak deszcz ognia piekielnego Gomorę duchowną, Sodomę szlachecką przejść, zniweczyć ślady i pamięci imienia nie pozostawić chciałem! We krwi i ogniu utopić i zatopić was, księża, panowie, szlachta, biskupi, rycerze, sędziowie, katy — tegom chciał!

Runął i zemdlał. Ocucono go wodą. Sędzia, wzburzony, więcej go już nie pytał, rozkazał pod pachy wziąć i do celi odwlec, a co Kostka mówił, spisał.

Z kolei przyprowadzono Łętowskiego.

Ten wchodząc przeżegnał się i westchnął.

— Nazywasz się? — zapytał sędzia.

— Stanisław Łętowski, sołtys z Carnego Dónajca.

— Z kim w zmowie byliście?

A Łętowski odpowiedział:

— Z Panem Jezusem, co ludzi sytkik równyk stworzéł.

Wkręcono mu palce w śruby i obcęgami żelaznymi szczypano ciało, ale nawet nie jęknął. Powiedział tylko:

— Choćbyście mie tu umencyli, nie powiem nic, bo nic do powiedzenia nié mas. Héba to jedno: nie dziś, to jutro! Zreštom wiécie sytko.

Ale biskup Gębicki miał list proboszcza z Lubnia w ręku. Posłano pięćdziesięciu dragonów do Pcimia i ci na siodle rektora Martinusa Radockiego rzemieniami umocowawszy przywieźli go do Krakowa, gdzie był przed sąd stawion, męczon, lecz tak samo jak Łętowski mówił, że nic nad to, co wiadomym jest, do powiedzenia nie ma.

Tymczasem przyszły wieści, iż król spod Sokala Michała Zebrzydowskiego, miecznika koronnego, z kilkuset jego wła-

snymi ludźmi, przydając mu pieniężnie zaciągniętych, kozackie chorągwie cztery i dragonów pana Marcina Czarnieckiego cztery kornety, przeciw rebelii chłopskiej wysłał, a ku tym przyłączył się pan Aleksander Michał Lubomirski, koniuszy koronny, sandomirski starosta, „chcąc i majętnościom swoim, które wszystkie prawie około Krakowa leżały, *succurrere,* i oraz się spodziewając prędzej w tej tam na sławę dobrą zarobić okazjej". Ku temu i Lanckoroński, śniatyński starosta, się przybrał. Ci z uwalniającą od pospolitego ruszenia attestacją królewską: „Jan Kazimierz, z łaski Bożej Król Polski, Wielkie Książe Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie, Smoleńskie, Czerniechowskie, a Szwedzki, Gotski, Wandalski dziedziczny Król. Wszem wobec i każdemu z osobna, komu to wiedzieć należy, a mianowicie Dygnitarzom, Urzędnikom, Starostom i wszystkiemu Rycerstwu i Obywatelom koronnym, uprzejmie nam miłym, oznajmujemy, iż na zatłumienie buntów i tumultów, w województwie krakowskim i po wszystkim Podgórzu przez jednego łotra wszczętych, niejakiego Aleksandra Kostkę, wyprawiliśmy etc. etc. etc... za czym, jeżeliby którego spod tych chorągwi Urodzonego Koniuszego Koronnego towarzysza albo czeladnika kto względem tego pospolitego ruszenia turbować chciał, aby za ukazaniem tej attestacyjej zaraz wolny od prawa zostawał. Na co dla lepszej wiary przy podpisie ręki naszej pieczęć koronną przycisnąć rozkazujemy. Dan w obozie pod Beresteczkiem dnia XXVI miesiąca Czerwca, Roku Pańskiego MDCLI, panowania naszego polskiego III-go, szwedzkiego IV-go roku. Jan Kazimierz Król" — ruszyli.

Też „Jerzy Hrabia na Wiśniczu Lubomirski, Marszałek Wielki Koronny, Generał Krakowski, Spiski, Chmielnicki etc. Starosta", wszystkiej szlachcie, którą „za nastąpieniem niebezpieczeństw od ściany podgórskiej i żarzącej się między chłopy rebelliej J. K. Mć. Pan nasz M-ciwy dla obrony i za-

bieżenia wszczynającym się rozruchom, ze zdaniem Panów Rad i Senatu powracać raczy", attestację „z władzy urzędu swego" dał, że „ochotni do obrony całości ojczyzny etc. byli" i teraz „za samym zdaniem tylko, wolą J. K. M. i Senatu potrzebą Rzpltej pociągnieni, wracają". Razem 2000 wojska z wielkim strachem, mimo potęgi kozackiej i tatarskiej naprzeciw, na gwałt wyprawiono.

„Albowiem najbardziej ze wszystkich niepokojących wieści z kraju (przez pana Twardowskiego, surrogatora poznańskiego i pana Adama Niedźwiedzkiego z Królikowa powiatu słupieckiego przysłanych) potrwożyły wszystkich listy Piotra Gębickiego, biskupa krakowskiego".

Wyrok sądu zapadł: osądzono Radockiego na ścięcie, Łętowskiego na ćwiertowanie, Kostkę na pal.

Jechał ksiądz opat biskup Pstrokoński do Krakowa wstawiać się za Kostką, ale gdy mu powiedziano, iż wydany dla klasztoru tynieckiego list żelazny powagę powszechną zwrócił, uląkł się. Uląkł się tym więcej, że stosunki Kostki z sekciarzem Radockim, wrogiem panującego Kościoła, podejrzenia jakowe i na niego zwrócić były mogły.

Zgłosił się tylko na zamku, iż jako dawny obwinionego znajomy i wychowawcy jego, nieboszczyka kasztelana Rafała Kostki, przyjaciel wyspowiadać by go chciał, na co pozwolono.

Było rano wczesne w dzień egzekucji, kiedy go do celi Kostki puszczono.

Kostka leżał na słomie, oczy miał otwarte, w słup stojące, nieruchome.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — ozwał się opat próg przestępując.

— Niech będzie na wieki wieków. Amen — odpowiedział skazany nie patrząc, kto wchodzi.

— Synu, niosę ci ostatnią pociechę przed śmiercią — rzekł opat.

Kostka wzniósł głowę i poznał przybyłego.

— A — rzekł dźwigając się z pościeli — to ty, ojcze? Bądź zdrów!

— Przyniosłem ci Ciało i Krew Pańską.

— Ojcze, jam chciał kościoły palić!

— Ciało i Krew Pańską ci przyniosłem.

— Ojcze, jam chciał dobra duchowne chłopom rozdać!

— Ciało i Krew Pańską ci przyniosłem — rzekł po raz trzeci opat.

— Rzym mi przyniosłeś, ojcze! Jesteście jako śmierć! Cokolwiek by się robiło, jakkolwiekby się broniło — przyjdzie! I wy przychodzicie jak śmierć: pewni — w godzinę śmierci! Ale nie ma was tam, gdzie jest życie!

— Chrzcimy — powiedział opat.

— Chrzcicie! Woda wasza i sól — to żelaza!

— Bluźnisz, synu, i grzeszysz w ostatnim momencie życia.

— Bluźnię i grzeszę?! Zali ciebie, ojcze, nie okuto w żelaza w zaraniu, abyś, gdy przyjdzie pora, ręce i nogi pod pętami uczuł? Nie powstałeś, nie wyszedłeś z krzyżem przed prosty lud, ten lud, którego Chrystus był mesjaszem!

— Anabaptysta Radocki przez ciebie mówi.

— Nie potrzeba tu anabaptystów! Świętego Franciszka z Assyżu naśladujesz, który Chrystusa naśladował. O zaiste! Gdyby się Chrystusowi podobało w te dni z nieba zstąpić, byłby on cię rozgrzeszył, ojcze, przed nami z krzyżem spotkawszy! I świętym byłbyś we większym kalendarzu niż ten, którym rok rachujemy! Świętym byłbyś w kalendarzu milionów dusz nieszczęśliwego narodu uciemiężonych! Nie kadzidła za tynfy u kupców nabyte by cię, ojcze, okadzały

w ołtarzu, ale by ci błogosławił tłum ciemiężonych i łzy niewoli obmyłyby ci stopy i ręce wodą świętą, jak woda chrztu!...

Pod ten czas, wyspowiadawszy się i komunię przyjąwszy zamkowego księdza, sołtys Łętowski pisarzowi do kaźni mu przyprowadzonemu dyktował testament, zaczynając:

W Imię Pańskie Amen! Roku Pańskiego 1651 Dnia 24 lipca.

Ja Stanisław Marsiałek alias Łętowski, widząc sie być z dopuscenia Pana Boga Wsechmogoncego blizsym śmierzci nizeli zywota, takie osporządzenie cyniem: naprzódzi duse swojom oddajem Panu Bogu Wszechmogoncemu w rence jego świente, a ciało ziemi. Siestrze Kajsce becka kapusty, co pod oknem w carnej izbie stoi, i dwoje cielont od cisule. Jantałek śrybelnyk wielgik talarów wengierskik na nowy ołtarz w kościele w Dónajcu legujem, kotlik dukatów nieg dzieci pomiendzy sie ozdzielom. Jyno coby sie przi tém nie kłopocili. Brat Franek do równości sprawiedliwie ozdzielić ma. Jest je showany w ogródku za izbami, blisko studnie, między skalami, pod takom wielgaźnom skrzizal, tak jako w murze. Jyno trza przódzi renkom miejsce przezegnać i trzi razyj przepedzieć: w Imie Ojca i Syna i Duha Świentego. Amen — bo ig inacy nie dostanie. Śmiertelny jest człek i śmierzci sie zawdy spodziéwać musi. Nie zal mi umiérać, bok długo zył i Panu Bogu sie nie prociwiem, jyno mi to zal, co nie w doma, ka ojcowie marli, umrem, ba na mękak, cemu ja sie nigda za zywobycia nie spodziéwał.

Ale skoro taka wóla Boska, nieg bedzie. I to mi zal, co sie ze swojémi ludziami, ze zonom, z dzieciami, z bratem, ze siestrom i ze sytkiémi nie pozegnam, ani co se jesce na swoje rolom i na sad, hoć sie ta w nim płono rodziło, na łąki i na las, na całe gazdostwo, a béło z łaski Pana Boga niemałe, nie uspoziéram, ocy ś niém nie uciesem, ba trza obdalno od swo-

jego kraju odpytać świat. Bóg zegnaj sytkim i sytkiemu, co po mnie ostaje, i bądź miłościw mnie grzesnemu teraz i w samej istej godzinie śmierzci mojéj, co nieg sie stanie w Imie Ojca i Syna i Duha Świentego. Amen.

Rektor Radocki odmówił księdza i ostatniej spowiedzi.

— Z Bogam duszę wziął, Bogu ją oddam — rzekł do zakonnika, który doń przyszedł.

— Nie bądź zuchwały myśleć, iżbyś Bogu ręce wiązać lub rozwiązywać mógł. Co wy zawiążecie na ziemi, będzie zawiązane i w niebie, a co wy rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie, powiedział Chrystus, co dotyczyło jego świętych prawd, nie władzy nieba i piekła w ludzkich rękach!

A gdy przedstawienia, namowy, prośby i zaklęcia nic nie pomogły i suchy, żylasty starzec niewzruszonym pozostawał, wzburzony ksiądz wyszedł krzyknąwszy: — Idź więc, przeklęty heretyku, samochcąc w ogień wieczny! Na stosie by cię spalić należało!

Wówczas powiadomiony o tej zatwardziałości sąd głowę jego na palu wystawić rozkazał.

Na Krzemionkach za Wisłą troistą szubienicę wzniesiono i pomocnicy kata ostrz żelazny na pal sosnowy wbili. Jedenaście chorągwi konnych w pełnym rysztunku, miejskich, biskupa i panów okolicznych, wyjechało, a gawiedzi miejskiej masy ogromne poza Wisłę przez most na promie i łódkach rybackich się przeprawiły. Ze strachem, który z niecną i podłą ciekawością walczył.

Wieść, iż Kostkę pojmano, iż go do Krakowa dragoni „pod siablami" wieźli, rozeszła się falą po góralszczyźnie. Żony mężów, matki synów, siostry braci, dziewki kochanków, a dzieci ojców za szyje czy pod nogi obejmowały i wołały, aby go szli bronić. Ku wieści tej przymieszała się wieść po

śledztwie, na którym się Kostka wyznał, iż był królewski syn. Starzy chłopi pamiętali wielkie wojny za Zygmunta III i Władysława IV, walczyli pod nim przeciw Turkom i Rosjanom, pamiętali bunty i rokosze szlacheckie, królów udrękę, i chowali w duszach miłość i cześć dla rodu królewskiego i królewskiej krwi. Dlatego „cała siła województwa", jedenaście chorągwi, otoczyła plac egzekucyjny.

Pod ten czas też Beata Herburtówna, na rekolekcjach w klasztorze klarysek w Nowym Sączu przez ojca osadzona, usłyszawszy, iż Kostkę na pal wbijać mają, po prześcieradłach związanych w nocy po murze się spuściła i jak szalona przed się w habicie, w który ją przyodziano, biegła. Biegła ku Krakowu gościńcem, napadana przez psy, które jej habit darły, różańcem się im ametystowym opędzając.

Biegła przez noc z tą myślą, aby Kostkę ratować, lecz ku ranu sił jej braknąć zaczynało i z wycieńczenia słaniała się. gdy w polu nieopodal dym i ogień dostrzegła. Czując, że padnie i krwawymi stopami nie pójdzie dalej, tam się zwróciła.

Traf chciał, iż obozował to Sieniawskiego oddział, spod Czorsztyna przeciw chłopom wiedziony.

Sieniawski jeszcze do nikogo nie przemówił był; jechał na czele i szukał band chłopskich, które, o ile się wiły w okolicy, przed jego dragonami pierzchały.

Przy osobnym ognisku na derach i kobiercu leżał Sieniawski pół drzemiąc, kilkadziesiąt kroków od żołnierzy, gdy ku niemu Beata Herburtówna przypadła.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — zawołał oczy podnosząc.

— I ja go chwalę! — odpowiedziała Beata i w tej chwili poznali się nawzajem.

— W takim stroju?! Wojewodzianka?! Tu?! Sama jedna?! Pieszo?! — mówił zdumiony Sieniawski.

— Pana Kostkę ratować biegnę! Na pal go w Krakowie wbijać mają!

Zerwał się Sieniawski z leżenia na równe nogi. Złe ognie na twarz mu wybiły. Przytknął trąbkę do ust i zagrał na alarm. W mig porwali się pobudzeni już dragoni.

— Konia luzem! — krzyknął.

Usłyszeli dragoni i duchem wierzchowca przywiedli, w zdumieniu na pannę spoglądając.

— Mości wojewodzianko, oto koń — wybaczaj, lecz damskiego siodła nie mamy z sobą — rzekł Sieniawski.

— Dokąd? — zapytała Herburtówna.

— Kostkę odbić! — odpowiedział Sieniawski dziwnym głosem.

Beata ustami do ręki mu przypadła. Rycersko odsunął ją Sieniawski, na konia w rękach prawie podniósł, burkę swoją na nią zarzucił i na ogiera swego skoczywszy ostrogi mu wbił i krzyknął: — Naprzód!

Wichrem pomknęli. Wszystko stało się tak szybko, że dopiero teraz, na koniach, w pędzie, żołnierze mieli czas na dziwienie się i nierozumienie. Odbiegli lanckorońskich lasów.

Nikt nie przeszkadzał egzekucji u troistej szubienicy na Krzemionkach. Na wielkim drabiniastym wozie, w otoczeniu eskorty wojskowej z dobytą bronią, wieziono trzech skazanych przez Stradom, Kaźmierz, na most, i przez Podgórze nad Wisłą na Krzemionki. Dzień był dżdżysty, wiosenny, to chmurny, to świecący słońcem, pełen wilgoci.

Kostka jechał blady jak trup, ze ściętymi ustami i z oczyma tak zimno surowymi, że gdy na kogo spojrzał, mróz szedł po członkach. A patrzał po ludziach ciągle, na prawo i na lewo — czy chciał się im przypatrywać, czy szukał kogo? Wy-

prostowany siedział, nieporuszony. Ale od czasu do czasu garbił się, kurczył, strach śmiertelny i zgroza osiadały mu twarz, smutek, ból i rozpacz ściągały mu głowę w dół — i znów prostował się i znów jechał wyprostowany, zimny i surowy.

Radocki oczy w przestrzeń miał wbite, jakby nie istniało naokół niego nic. Łętowski wypił w kaźni konewkę wina i jechał obojętny na śmierć, która tak czy tak jest nieuchronna.

Wtem ujrzał Kostka troistą szubienicę i pod nią pal we mgle.

Wówczas szyja wstąpiła mu w ramiona, a broda wpiła się w pierś, oczy skołczały, pot wypłynął na czoło, zaczął się trząść i dławienie poczęło mu ramionami podrzucać. Nieopisana trwoga osiadła mu twarz. Ale trwało to krótko. Opanował się, nie wzniósł, ale poderwał głowę w górę, wyprostował się i ukazał twarz tak spokojną, stężoną, własnowolną, jak gdyby ta śmierć, której naprzeciw szedł, była oczekiwaną.

Podjechano pod szubienicę, wysadzono skazanych z wozów. Stał kat z pomocnikiem; jeden miecz ciężki trzymał w ręku, drugi przy palu z nabitym szpicem żelaznym stał. Pień na głów ścinanie był przygotowany.

Urzędnik grodowy wśród grobowego milczenia tłumu i żołnierzy odczytywać począł wyroki: spokojnie ich skazani wysłuchali.

Po czym podprowadzono rektora Martinusa Radockiego; i on i Łętowski ręce mieli w tył związane.

Dwaj pachołkowie opuścili Radockiego na klęczki, obnażyli mu szyję; Radocki milczał i oczy miał wzniesione w niebo.

Dopiero gdy ukląkł, westchnął i dużym głosem zawołał:

— Przyjdź Królestwo Twoje!

Ciężki miecz spadł: głowa potoczyła się wśród strumieni bluzgającej z arteryj krwi.

Po czym kat podjął ją za długie siwe włosy i otwartymi usty bluzgającą jeszcze krwią i łypiącą oczyma jął przybijać gwoździami do jednej z szubienic.

Pomruk zgrozy przeszedł przez tłumy.

Następnie przyprowadzono do pnia Łętowskiego.

Nie rzekł nic, tylko:

— Skoro sie tak Panu Bogu nawysemu podobało...

Ukląkł i został ścięty. Potężne jego ciało, z odzienia odarte, kat mieczem na części ćwiertował.

Kostka patrzał na te egzekucje bez drgnienia powieki. Twarz miał białą, bez kropli krwi. Nie drżał, tylko chwiał się w tył i naprzód, jakby zgoła ruchu swego nieświadomy.

Raz po raz zwracał twarz w stronę Tatr — odsiecz nie nadeszła...

— W godzinie śmierci swojej powiedz, jak się nazywasz — ozwał się sędzia.

— Szymon Bzowski, Władysława króla syn — odpowiedział Kostka cicho, ale wyraźnie.

Pomruk, głosy różne, współczucia, żalu, szyderstwa, nienawiści, zawziętości, litości odezwały się.

Kat kazał się Kostce położyć na ziemi.

Legł.

Dwaj pachołkowie uklękli przy nim tak, iż każdy jedną ręką rozszerzył mu nogi i przytrzymywał, drugą ramię do ziemi przyciskał.

Naówczas kat uniósł koł zaostrzony i co miał siły uderzył.

Jęknął Kostka. Dał się słyszeć płacz i śmiech spazmatyczny kobiet.

Kół nie wniknął w ciało należycie.

Drugi więc i trzeci raz ugadzał nim w ciało Kostkowe niezręczny kat rękami drżącymi, wśród okrzyków, klątw, wyzwisk, łkania i przeraźliwych pisków mieszanego tłumu; pot

ściekał mu po twarzy, dygotał cały. Z Kostki zaś piersi wydzierały się jęki nieludzkie.

Za którymś razem rozpruto ciało Kostki, jak należy; szpic utkwił we wnętrznościach. Wówczas z rzygającym z podbrzusza krwią ciałem, czerwony cały od krwi pal pomocnicy kata z Kostką wznieśli i w przygotowany zawczasu dół wstawiwszy, ziemią go okopywać zaczęli.

Trupią, ale żywą twarz Kostki z oczyma raz wraz przymykającymi się i otwierającymi ujrzano ponad sobą. Głos snadź zamarł mu w piersi z cierpienia.

Nagle tłum się zakołysał i rozstępować począł — przeraźliwy, przerażający wrzask niewieści przeszył i wstrząsnął powietrze, łby końskie sapiące wydobyły się z tłumu i na miejsce egzekucji osypani kurzem Sieniawski we zbroi, Beata Herburtówna w burce Sieniawskiego i Sulnicki za nimi przypadli.

Beata konia wstrzymała i jak gdyby zatęgła w siebie nieruchoma. Sieniawski zaś w bok się wsparł i zawołał:

— Cóż, panie Kostka? Spotkaliśmy się? Ha zaiste! Imię twoje jest w księdze dziejów zapisane nie tam, gdzie nasze będzie! Rywalu!

Tłum i wojsko, a nawet urzędnicy i dygnitarze w pierwszej chwili, nim Sieniawskiego poznali, myśleli, że to może gońcy królewscy z ułaskawieniem, spóźnionym już, lecą. Słowa Sieniawskiego zdumienie i zgrozę wywołały; wtem Beata Herburtówna zeskoczywszy z konia i nie krzycząc, ale skrzecząc okropnie pod pal Kostkowy podbiegła.

Burka osunęła jej się z ramion i spadła na ziemię — poznano kobietę.

Nikt jej w pomieszaniu drogi nie zastąpił — obłapiła słup z ciałem Kostkowym ramionami i usta do buchającego krwią żywą tułowia przycisnęła.

Z obecnymi poczęło się dziać coś nieopisanego. Kat i pomocnicy uciekli między wojsko, tłum uchodzić począł niemy, unosząc omdlałe kobiety. Nieprzytomnie stojącemu na koniu Sieniawskiemu Sulnicki cugle z dłoni wyrwał, przez łeb koński zdarł i parł się z nim ku sieniawskim dragonom, choć im nie grożono, gdyż wszystkim tysiącom ludzi mowa została odjęta.

Chorągwie wojewódzkie mieszać się zaczęły i zwracać konie ku miastu bez rozkazów. Jedna za drugą ruszyły kłusem wzdłuż Wisły, dążąc ku podgórskiemu mostowi. Naówczas ogarnęła tłum paniczna trwoga przed zapowiadaną odsieczą czerni. W niewypowiedzianym strachu, tłocząc się, kotłując, przewracając, obalając i depcąc jedni drugich, wiele tysięcy uciekało w ślad jazdy rycerskiej, lub biegło, gdzie stał prom i przewoźne łódki. Dygnitarze i urzędnicy wskakiwali na wózki, gdzie kto mógł, i pędzili galopem za wózkiem kata, który ze swymi pomocnikami pierwszy na przodzie, na wozie egzekucyjnym, za wojskiem biczem konie smagając gnał.

W kwadrans nie było na Krzemionkach nikogo, tylko ze straszliwie rozdziawionymi powiekami głowa rektora Radockiego przybita do szubienicy i krwawe jego ciało, głowa sołtysa Łętowskiego twarzą leżąca do ziemi i czerwone ćwierci jego korpusu, i na pal wsadzony Kostka, a pod nim Beata Herburtówna, pal obejmująca.

— Pić — szepnął Kostka.

Herburtówna oderwała się od słupa — spojrzała wokół: wody nie było. Opodal, daleko płynęła Wisła, lecz w czym przynieść?

— W czym ci przyniosę?! — krzyknęła z rozpaczą.

Kostka uczynił ruch rękami w znak, iż rozumie, że mu jej podać nie może; ruch to był chorego dziecka.

— O Boże! — jęknęła Herburtówna. — O Boże! — zawołała. — Ludzie! Pomocy!

Nie było nikogo.

Kostka stulił dłonie i pokazał, aby mu tak przyniosła.

— Jakże ci podam, choćbym doniosła?! — krzyknęła Herburtówna.

Ponowny ruch zrozpaczonego dziecka wykonał Kostka.

— Cierpisz?! — wydarło się z łona Herburtówny.

Nie odpowiedział.

— Kochałam cię! — krzyknęła.

— Z ciebie... — odpowiedział Kostka wyraźnie i znać serce w nim pękło, gdyż skonał.

Stał Sobek Topór obok koszara i cytał owce zegnane z paszy na odwiecerz, jako to baca, czy wszystkie są.

Sto se jedna, sto se dwie,
stoi baca u jedle —

przyśpiewywał pod nosem stary Byrnas, przypatrując się z opodal tej robocie.

Czytał Sobek Mardułowe owce, a czytać trzeba było nie tylko, że się co kilka dni zawsze liczyło z obowiązku, ale że się Mardule samemu zdawało, iże mu „cosik chybiło". Kiedy Marduła z pasenia wracał śpiewając:

Hej, na mojej polanie sto owiecek stanie,
ty moja dziéwcyno, poziéraj se na nie! —

to wiadomo było, że wszystkie wiedzie; ale kiedy, co się od czasu do czasu przygodziło, śpiewał:

Owiecki pocytać, owiecek niespełna,
cy sie potraciła poza bucki wełna? —

to już Sobek wiedział, że albo „wilk co porwał", albo „z turnie opadła", albo sie „cosi kajsi stało, ani nie wiedzieć co, co

jednej nié mas..." Czasem dwu, czasem trzech... Bo Mardułę kusiło w nocy, kusiło i w dzień — a nieszczęście nie czeka. On ino ku Bronci Polkowskiej w Kasprową albo ku Helci od Seligi w Goryczkową od owiec poleciał — raz kieli cas — bo przecie dziewek na miejscu przy Stawach moc było — hop! jest! brakuje.

Sobek teremtetuje, gniewa się, to potem na parę casów dobrze.

Ale Mardułę kusiło w nocy, kusiło i w dzień...

Przerachował Sobek owce, z kierdela brakło trzech.

— No, kieloz ik ta chybia? Jedna? — zapytał Marduła z udaną niedbałością, bo się Sobka, jako bacy, bał.

— Trzi — odpowiedział Sobek.

— Moze? — zgmytlił Marduła jakoby ze zdziwieniem.

— Coś robiéł?

— Je coz byk robiéł? Mozek ta zadrzimał kielo telo.

— Kaś béł?

— W Kaspr — mam pedzieć: w Kościelcu.

— Dy ja wiem, zek ci w Kościelec z owcami kazał iść; ale kaś ty sam, przez owiec, béł?

— Je kaz byk béł? Déj ci gadam: mozek ta zadrzimnon, a Licha z Biédom nie trza pytać. Oni som wartcy.

— Jak ty ku Bronci.

— Edź — obraził się Marduła, a gońcy huknęli śmiechem.

— Ja wiem, jako béło — rzekł Byrnas. — Raróg bozek wlaz Gałajdzie do rękawa i we wilkołaka go odmienił. On owce Mardule porwał i zjad!

— Ha ha ha! — śmiali się gońcy i jęli wołać ku wolarzom: — Gałajda! Zjadeś Mardułowi owce!

Bo Gałajda, jak olbrzymi był i za trzech ludzi siłę miał, tak też za trzech ludzi jadł, mógł jeść zawsze i nigdy syty nie był.

A Raróg Rarasik, bożek maleńki, Peklenca Boga służebnik, w Gałajdowym rękawie jak pchła mógł skakać.

— No — rzekł Sobek pozierając na gęste, mroczne mgły, które zawaliły góry — dziś ig nié mas co iść sukać. Ciémno. Héba jutro rano. A jak sie nie najdom, to ig Marduła Kubowi z Podwilcnika zapłaci. Bo to jego chybia.

— Coz byk nie zapłaciéł? Zapłacem — mruknął Marduła zły.

— Uskładajom sie Broncia z Helciom, a jesce i Jadwisia co doruci — i Kasia, i Hańcia, i Zosia — żartował Sobek.

Marduła marknął dosyć obraźliwie dla dziewcząt, gdzie je wszystkie ma i mieści, i chcąc się Sobkowi przypochlebić, jął się gotować do dojenia.

— He, hłopy! — zaśmiał się Byrnas. — Rombcie las na ogień, bo do jutra nie uwarzimé. Marduła bedzie dojéł!

— Ha ha ha! — huczeli gońcy.

Gdy podojono, powieczerzano i pokiepkowano jeszcze z Marduły, a dokuczały mu najbardziej równie zazdrosna o niego Jadwisia, jak nie podbita przezeń nigdy Zosia, i gdy zapadła groźnie ciemna, w chmurach utopiona noc, wówczas Sen przyszedł na polanę ku Stawowi, skleić powieki dzieci i starców, zewrzeć w uścisku kochanków i rozciągnąć członki samotników, jak Gałajda, przy ognisku wedle wołów, pod smrekiem rozłożystym.

— Na jutro be śniég — ozwał się do siedzącego na ławce Sobka stary Kret, poprawiając toporzyskiem watrę w szałasie.

— Wtoz wié — może być. Zima.

— Haj. Raz tu na téj hali w Bartłomiejskim przisły takie zimna, co nad cuda mroziło. W nocéj my sie redykali ze statkem dołu, bo sie widziało, co umarźnie.

Dorzucił drew na watrę i począł ręce grzać, wyciągając je nad ogień. Sobek zaś znowu myślą ku temu, co się zdarzyło, powrócił.

Już minęło kilka tygodni od rozgromu pod Nowym Targiem, którego doświadczył. Wrócił w hale. Wieść o wzięciu Czorsztyna, o wydaniu Kostki i Łętowskiego, o ich śmierci męczeńskiej rozeszła się szeroko; i ku Stawom posłał ją Stasel synem, ten, który tam Kostkę prowadził.

Marynę baby przywiozły na Hrube, gdzie bezprzytomna długo leżała, nim do sił powracać zaczęła. Silnym ciosem ugodził ją „rycerz". Toczyła ją jakaś tajemnica rycerskiej, krwawej miłości, o której nie wiedział nikt.

Sobkowi się wszystko czasem wydawało jak Sablikowa baśń...

Trudno było uwierzyć, że się stało, że on sam udział w tym brał.

A słowo „szkoda", co myśli Sobkowe od kilku tygodni zamykało, mieściło w sobie wszystko, co Sobek czuł.

— Skoda... Bo sie widziało, ze świat odmłodzi...

Wtulił ręce między kolana, głowa mu zwisła ku ogniu.

— Śpi... na siedzącku — zamruczał Kret do siebie, spojrzawszy na Sobka. — Taki to sie i tak wyśpi...

Sobek spał, tymczasem zaś ciężkie, ciemne chmury, co nad Tatrami zawisły, poczęły silić śniegiem jak w listopadzie. Orawski dojmujący wiatr z zachodu huczał doliną.

— He — mruczał stary Kret — be tys hań staw sumiał...

Wielki, głuchy, niezgłębiony Czarny Staw, którego już trzydzieści lat nie widział, bo tylko w dolinie pasał.

Ku ranu zdrzemnął się Kret, obudził się zaś Sobek. Było jeszcze mroczno, ale już miał się robić dzień. Chlipnął Sobek zimnej żentycy, obmył twarz wodą z konewki, wziął ciu-

pagę i pistolety za pas i wyszedłszy z szałasu gwizdnął z cicha na swoje dwa psy owczarskie.

Śnieg przypirchnon dosyć grubo, ale Sobek się bał, że słońce w Jakubskim miesiącu może nagle wejść i stopić śnieg do znaku, a chciał po tropach owiec przez Mardułę potraconych poszukać.

Cichy stał świat, tylko wiatr czasem po kosodrzewinie przeszumiał i poleciał dalej.

Sobek ruszył ku Czarnemu Stawu owczą pércią.

Na dolinie był słabszy, ale w górach wysoko musiał tęgi wicher dąć, bo się chmury jęły rozbijać, wznosić i gdy słońce zaczęło świtać, brzask się spod chmur na niebie skłębionych, w których tonęły szczyty, popod turnie ukazał.

Rozwidniło się.

I wówczas Sobek wzdrygnął się nagle, stanął i w przerażeniu prawie że zawołał:

— Jezus Maryja! W Imie Ojca i Syna i Ducha Świentego Amen! Je coz to takie?!

Przestraszone jego oczy padły na psy, ale psy spokojnie stały.

Tak jest — wyraźny to był ślad. Przy pierwszym zaświeceniu dnia dostrzegł go Sobek. Ślad małych stóp, jakby dziecięcych.

Słychował Sobek z ludzi starszych o bogieńkach, co w kyrpcoskak chodziły, ale to nie był ślad kierpców. Był to ślad małych, szerokich, dziwnych butków z dużymi obcasami.

Sobek dygotał i ciupagę w dłoni ściskał. Ale cóż pomóc mogła ciupaga przeciw duchowi, co w bucikach chodził? Gdyby był święconą kulę do pistoletów miał — ale nie miał. Jednak i tak wyjął pistolet z opaska i gotów był go przełożyć pod kolano kurkiem na dół i strzelić, jak się do Złego strzela.

Ogarnięty niewysłowionym niepokojem byłby uciekł z powrotem do szałasu, gdyby nie spokój psów, które niczego nie węszyły, a wiadomo, że pies ducha czuje.

Odważył się postąpić i zajrzeć w kosodrzewinę, w którą się wkręcała ścieżka. Ślad trwał.

— W nocy sło — szepnął sam do siebie, przejęty.

Sobków początkowy pełen przerażenia lęk począł się przemieniać w lękliwą ciekawość. Jednak to nie szło na dwóch ratkach, tylko na bucikach.

— Kiebyk poseł za tém? — pomyślał.

— E wiera! — przyszło mu na myśl. — Cy mie pote nie wewiedzie ka w pustki i nie przisiednie, abo w jakom grote w Kościelcu nie wewiedzie i skalami nie zawali na wiekuistom wiecność?

Szedł ostrożnie, czujnie, z wytężonym słuchem i wzrokiem. Serce biło mu prędko, gwałtownie. Coś go ciągnęło. Czuł to. I ujrzał Staw Czarny, cichy, posępny, rozległy i zmarszczony. Chmury nad nim wisiały całunem i dookoła bieliły się upłazy. Martwy, wieczysty staw.

Stanął i wsparł się oburącz na ciupadze.

Wtem zaszczekały zajadle psy; Sobkowi omal ciupaga ze strachu nie wypadła z garści.

A nie opodal o jakie dziesięć kroków, w kosodrzewie, snadź wsparty przednimi łapami na łomie pnia, ukazał się niedźwiedź czarny i ogromny.

Sobkowi ciupaga wrosła w garść i odwaga mu powróciła, a nawet humor na widok tego dźwiérza w sérokik madziarskik gaciak, towarzysza gór.

— Tuś? — krzyknął. — Dziadu zatracony.

— Pudzies! — zawołał na psy, które się ku kosodrzewinie rzuciły. — Pudzies ty!

Ale już było za późno; zaciekła suka poskoczyła za blisko. Niedźwiedź schylił się i przeraźliwy psi pisk przedarł powietrze. Z rozdartym, tryskającym krwią uchem, którego niedźwiedź sięgnął pazurem, suka uskoczyła ku Sobkowi.

— Jerdyk tobie! Zjéś ty ozpalonom skałe! Bees mi haw droge zestempował i psy kalicéł?! — wrzasnął Sobek.

I dobywszy pistoletu, nie pytając w kufę niedźwiedziowi wypalił.

Kula gdzieś po boku paszczy się pośliznęła, czerwieniąc czarne kudły. Niedźwiedź w pierwszej chwili jakoby się zdziwił — nie zabierał on się snadź wcale do walki, byłby człowieka koło siebie przepuścił, ognał się tylko psu. Ale teraz ryknął złowrogo, zniknął w kosodrzewinie, zachwiał nią jak halny wiatr, i w mgnieniu oka wzniósł się przed Sobkiem na ścieżce na zadnich łapach, olbrzymi, ciekący juchą z rozwartego pyska, z łapami przednimi podźwigniętymi w górę i rozczapierzonymi pazurami.

— Oprałeś ty dwok diabłów! Ckaj! — wrzasnął Sobek i z drugiego wyrwanego z pasa pistoletu lepiej, w komorę, strzelił.

W tejże samej też chwili dopadły boków niedźwiedzich broniące, wierne swemu panu psy.

Niedźwiedź po strzale padł na łapy, beknął, oderwał od siebie i prasnął jednego psa w bok, gdzie pies padł martwy, bez jęku nawet. W tymże momencie ostrze ciupagi Sobka wcięło się po obuch w czaszkę niedźwiedzia.

Niedźwiedź z rykiem siepnął się tak straszliwie mocno, że Sobek, nie chcąc runąć za ciupagą, puścić ją z rąk musiał.

Niedźwiedź przypadł na przednie łapy przed głazem, z ciupagą sterczącą w czaszce.



Jeszcze się szarpnął, poderwał i osunął na piersi. Zaciekła suka chwyciła go za kark za uchem. Sobek zaś wyskoczył na głaz i oburącz z czaszki ciupagę wydarł.

— Skoda dźwiérza — sapnął. — Nie robiéł nic, statku nie bił, te jałówke jedne. Kazdy fce zyć. Miéło pojrzeć, kie po ubocy hodzi. Darmo. Zawdy sie ze śmierzciom mijał nie bedzies. Niedźwiedź w kosówce niesukana rzec. No nic.

Spojrzał znów na ślad bucików. Wił on się dalej śniegiem.

Niezmierny strach ogarnął Sobka znowu, jednak walka i zwycięstwo dopiero co odniesione czyniły go śmielszym. Czuł się w łasce Pana Jezusa.

Zdjął zabitemu psu obrożę, gwizdnął na sukę i począł iść za tropem, szukania owiec niechając zupełnie.

Trop od wody skierował się w prawo i znaczny był na uboczu Kościelca.

— Ku wodzie przisło, koło wody sło i wzieno sie spinać — zauważył Sobek.

Jednak zaraz też zauważył, że buciki na śniegu się ślizgały, znać było nawet upadek na kolana, po czym skręt w dół na prawo, przy czym w paru miejscach ślady upadku i usunięcia się.

— E kiz to diasi?! — szepnął sam do siebie Sobek. — Coz to za bogieńka, co kiełza?

Tymczasem jednak nagle zagrzmiało, skłębił się powicher i z chmur wiszących całunem nad halami sypnął mroźny, ogromny grad, tak gęsty, że natychmiast pokrył i zabielił sobą całą powierzchnię skalną. Mglista wilgoć przysiadła ziemię. Niebo siało jak z kadzi. Suka skuliła się, a Sobek zakrył ramieniem twarz, bo się o oczy bał, i kucnął w kosodrzewinie, aby się jako tako osłonić.

W niedługą chwilę po kostki tego gradu było.

— Źle — myślał Sobek przerażony — niwto iny to béł, jyno płanietnik, co gradami rządzi. Pogniéwał sie, cok go ślakował, i cysto piéknie doliny gradem zasuje... Kieby haw jyno ku mnie nie fciał przyjść!... Widlisko jedno!...

Zimno spadło takie, że się Sobek mimo serdaka i całej wytrwałości trząść począł.

Waliło i waliło gradem przy gruchocących się po skałach od czasu do czasu grzmotach, po czym znowu lunęła chmura śniegiem z deszczem zmieszanym z taką gwałtownością, jakby potop miał nastąpić.

— Co mie tys to aj co skusiło za tom potworom iść?! — myślał Sobek. — Je dy świat zniesie, jak nie ustanie...

Wtem suka zjeżyła grzbiet.

Sobkowi dech zamarł w piersiach. Usłyszał chlupot, jakby coś biegło, coraz bliżej. — O Świenci Pańscy, ratujcie mnie! — westchnął. Lecz spojrzał i zobaczył Mardułę w serdaku zarzuconym na głowę, sadzącego susami jak jeleń.

— Franek! — krzyknął.

Marduła się wzdrygnął, z przestrachu ledwo nie siadł i stanął jak wryty.

— Kaz tak uciekas? — zapytał go Sobek dźwigając się z ukrycia.

— Rany Boskie, Sobek! — krzyknął Marduła. — Ja widział cosi strasne!

— Ka?!

— Hań, pod Małym Kościelce — w kosówce... wlazek na to...

Sobek nie pytał dalej; wyskoczył ku Mardule na pérć i jęli uciekać obaj spod Kościelców na lewo w przeciw.

— Hań niedźwiedź — sapnął Sobek.

— Niegzeta! — odsapnął Marduła nie zwalniając kroku.

Przeskoczyli trupa niedźwiedzia, suka z warczeniem za nimi, i biegli na prześcigi obchodną drogą ku szałasom.

Gdy zdyszani wypadli ze smreków na halę, ujrzeli przed szałasem starego Kreta, który na łubie z kory węgle jarzące trzymał i ku chmurom z nich spod okapu dachu kadził.

— Is, is! — rzekł Sobek. — Kret sie płanetnikowi prociwi. Kadzi ku niemu.

— Cy go tys przewładze? — zastanowił się Marduła.

Przybiegli ku starcowi.

— Tuście? — rzekł on. — Cy jus świat fce zabrać, cy co?

Całe okole ciekło strugami wody.

Ale nagle ulewa poczęła się uśmierzać; szybko, jak naszła.

Porwał się z dołu nieuhamowany wicher i jął gnać chmury z niezmierną gwałtownością, zupełnie jak powódź wielkiej górskiej rzeki niesie szerokokonare pnie drzew, splątane z sobą. Na wschód pędziły chmury, poza Granaty i Kozi Wierch, tak szybko, iż wkrótce poczęło się ukazywać ponad niskimi wzgórzami we framudze Tatr od północy niebo ostre, czyste, błysłe, świetnego, głębokiego, granatowego niemal szafiru, jakby zmyte i wymrożone nawałnicą. Rozprzestrzeniało się coraz więcej, wzniosło, rozszerzało, i wreszcie spoza chmur trysnął blask słońca tak ognisty, aż ślepił. I jakoby wypadła z kłębów obłocznych w szalonym gonie ogromna kula słoneczna i słońce jakby żarłoczne i rozhukane runęło promieniami na ziemię. Śnieg i grad, gdzie go kupy nierozmoczone od deszczu w zakryciu leżały, począł świecić, a potem topnieć i tajać w oczach; słońce prażyło jak żywy ogień. Po rozpętaniu słoty zwaliło się na świat takie szaleństwo pogody, że się zdawało, iż świat skipi i rozbłyśnie się płomieniami. Nie trwało dwóch pacierzy.

— No wtos hań rządzi? — zamruczał stary Kret. — Cy sie Pogoda z Psotom i insi bogowie zawzieni? Wtory mocniejsy?

Ruszono się do razu z szałasu i szóp statek głodny na paszę wyganiać. Wtem ku szałasowi zbliżył się olbrzymi Gałajda, który pilnował wołów, brnąc w mokradle i dźwigając na rękach ciało pół biało, pół czarno powłóczyście odziane, kobiece snadź, bo długie, jasne, mokre włosy niemal do stóp Gałajdzie spływały.

— Je coz to niesies? — spytał Sobek przystępując z ciekawością.

— Ja to nalaz w kosodrzewinie — odpowiedział Gałajda.

•

W cichym, ustronnym uroczysku leśnym Maryna układała ostatnie kamienie na kopiec kwadratowy. Było to w sam dzień Wniebowstąpienia Najświętszej Panny Marii, 15 sierpnia.

Krowy zeszły już z hal, zimna bowiem przyszły wczesne, a pastwisk wszędy blisko chałup dosyć; przy stawach zostali tylko juhasi z owcami i wolarze, Teresia więc pomagała Marynie układać głaz na głaz.

— Bój się Boga, Maryna — mówiła — duse diabłu zaprzedamé. Dy jesce nie to, ale dziś sam dzień Matki Boskiéj. Odpust w Ludzimiérzu...

Nie odpowiadała Maryna nic, tylko stanąwszy przy stosie kamiennym i przymierzywszy, iż sięga jej wyżej pasa, rzekła:

— Dość.

Po czym siekierą poczęła ciąć dookoła siebie młode smreki, rąbać i na stos ciskać.

Teresia czyniła machinalnie to samo i wkrótce gruby pokład świeżych, smolnych kłód leżał na głazach.

Wtedy Maryna wyjęła z kieszeni serdaka krzemień, krzesiwo i hubkę, skrzesała iskry i podpaliwszy chraści podsunęła ją pod stos drzewa.

— Maryna, rany Boskie — mówiła Teresia — dyj my krzcone... świenconom wodom...

Niedługo czekały: ogień chwycił się żywicznej smreczyny, języki ogniste poczęły obiegać białe drzewo, pełzać po nim, lizać je, wyginać się, jakby z sinoczerwonej blachy były, i wystrzelać ponad nie i spomiędzy kłód, podobne do wiatrem chwianych czerwonozłotych kwiatów o ostrych końcach.

Naówczas, gdy się stos dobrze rozpalił, przystąpiła Maryna ku małemu byczkowi, który stał nie opodal uwiązany u jodełki, postawiła na ziemi garnek miedziany i zabiwszy obuchem byczka poderżnęła mu nożem gardło tak, iż krew ściekała w miedź.

Następnie rozćwiertowała byczka i część po części na ogień rzuciwszy postawiła wśród płonących polan garnek z krwią, i wznosząc ręce do góry krzyknęła głosem wielkim:

— Jécie i pijcie!...

— Maryna! — ozwała się Teresia zaczynając dygotać.

Ale Maryna, jakby nie słysząc, wołała z oczami ponad las w niebie utkwionymi:

— Halu, ty co w zimie marźnies, a odtajes na kazdom wiesne, boze wsehmogoncy, światło stworzenia, słowo ojca bogów i ludzi, ty, co zwiestujes objawienie Jestem! Halu, boze wsehmogoncy, ty, co w niwec obracas i zaś odnawias świat, w tobie cas, w tobie wiecność! Trygławie, ze wtorego trzok urwanyk głów staneno trzok bozyców, bóg biały, bóg carny i bóg rudy, a za kazdym siedem potęg, co światem władzom! Światowidzie — Słońce i wy Zwiezdy wiecorne i raniejse, Lelu, Polelu, matko Łado, matko Dziewo, bogami brzemienna! I ty Pierunie-Gromie, Torze, co wroga orzes! Zywieno, Dziedzilijo miłosna, Przyśnieno, pani sprawiedliwości, co sie jyno śnis, Wodanie Jezerny z Wihrami! I ty Świentoborze, Jedlowy Stromie ze siéłom zelaza, Pachmo wonie-

jący! I wy, Majki zielone majowe, Drzewice przepromienione miesiącem, lasowe panny! I wy sytka złe bogi, piekielni panowie, Peklencu, Nijo, Marzanno, Carty, Latawce, Chwycice, Mór! Jécie i pijcie!

— Maryna, Maryna — szeptała drżąc ze wzruszenia Teresia.

— A coz?! — krzyknęła Maryna. — W Imie Krystusa, z Naświentsom Maryjom Pannom ludzie śli i co sie stało?! Ludzie pobici, Ciorśtyn wzięty, pan Kostka na palu zginon, sołtysa Łętowskiego ćwiertował miecem kat, jako ja haw tego bycka siekiérom ozrubała! I co sie stało? Hań, daleko, pod Berestecke, kajsi na stepak, ślakta hłopów ruskik pobiła! I co sie dzieje? Panowie sie teraz zlecieli nazad do Polski mścić, jak krucy na chorego zająca! Ka słyseć: siubienice, pale, kije, kary, ogień, miec! Panowie karajom, ze hłopi polscy wolności fcieli!

Krew sie leje, jęk, płac, zębów zgrzitanie! Wolność hłopska posła w popiół i w dym! W Imie Krystusa, z Matkom Boskom panowie ślakta na hłopów idom, no to my co?! Dyj sie Bóg sam proci sobie nie porwie, a coz mu lud?! Na Boga trza bogów takik, jako i On! —

— Ze dy krześcijański Panbóg namocniejsy...

— Mocny! Zwaléł kamienne ołtarze okfiarne, chramy świente, gontyny zmiąn, świente gaje, bożnice, przenoświentse bugaje w nik zabacone od ludzi! A spytaj sie nasyk dziadów, jako za starodawnyk bogów bywało? Kmieć béł wolny, ślebodny i z kmiecia béł król i królewski ród, jako kieby i s nas, z Toporów. Nie béł lepsy kruświcki Piast, jako haw podhalański Topór! Béł kmieć! Za starodawnyk bogów wolność béła — za teraźniej wiary jest pańscyzna, jest na hłopa łańcuhy, kara i śmierzć! Telo wej jest — więcél nic!

— No to co ty fces?

— Starodawnyk nasyk bogów wołam! Nieg nas wesprejom, nieg bróniom! Na całom Polskom hłopski jęk! Panowie z wojny wrócili i za reberyjom pana Kostkowom karajom! Toś słysała?

— Słysałak...

Wtem, kiedy się już krew dodymiała w miedzi, a mięso żarły smolne płomienie, zerwała Maryna grube czerwone korale, setki talarów warte, ze szyi i rzuciła je na stos wołając:

— Co nadrogsego mam — wam dajem!

Spojrzała po sobie — nie miała więcej kosztownego na sobie nic; więc zdarła z ramion złotymi kwiatami haftowany gorset i prasnęła na stos z wołaniem:

— I to! Hoć biédne!...

Nagle wzrok jej padł na złoty medalion święcony w Krakowie, który świecił w rozwartej koszuli na piersiach Teresi, powieszony na czerwonej wstążeczce; poskoczyła ku niej i urwała go ze wstążki.

— Maryna! — krzyknęła Teresia przerażona. — Coz ty robis?!

— Okfiarujem go Niji, pani miłosierdzia, piekieł królowéj!

Teresia zasłoniła twarz obu rękami ze zgrozy i jęła uciekać, sama zaś Maryna, jakby przesilona swym czynem, została bez ruchu i słowa nad ogniem.

A gdy była już zupełnie sama, pośród milczących jodeł, smreków i buków, co tam rosły, w dzień cichy, padła na kolana i podniósłszy ręce na głowę z płaczem i szlochaniem zawodzić zaczęła:

— Dziedzilijo, pani miłosna, ty, co wieniec mirtowy rózami mas pleciony! Wydréj ze serca mojego ten miéłość niescensnom, przeklentom! Cok ci winowata, iześ mi carta wcielo-

nego miéłować kazała? On brata mojego i hłopów naskik pogromiéł, przezeń pan Kostka, hłopski Mesyjas, na męki i śmierzć dany, on mnie buławom złotom głowe ozbiéł, on krwiom hłopskom sie pasie, hłopów katuje! Za coz ja w téj miéłości tonem, w tém miéłowaniu sknem i pozbyć go nié mogem?! O Dziedzilijo, pani, bądź lutościwa mojemu pragnieniu! Wydréj mi ze serca młodego, z młodéj duse Sieniawskiego ze Sieniawy pana!

I twarzą się ku ziemi skłoniła, a włosy jej ciemne, w dwa warkocze uwite, przez ramiona opadły na leśny mech.

Powoli jął wstawać wiatr i szumieć lasem.

●

Pod ten czas stary Topór Jasica i stary Krzyś siedzieli przed chałupą Toporową i ukwalowali. Toporowa żona, Sobcackula, do Ludzimierza na odpust pojechała. Bogata gaździna ubrała się pięknie, aby ani mieszczkom nowotarskim, ani zamożnym sołtysiankom Długopolskim, ani słynnym z majątków Gąsiorkom z Rogóźnika nie ustąpić. Na głowę czepiec włożyła wzorzysty, ślicznie i krasno haftowany granatowo i czerwono, na szyję korale grube, w trzy rzędy, ogromnym dukatem spięte, na się kożuch odziała czerwonym suknem kryty, młodziutkimi białymi barankami podbijany, do stanu, złotymi wstążkami szamerowany na piersiach i lamowany w pasie i z tyłu. Spodnic wiele, a na wierzchu wzorzystą, ciemnogranatową w siwe tłoczenia, ku temu buty żółte, wysokie, na podkówkach, a na ramiona rańtuch biały cieniuchny. Tak strojna powiozła się z czeladzią wozem o drewnianych osiach, zgrzypiącym, parą końmi, tęgimi kasztanami, którymi pacholik niemy powoził.

W domu została tylko niemłoda szpetna służka, Ewa od Koślów ze sąsiedniej Pardółówki, i małe cielę, co w izbie mieszkało. Jak to u gazdy.

Ciepły wiatr podmuchiwał.

— Wiés, Symuś — mówił stary Topór — co ci powiém, to ci powiém, ale ci powiém: ciepło.

— Ciepło. Taki wiater jak grzane piwo — odpowiedział Krzyś.

— Hej wiera, ciepło. Taki dzień, jak wte, kie Sobek z hłopami w Ciorśtyn seł.

— Taki.

— Nie dał Bóg — rzekł stary Topór i zasmucił się.

Ale Krzyś jedno brzydził się smutkiem, drugie nie poniósł osobiście żadnej szkody, trzecie o humor i zdrowie bogatego Topora, swego hojnego przyjaciela, dbał, rzekł więc:

— Nie trapmy sie. To na nic. Kieby ziemia béła smutna, to by ś niéj kwiaty ani jagody nie rosły.

Topór pomyślał.

— Boby nié mogły — powiedział.

— Nie rosłoby nic, jyno krzan.

— I gorcyca.

— Terazeście wej, Janie, dobrze pedzieli! Wy macie głowe! I jałowiec.

— He he he! — rozśmiał się Topór. — Kwicale by miały uciehe, ale Symuś, dziecko, co by tys wte pastérki zbiérały po lasak?

— Abo s cym by sie ołtarz strojéł?

— He, wiés, Ona ta wié, Matka Boska. Ona se wse kwiatów nagazduje na wiesne.

— Je bo wié, ze Jéj świento bedzie na Matke Boskom Zielnom.

— Ale dziś pono Wniebowstąpienie, to jesce lepséj Matki Boskiej jako Zielnéj.

— O bo lepséj. Nié mas lepsejséj jako dzisiak.

W tej chwili wiatr zadął mocniej i na bakier lekko wdziany

kapelusek Krzysiowi z głowy o parę kroków na murawę zniósł.

— Is, is, is! Nie dało, a biere — rzekł stary Topór.

— To nie w porzondku — dodał Krzyś podnosząc kapelusik. — Daj, ale nie bier!

— He — cy nam tys ta Sobcackula co prziwiezie z odpustu? — rzekł Topór.

— E! — zauważył Krzyś z niedowierzaniem, spoglądając na Topora.

— Prziwiezłaby to co kiedy gaździna! — ozwała się Jewka, wychylając głowę z drzwi. — Dy to łakome jak pies, a skąpe, co cud!

Stary Topór zaczął się śmiać.

— Słuśnie gada.

Jewka zaś zakończyła:

— Obiad!

— Pojdze — rzekł Topór do Krzysia, zapraszając.

— Je dy ta — odpowiedział Krzyś z ceremonią, choć na obiad czekał pożądliwie.

— E pojdze jyno! Podź.

— Je dy ta — powtórzył Krzyś i poszli do izby, gdzie ich bogactwo otoczyło.

Tam Jewa postawiła przed nimi krupy warzone i dymiące mięso baranie. Dobry obiad we wielkie święto.

Podsunęła Toporowi baraninę, a Krzysiowi krupy, ale Krzyś rzekł:

— Wy mnie krupami, koślawko, nie siélcie, ba mi dejcie klubre miésa, bo mi z miésa nie źle.

Usłyszawszy to Topór śmiać się zaczął i sam gościowi mięso w misie przysunął mówiąc:

— To to taki skąpy brzydoś jak i Sobcackula, ta Jewcia.

Jedli. Krzyś mlaskając połykał i połykał, bo żarłoczny, choć

mały był. Nie mogła Jewa wytrzymać i rzekła z przekąsem, widząc, że ogromnie ubywa z misy:

— E dy juz moze dość bedzie?

Ale Krzyś odpowiedział:

— Lepi coby brzuk puknon, jak coby to miało ostać — i jadł dalej.

A gdy się już najedli i gęby otarli, stary Topór mleka słodkiego się napił i do Krzysia się ozwał.

— Matki Boskiéj Wniebowstąpienie... hm... Słisałeś tys to Symuś, co gadajom?

— Je co?

— O Mace Boskiéj na Suhyk Horak orawskik?

— Wiém.

— Ze je zywa ma być?

— Ta, co skądsi z Uherska na Suhe Hory do kościoła uciekła?

— Ta. Ksiądz niewierny béł i przekonać sie fciał i nozyke mały palec skrabnon. Krew wysła.

— Wiem. Potem sie za zywa zamurować dał.

— Sam sie wej ukarał, jeze niewierzący béł. Kościół drzewiany, a przy nim murowana kómora.

— Haj. Ale nié mas Matki Boskiéj nad Ludzimirskom.

— O, nié mas! Ona je tys zywa. Kie jom po ujńściu ludźmirskik cystersów do Scyrzyca w Nowy Targ do fary przenieśli, to sie w nocy wyrtła do Ludzimirza.

— W nocy. Hłopi konie pasący jasność widzieli, jak bez pola sła.

— Haj, haj, haj! Rada swój kościół widzi.

— Je dy Jej tys w nim dobrze. Ciepły, suhy, a i malowany piéknie, padajom, bok hań nie béł. Coz by ci hań nie siedziała?

Umilkli chwilę.

— Je — rzekł Krzyś — sytka świenci ku Mace Boskiéj nie płacom nic. Ona je władna.

— Co ci powiém, to ci powiém, ale ci powiém: władna.

— I dobra.

— Haj.

— Dowiedział ja sie z jednego wendrownego człeka, ono to kęsi w Polsce miało być, co sie raz stało. Przisel złodziej i korale Mace Boskiéj w ołtarzu ze syje fciał sjonć. Siengnom rencom, a Ona wystawiła rącke z ołtarza i hyciła go za ten renke.

— E raty! Za ten renke?

— No. Nijakim świate sie wydrzyć nié móg.

— Eu!

— No i dobrze nie bardzo, ześli sie ludzie. Radzom: co mu robić? Jeden gada: ucionć mu renke! Drugi gwarzi: ucionć mu głowe! Trzeci mu roki sądzili, ono nic, trzimie. Jaze jeden pada: darujmy mu!

I wte Matka Boska tego złodzieja puściéła.

— Puściéła?! E raty, Symuś, dziecko! Puściéła.

— Telo je dobra.

— E ze juz dobra! To ci powiem, tak jak jest: dobra.

— Dobra.

— Anibyś wej nie pedział, ze to z babskiego fajtu, babski potunek.

— O bo nié! Kazbyś ta! Ja baby znam!

— Raz ci upuściela, jak w puhu.

— A pote cie telo dogryzie, co ci do pluc zajźre.

— He he he! — rozśmiał się stary Topór z uradowanym rozkosznym znawstwem.

Krzyś pożegnał się niebawem i poszedł. Obawiał on się docinków skąpej Toporowej, gdy powróci z odpustu, bo bardzo dużo zjadł.

Poleciała i Jewa, posprzątawszy po obiedzie, na Pardółówkę do siostry, co tam wydana była.

Został stary Topór sam.

Począł się przechadzać po izbie, a cielę beczało głodne. Użaliło się go Toporowi i częstował je mówiąc:

— Ze bodej ze to keny, bodej! E wtoz to widział płakać! E coz mie lizes, e, dziadulko? Nie dostanies połedninki pilno, bo zakiel ta z odpustu gaździna przijedzie!... Mas młodzicek, mas sianecko, prógujze... Nie bec nic!...

Dawał cielęciu siano z ręki, a ono chwytało raz za zdźbła, raz za palce; stary Topór uśmiechał się z rozrzewnieniem.

W tej chwili silnie ktoś zapukał do izby, tak śmiało i silnie, że Topór pomyślał: cy Litmanowskiego Nędzy Janosik, cy co? — i głośno zawołał:

— Nie zaparte!

Otwarły się drzwi i schylając głowę pod niską framugą dworzanin Sieniawskiego, Sulnicki, wstąpił przez próg, a za nim ukazało się kilku sieniawskich kozaków.

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się Sulnicki.

— Niegze bedzie. Witajcie panie! — odpowiedział Topór. — Co haw fcom?

— Takeśmy po drodze wstąpili — rzekł Sulnicki siadając na ławie. — Na mléko. Uczęstujecie nas?

— Je dyć gaździnéj nié mas — rzekł Topór z zakłopotaniem — pojahała z celadziom na odpust. A i Jewka słuzka kajsi...

— O to nic — odpowiedział Sulnicki. — Wnuka wasza Maryna nam poda.

— I Maryny nié mas — kęsi wysła, od rania. A skondze pan Maryne znajom? — zapytał prostodusznie.

— Z Czorsztyna! — roześmiał się Sulnicki brutalnie.

Nieufność i gniew zagrały we wąskich, przymglonych źrenicach Topora.

— Z Ciorśtyna? — rzekł. — Ka jom rycérz buławkom w coło wycion?

— Stamtąd, stamtąd — zaczął Sulnicki jak pierwej, ale nagle mu snadź coś do głowy przyszło, gdyż zmienił ton i ozwał się uprzejmie:

— Panu memu luto Maryny, że uderzoną została. Sto czerwonych złotych jej posyła, nagrodzić pragnie.

Na widok złota, z brzękiem z trzosu wysypywanego na stół, wąskie, przymglone źrenice Topora zapłonęły chciwym blaskiem, a palce zadrgały.

— I jeszcze nie tak ją nagrodzi — mówił Sulnicki — tylko powiedzcie nam ojcze, gdzie Maryna?

— Kie tys nie wiém, prosem ig piéknie — odpowiedział stary Topór z uszanowaniem.

— No to my tu na nią poczekamy — rzekł Sulnicki. — Chłopcy! Dać tu miodu, ale konie gotowe! — rozkazał kozakom.

W starym Toporze wzbudziła się znowu nieufność.

— Zołmirze? — zapytał wskazując kozaków.

— Pańscy.

— Moc ig haw?

— Trzydziestu.

— Trzidziestu?! Cy wojna?

— Może być i wojna — uśmiechnął się zuchwale Sulnicki. — Wilki w lasach...

Stary Topór drapnął się za uchem i zabrał ku drzwiom mówiąc:

— Ja haw zaraz bedem.

— Dokądże to zamierzacie iść, ojcze? — zapytał Sulnicki zastępując mu drogę.

— A coz mi to z własnyk izbów wyjść nie ślebodno? — obruszył się staruszek.

— Macie gości.

— Wiera, gości — rzekł Topór bardzo nieufnie.

W tej chwili dojrzał przez okno Sulnicki wychylającą się z lasu Teresię.

— Łap! — krzyknął pokazując ją najbliższym kozakom, otaczającym dom.

Teresia cofnęła się na widok żołnierzy przed domem i znikła w gąszczu; kilkunastu jeźdźców ruszyło galopem ku lasowi.

— Kogóz to pan łapać kazujom?! — zapytał ciekawie, ale energicznie stary Topór.

— Twoją wnuczkę, Marynę, chamie! — huknął Sulnicki pewny swego. — Bośmy po to przyjechali!

Stary Topór zapłonął cały; rozprostowały mu się plecy, jak kiedy w pochód wojenny wybierających się chłopów błogosławił, cofnął się krok w tył i krzyknął groźnie:

— Wnęke mojom, gazdowskom dziéwke, wy?! A coz wam do niéj?!

— Będzie łóżko mojemu panu słać i będzie z nim spać! — odpowiedział Sulnicki.

— Ona? Pańska dziéwka?! Maryna?!

— Mogła zdrajcy hołyszowi Kostce za podściółkę być, woli panu wojewodzicowi!

— Pan Kostka świenty człowiek béł! — zawołał Topór oburzony. — Z famieliji świentej i królewski pułkownik! La Boga i la króla takiemu nie bees ujmował nic! A wy, psiogłowce zatracone, w pole! Marś!

— A to? — krzyknął Sulnicki wskazując dukaty na stole.

Zawahał się stary Topór na złoto spojrzawszy, ale tylko

na sekundę jedną; zagarnął przedramieniem w koszuli dukaty i z brzękiem rzucił na podłogę, wołając:

— Bier se ig! Zjédz!

Sulnicki zaśmiał się i krzyknął:

— Zliżesz, stara świnio, gdy stąd Marynę za włosy powleczemy!

Ziskrzyły się wąskie, przymglone oczy starego Topora; schylił się, chwycił siedak za nogę i w łeb nim w czapę drucianą Sulnickiego trzasnął, że się ten zamroczony od ciosu gębą na stół zwalił; potem zwrócił się ku kozakom ze wzniesionym stołkiem, krzycząc:

— Ja tu gazda! Tu was wybijem do nogi, piesecne psy piekielne! W pole!

Ale pachołek przyboczny Sulnickiego nie czekając kindżał z pochwy na piersiach dobył i w bok pod serce Topora pchnął. Z rozkrzyżowanymi rękami, z jękiem: Jezus kohany! — zwalił się starzec na podłogę. Za czym poczęto go bić i kopać, i zabito.

Widząc, że Sulnicki bez zmysłów, na stół twarzą padłszy, leży, kozacy, którzy słyszeli, iż gazdowie górscy skarby miewają, jedni dukaty pozbierali, a drudzy plądrować się dom rzucili. Tymczasem też jeden po drugim gońcy Teresi popowracali.

— Nie złapaliście?

— Nie. Kamień we wodę! To był majak.

— Czort zatumanił...

— Diabeł zrobił, żeby dusza tego starego bez odpuszczenia grzechów do piekła poszła...

Sprzewracawszy co było, zrąbawszy skrzynie, zwaliwszy piece, zrujnowawszy piwnice, stajnie, chlewy, zabrali kozacy nieprzytomnego jeszcze prawie Sulnickiego między siebie na

konia i kłusem ruszyli ku drodze, którą przybyli, unosząc łup co lepszy.

Teresia, ujrzawszy dom Toporów otoczony żołnierzami, za których wzięła Sieniawskiego kozaków, przerażona cofnęła się w las, a słysząc, że ją gonią, wpadła do starego, opuszczonego lochu, kędy podobno niegdyś osiadły tu szlachcic Płaza, banita, wino chował w beczkach. Loch w gąszczu między dwoma wykrotami po wietrze halnym uszedł uwagi kozaków. Tak im się też dziwnym wydało, żeby ktoś im po prostu z oczu znikł, że nie bardzo tropili, od razu mamunę czarcią przypuszczając.

Długo siedziała w lochu Teresia, nim się wychylić odważyła, a gdy ostrożnie ku krajowi lasu podeszła i przekonała się, że nikogo naokół nie ma, pobiegła ku domowi Toporów i trupa starego Topora w progu ujrzawszy wrzasnęła z przerażenia i nie patrząc więcej, trzęsąc się cała jak od zimnicy, popędziła w uroczysko leśne ku Marynie.

Niedługo potem stara Toporowa, Sobcackula, z odpustu z furmanem, małym pacholikiem, niemową, bo reszcie czeladzi pozwoliła w Ludzimierzu jeszcze pozostać, w obejście wjechała. Wspaniale, po gazdowsku. Nie wiozła z odpustu nic prócz kukiełki.

Na widok mężowego trupa i wnętrza domu zrąbanego i zniszczonego, w bezwładzie i skostnieniu członków upadła na twardą glinę sieni wznak; pacholik wystraszony głowę jej podjął i poduszkę przywleczoną podsunąwszy uciekł nieprzytomny ze strachu, konie zostawiając.

Nie zastawszy siostry w domu powracała też na Hrube i Jewka, nie mogąca się uspokoić nad apetytem Krzysia.

— Wrodoś, kielo to zre! — mruczała. — Miske byś połknon! Wiera nié?! Przepaśny kóń! Wilce garło! Zarbyś? Jaskółce gniazdo!

Nagle głos zamarł jej w krtani: z otwartych drzwi od sieni wyskoczyła z cienia przez wysogi próg łasica.

— Je coz to?! — zdumiała się Jewka. — Nié mas nikogo, co haw łasice gazdujom? Je dy wóz i kónie na oborze...

Wstąpiła do sieni i omal nie potknęła się na leżącej z odjętą mową i władzą członków Toporowej.

Potem natrafiła na zamordowanego Topora; potem ogarnęła zdumionymi oczami zrąbane skrzynie, poodrywane dyle podłogi, sprzewracane łóżka, zdarte półki, rabunek.

— Zbójniki béły — zakonkludowała — abo panowie karajom...

Siadła na ławie, wtem wzrok jej padł na coś błyszczącego w rogu pod ścianą — podbiegła.

— Dukat!...

Miał!... —

Rzuciła wzrokiem wzgardliwym na starego Topora.

— Miał!

Zaczęła szukać, szperać, biegać jak łasica po domu. Znać było, że szukano przed nią, ale śladów pieniędzy Toporowych nie znalazła.

Były one schowane dobrze, pod jaworem za izbami, w ziemi.

Czego kozacy nie ukradli, to szukając pokrajali, posiekli, poszarpali. Mało co pozostało w dobrym stanie.

Jewka od razu, nie namyślając się, nie żałując nikogo, postanowiła iść w służbę ka inendéj.

Toporowie, Sobek i Maryna, którzy żywi pozostali, nie byli jeszcze wprawdzie bynajmniej „dziady“ mimo rabunku, ale ją nieradzi widzieli — młode pępki, łandygi!

Postanowiła też w te razy wynieść się z Hrubego w dalszą okolicę, zabierając, co się da. Rozłożyła wielką chustę na

pośród izby i ładowała w nią graty mrucząc: dobre — niedobre...

Nie szło jej o nikogo.

Ale oprócz przyodziewy, o ile jej kozacy nie ukradli, jedyną niemal rzeczą niezniszczoną a zabrać się dającą na plecy była poduszka, na której leżała Toporowa.

Ze skołczałym językiem i skościałymi członkami, straszliwym wzrokiem za kradnącą i plądrującą Jewką wodziła leżąca na glinianej polepie w sieni bezwładna, ale przytomna Toporowa Sobcackula.

Kradnie!...

I oczy jej w nieruchomych oczodołach paliły się piekielnym blaskiem, stare, wściekłe, bezsilne oczy...

Kradnie — ten dziad, ten plugac, sługa!

Okrada ją — gaździnom nad gaździny — kradnie jej majątek!... Resztę majątku!...

— He! Zagłówek! — zamruczała Jewka łakomo, patrząc na poduszkę pod głową Toporowej.

Zagłówek, poduszka, piékny, fajny, dobry!

Piękna poduszka!...

Pochyliła się nad Toporową i chwyciła poduszkę za dwa rogi, wtem we włosy wbiły się jej jak szpony suche, chude, kościane palce ręki gaździny i zastygły tam, zdrętwiały zamarłe.

— Puść! — charknęła Jewka.

Puść, bo cie zadawiem! —

Ale oczy Toporowej Sobcackuli tak straszno patrzały w jej twarz, że nie śmiała jej sięgnąć ku gardłu, aby udusić.

— Gaździno, puście! — jęła błagać.

Chwilowo przerwany okropną złością bezwład członków Toporowej trwał znowu. Jewka chciała rozerwać jej palce siłą, ale nie mogła.

Wołać było próżno. Głos się głuszył w sieni i dom stał daleko i osobno na polanie.

Powoli zaczął zapadać mrok.

•

Olbrzymi Gałajda wraz z Sobkiem dziwne stworzenie przynieśli do szałasu i wszyscy juhasi i gońcy zbiegli się i zadziwieni oglądali.

Gałajda trzymał to na rękach ostrożnie blisko ognia i obsuszał, bo było mokre.

Dziewka to była młoda, cudacznie ubrana. Miała suknię na sobie białą, sukienną, na tym płaszcz czarny sukienny i na nogach drewniane, przypięte rzemykami podeszwy z obcasami. Te to Sobek po śniegu ślakował.

Cudowali się Sobek, Marduła, Byrnas, nawet stary Kret nic nigdy podobnego nie widział.

Chrzczone było, bo mu na szyi złoty krzyżyk na złotym łańcuszku wisiał.

Mokre było całe i oczu otworzyć nie chciało. Ale żyło.

— E dy ozebrać trza, coby oskło — rzekł stary Kret.

Więc, że dziewek nie było, stary Kret i Byrnas na rękach Gałajdowych rozbierać ono zaczęli, młodsi zaś z szałasu wyszli. A że babskiej przyodziewy nie mieli, owinęli nagie, bo do koszuli przemokło, do suchych guń i uwędzonych w dymie kożuchów i położyli nisko i blisko ognia na ławce, tak, ażeby dym ku twarzy nie szedł.

— Uwarz słodkiego mléka — rzekł stary Kret do Sobka.

Więc Sobek wypłukał czyste naczynie i mleko z ostatniego udoju gotować zaczął, oni zaś radzili, co by to mogło być i skąd się wzięło, ale nikt nie wiedział nic...

— Przisło...

Wtem dziewczyna westchnęła i otwarła oczy niebieskie.

— Patrzi — rzekł młody goniec.

Ale Sobek palcem milczenie nakazał przez delikatność.

Gałajda zaś suszył koszulę i suknie nad watrą, bacząc, by się nie przypiekły.

— Gdziem jest? — ozwał się cichy, słaby głos.

— U nas, w sałasie stawiańskim — odpowiedział Sobek.

— Mléka jej dajcie — rzekł Kret.

Nalał Sobek gorącego mleka do czystego skopca i podstawił pod usta dziewczynie, w obu dłoniach dzierżąc.

Piła — i kolory życia nieco jej na twarz wracać jęły.

Wypiwszy popatrzała po sobie i prawie że krzyknęła:

— Jam naga! Gdzie moja koszula?!

— Jeć sie susy — odpowiedział Gałajda, rozpinający koszulę, jak żagiel, ku ogniowi.

— Oddajcie mi koszulę, suknię, płaszcz! — wołała dziewczyna zatulając się gunią. — Czy wy zbójcy?!

— My juhasi, pastérze — powiedział Sobek. — Nie bójcie sie haw nicego!

— Wy dobrzy ludzie?

— Z dobrymi dobrzi.

— Jam... — zaczęła i urwała.

— My sie ani nie pytamy, wtoście wy — rzekł Sobek. — Bedziecie jesce pić?

Dziewczyna rąk nagich spod guni wyjąć nie chciała, więc jak poprzednio przykląkł nad nią i ze skopca ją poił.

Napiła się, zamknęła oczy i twarz schyliła.

— Moze bedzie spać — szepnął Kret.

— Wyście dobrzy ludzie? — zapytała cicho, widocznie usiłując walczyć z wycieńczeniem i snem.

— Śpijcie jak u janioła na rencak — odpowiedział Sobek.

— Młode — nie bedzie temu nic — szeptał Kret. — Cud boski, ani nóg nie odmroziło. Musiało kajsi w kolibie siedzieć. Gałajda, kaześ jom nalaz?

— Ja to nalaz uswijane w kłębko w kosodrzewinie. Wisiało w gałęziak — odpowiedział powoli Gałajda, rozciągając obsuszoną koszulę na żerdzi nad watrą.

— Musiało nogi stulić pod sie, a ręce za pazuhy wephać, bez to nie odmroziło — rzekł Kret. — Bóg świci, co nie zglewiało samo. Uwazujciez, coby zygi na niom nie leciały.

— Siumne dziéwce — szepnął Byrnas, gdy dziewczynie przywarły się powieki.

— Jak leluja! — szepnął Sobek.

— Do cudu! — szepnął Marduła.

Na palcach chodzili, drwa obsuszali, nim na ogień poszły, by nie dymiło, mleko gotowe mieli, a coraz czym świeżym przyodziali.

Dziewczyna leżała na naprędce usłanym posłaniu ze smreczyny i chust, pod kożuchami.

— Zamglało w kosówce — mruczał Kret. — Nieg sie odeśpi. Osata sie hnet, bo to młode.

Czuwali. Obleczona przez Kreta i Byrnasa w koszulę dziewczyna leżała.

Szeptem ozwał się Brzegów Wojtek do Sobka:

— W samém tém miejscu lezy, ka pan Kostka pościelone miał.

Wydało im się, że dziewczę drgnęło; popatrzeli — blade było jak płótno i głowa zwisła mu w tył. Zlękli się mocno, ale stary Kret znał obacować i do przytomności dziewczę przywrócił.

Lękliwie pozierali, czy znowu nie zemdleje. Przeszła noc.

I na drugi, i na trzeci, i na czwarty dzień czuwali — stała się wielka cisza w szałasie.

Jeden przed drugim żałował, że bab nie ma do pomocy i przyzioru, ale wszyscy radzi byli, że są sami.

Posługi spełniał stary Kret z pomocą starego Byrnasa.

Nie wiadomo było, czy dusza nie ucieknie, ale ją za wszystkie końce trzymali.

Nie sądzili dziewczęciu życia, ale nie tracili nadziei, że nie umrze.

A nie dziwota, że śmierć za węgłem szałasu stała — co to przetrzymać musiało, nim ją Gałajda znalazł, co przetrwało...

Nauczyło się to biedy, o haj...

Ale stary Kret znał zioła cudowne; więc zbierali je na wyprzódki i do szałasu nieśli, a Marduła po najlepszy litworowy korzeń aż w Litworowe pod Polski Grzebień lasami na Roztokę i na Białą Wodę doliną pod Wysoką poleciał. O świcie się wybrał, a słońce śródpołu wysoko jeszcze na niebie stało, kiedy wrócił. Tylko nowe kyrpce zdarł.

Stary Kret ziela warzył, a on seliniejakie przysady znał; zamawiał chorobę.

Dziewczę o świecie nie wiedziało, gadało, krzyczało, ale nikt nie rozumiał, co.

Jeszcze co można było zrozumieć niekiedy, to słowo: oczy.

— Urzók jom wtosi ocyskami — mówił stary Kret.

Szóstego dnia rano choroba się jakoby przesiliła i dziewczę przytomnie spojrzało.

Stało się wielkie święto w szałasie.

Że delikatnie jeść musiało być nauczone, dawali mleko słodkie z miodem, którego Mardule dziewki aż z dalekiego Ratułowa naniosły.

Nikt się o nic nie pytał, o nic dziewczęcia nie badał.

Było.

Zrobiły się cudne, gorące dni i zaczęło wychodzić przed szałas.

Naszła jednak noc parna a chmurna i mglista nadzwyczajnie.

Nie mógł Marduła wytrwać. Wybrał się cicho z szałasu i przeżegnawszy się od złego, przy czym mruknął trzykrotnie: „Ojce Światowidzie!“ i rzuciwszy przed siebie trzy kamyczki, puścił się niesłychanie szybkim pędem z kroku ku Lilijowej przełęczy, skąd zsunął po ćmie jak nietoperz dołu, kamienie trącone, nim spadły, stopą przytrzymując, cicho ponad szałas liptowski. Przystanął obwysno nie opodal za skałą, nasuł prochu na twardą dłoń, skrzesał iskrę i zapalił. Buchło. Już był pewny, że żaden pies nie zaszczeka. Po czym kradł się bez szelestu za instynktem, jak żbik przyczajony, a jak ryś posuwisty. Znał, gdzie koszar.

Powiadają na mnie, ze jo ukrod jagnie,
Jo je ukrod z owcom, niek mi robiom co fcom —

męłło mu się wśród zębów. Nie był ani wesoły ze psoty, ani rad z zuchwałości — wciągnięty w siebie przystępował i przystępował, wolno a zsuwisto po uboczy, przychylony i diabelnie ostrożny. Dopadł owcę zza ogrodzenia, jedną ręką za wełnę na leżeniu, drugą za nos, by nie zbeczała, podniósł bez żerdź, zarzucił jak mógł na plecy i ramię i chyłkiem w zwyrt najśmiglejszy w górę skoczył. Psy się nie ruszyły. Dopiero rad się stał, bo dokazał śtuki nad śtukę, zuchwałości nad zuchwałość, bystrego serca nad bystre. Już mu dygotało na zębach:

Ucyła mie matka piéknie zatańcować,
A ociec mie ucył ukraść, dobrze shować —

ale się wstrzymał.

Juhasi liptowscy czuwali niedaleko w nizinie. W bacówce watra gorzała przez szpary. Marduła się do razu schylił z owcą na karku, wypiął portki ku juhasom i pomiędzy nogi swoje

pozdrowił ich niepięknie. Po czym się wyprostował, podskoczył i kerpce na dwoje w powietrzu skrzesał z uciechy, jedno, że ukradł, drugie, że pannie przyniesie.

Na Lilijowym się ozdarł:

Bacio, boziaj me w rzyć i z owcom!!...

Owcooom!!... — rozległo się echo od Świnicy i Walentkowej ku gołym Wierchom i Zielonemu Krzyżnemu — tak zgiełcało we mgle, jakby się dzwon w niebie urwał.

I uradował się Marduła, że ma taki piękny i donośny głos.

Powstała rano larma na hali Liptowskiej; baca z Wierchcichej spostrzegł i wybrał się z pięciu juhasami zbrojno, na siłę skradzioną owcę odbierać. Marduła słynął. Przyszli czarni, odymieni i od mosiądzu dźwięczący, wczas, w słońca, co mgły zgasiło, blasku.

Ale Sobek wyszedł naprzeciw nich z juhasami i gdy się sobie wzajem pokłonili, rzekł:

— Mamy tu panne, przy bitce krzyk. Wrócem wam. To ino bez śpas. A jakby wam o bitke sło, to sie zejńdźmy hań na grani. Zgoda?

I dał owcę, którą Mardule markotnemu odebrał.

— Zgoda — rzekł baca. — A jakbyście se chcieli spróbować, wyjdzeme.

Pokłonili się sobie godnie, podali ręce i rozeszli się godnie.

Ale przechodząc mimo Sobkowego szałasu baca z Wierchcichej i juhasi liptowscy ujrzeli dziewczę siedzące przed progiem.

— Jaaj! — zadziwił się śpiewnie baca z Wierchcichej Doliny.

— Jaaj! — zadziwili się śpiewnie juhasi.

Bo to był śpiewny, smętny, słowacki lud; a nie miał w węgierskiej niewoli nic prócz swoich kobiet.

I stanęli rzędem i dziwowali się pięknu, co rozkosz daje.

I ze wzdychaniem, brzęcząc blachami i zbroją, w górę odeszli.

A gdy stawiańscy juhasi z gończami owce paść wygnali, Sobek sery w szałasie gniótł; stary Kret, do słońca się grzejąc, bo cudne sierpniowe pogody były, pośród głazów na hali dziewczęciu opowiadał.

Opowiadał jej o ogromnych kościołach w skałach, gdzie księża w białych komżach mszę odprawiają i tysiące świec się jarzy, a od organów na chórach cała góra wewnątrz gra; opowiadał o pieczarach, gdzie złote są mosty nad wodami, po których od mrakoty mało widno, a na sadzawkach bezdennych złote kaczki pływają i jajka z diamentu niosą; o parobku, co dziewczętami gardził, a po śmierci za nimi biegał i rutę im z kapelusza dawał, żeby mszę za jego duszę kupiły; o dziewczynie, co nikogo kochać nie chciała i po śmierci zmieniła się w kwiat-obłok, co ani na ziemi siąść, ani do nieba wzbić się nie może; o królu wężów, co na Tatrach leżał i nikomu się widzieć nie dawał, aż gdy go parobek jeden odważny podpatrzył, on śpiących rycerzy na śpiących koniach ze skały na lud w burzy i zawierusze puścił. Od których lud Perłowic, co się z połkniętej perły kobiecie jednej koło Jszownic urodził, za poradą lilii zabiwszy smoka Wołosyna, który się zamienił w górę nad Roztoką, i widziadło, co w Mnicha skamieniało nad Rybim Jeziorem, i zwalczywszy króla wężów — uwolnił. Ale do śpiących rycerzy nie doszedł, bo król wężów uciekając pod ziemię skałę ogonem strącił i wchód do nich zawalił. A Perłowic się potem z liliją ożenił, bo tak był ślubował, gdy prosił Boga, aby mu lud od utrapienia uwolnić pozwolił. Wówczas lilija przed nim wykwitła i broń mu pokazała, maczugę. A gdy wątpił, to maczuga była tak



ciężka, że jej dźwignąć nie mógł; a gdy wierzył, to była lekka jak pióro. Nią zwyciężał.

I opowiadał jej o czarnym, samotnym stawie pod Kościelcem, kędy z głuchych skał ściekała woda i kędy wiatr pływał na fali poruszonej. On trzy kwartały w roku, gdy owce, co się nad nim pasały, z hali zeszły, bywał samotny. A wtedy z wielkimi jeziorami w Pięciu Stawach, z Rybim Jeziorem i Morskim Okiem ponad nim, z Hinczowym Stawem za Hrubym Wierchem Mięguszowieckim on gwarzył. Pytał się ich bez wiater przed zimą: nie śpicie ta jesce? — czy jeszcze na nie nie zapadł lód; a potem na wiosnę: nie śpicie ta jus? — czy lód już po nich potajał. Głosiły się stawy jeden do drugiego, bo sytko polubienie ma.

Gwarzyły jako to było, kiedy cała dolina popod Tatry pod morzem była. Były wody niezmierne na obszerz świata rozlane, one zaś, wyniesione wysoko w górach nad morskimi wodami, słuchały, jako szumią, bo do chmur zdychno było.

Tysiąc lat po tysiącu szło.

Wtem przyjechał król Chrobry i mieczem przeciął łańcuch gór. Z niesłychanym hukiem i grzmotem runęło morze w dół za Gorce i świat tamten zalało. Ka było morze, leje się Biały Dónajec i Carny.

Stawy zostały same, samotne, wielkie wody na wysokości. A jeszcze dawniej nie było nic, lem śnieg i lód. Dawno.

I różne inne powieści prawił stary, stuletni Kret, a dziewczę słuchało.

Nieraz też juhasi kolejno, jeden za drugim, przy muzyce czyjejkolwiek tańcowali w szałasie wieczorem, a potem często cała gromada chłopaków, gońców, wyskakiwała naraz koło watry „drobnego“, aż bita ziemia odzywała. Czasem chłopcy „cud broili“: na głowach stawali, na rękach chodzili, we wa-

tręę się prali, na drągach na poprzek pod dachem powtykanych wieszali się jak małpy i śpiewali popod dach.

A że dziewczę rado słuchało, więc i juhasi śpiewywali, po dwóch i po trzech, lub wszyscy razem w szałasie bacowskim, a nigdy nic nieprzystojnego i nigdy nawet uwagi ani gany starsi chłopi młodym dać nie musieli. Niekiedy stary Kret, w zamyśleniu podczas śpiewów siedzący, przyćmionym, głuchym głosem zawiódł:

Musem jo se, musem, siekiérke nastalić,
bo mie obiecujom przi dziéwcynie zabić!...

i znowu w zamyślenie stuletnie zapadał, w zapamięć...

Gdy nikogo w szałasie nie było, gdy juhasi owce w upłazy pognali a baca ku nim wyjrzeć poszedł, naówczas miało dziewczę gości: szare ptaki, gazda szałaśny i siwarnik, śmiało koło szałasu się kręcili, ze świegotem i piskaniem, i zlatywał czasem z wysoka tęczoskrzydły, z dzióbem podobnym do żądła motyl skalny, o długich, silnych pazurach, zwiedzacz ślizgich od ciekącej wody turni wyniosłych i szczelin nadbezdennych nad zawrotnymi przepaściami, gdzie czarna śmierć nocuje. Z kosodrzewiny i z górskiego karlego jałowca krzaków lub niżej, spośród czerwonych jarzębin, zrywał się dziki kohut, cietrzew, na ciężkich skrzydłach, lub głuchań z potłumnym łopotem, w przestrzeni kołysały się potężne jastrzębie lub wartkie, trzepotliwe jastrząbki, nieruchome w powietrzu, jak przeszpilone w przestrzeni; a czasem zataczał ponad halą koła bijący owce orzeł skalny lub śmigał ponad nią szybki, gwałtowny, jak z piorunu odprysły sokół, w locie jaskółkę chwycić zdolny. Spod Żółtej Turni gwizdały świstaki, między głazami żerujące, a czasem dał się słyszeć wysoko ze skał ostry, chrapliwy, pszkający gwizd kozicy, blisko zaś śród kamieni prześlizgiwała się żółtopłowa łasica lub biały

gronostaj. Metaliczne jesienne muchy o przejrzystych błonach migały z brzękiem i pozłociste, świecące, zielonawe chrząszcze suwały się w trawie powoli, po której szybko przemykały szare halne pająki o wysmukłych nogach. Ostrożny lis wystawiał niekiedy z gęstwiny pobok ostrokończysty, szpiczastouchy łeb, lub żbik żółtooki albo kuna ciemna popatrzyły ku szałasom z konarów smrekowych i uciekły od ludzi.

Niekiedy po zielonych trawiastych uboczach, co popod Magórę biegły, przechodził rozłogorogi jeleń, cień rosochaty wlekąc za sobą i spozierając w dół czarno-złotymi, mieniącymi się szafirowo oczyma, lub tętniło po nich stado łań z cielętami.

Tam leżąc z rękami za tył głowy założonymi, na hali, widziało dziewczę nad sobą gry nieba rozmaite, zmienne kolory błękitu, fale barw i świateł, od bladosrebrnego seledynu aż do w granat wpadającego szafiru, i chmur gry upajająco przemienne, od ledwo widnych, zwiewnych, pierzchliwych białych mgieł, wypływających z głębiny i niknących nie wiadomo gdzie, aż do ciężkich mrocznych chmur, zaścielających jednostajną powłoką dolinę, i żółto-granatowych, świecących fosforem obłoków, na których płynie burza.

Jednego promienistego dnia dziewczę poszło i dość długo go nie było, aż się zaniepokoił Sobek i juhasi, co na odwiecerz z owcami zeszli. Ale ono wyszło z lasu i pęk kwiatów leśnych i ziół pachnących przyniosło i dało pół Sobkowi, a pół Gałajdzie, którzy ją do szałasu przynieśli. Gałajdzie śwircki stanęły w oczach — bo to było przy nim małe, ani mu pod pazuchę głową nie sięgało. On był olbrzym.

Nazywali dziewczynę „ono“ za starym Kretem; imienia nie znali.

Pewnego dnia ono zapytało Sobka:

— Długo tu jeszcze będziecie?

— Niedługo.

— Pójdę razem z wami do wsi, abym tu na wiosnę powrócić mogła.

A nikt, choć z wyjątkiem Kreta i Byrnasa chłopy były młode, nawet myśli nieprzystojnej nie powziął. Marduła nawet się pytał Sobka, czy nie myśli, czy to nie święte, albo czy z nieba nie zjechało gdzie z deszczem ku Stawom?

— Jedy bełο zmarźnione i chorowało, w niebie tego nié ma — rzekł Sobek.

— Mogło sie wej stłuc, tele dale z nieba lecący — odpowiedział Marduła.

— Nie jest z nieba, bo syćko robi tak jak człek — rzekł Byrnas. — Ja wiem, bok widział.

— Dy i Pan Jezus jad i pił, a Bogem bél — odparł pomądrze Marduła.

I wszyscy nań z podziwem spojrzeli, bo od niego rzadko o czym innym, tylko o spodnicach, o bitkach, o pijaństwie i o złodziejstwie słychowali.

Ono było ciche i modliło się wiele. A o pobyt pana Kostki na hali nigdy nie pytało, ale gdy opowiadali, słuchało blade i modliło się potem, długo w noc klęcząc, w bacówce, gdzie sypiało pod opieką dwóch psów, u progu na łańcuchu upiętych.

Psy mu ręce lizały, owce doń przychodziły. Żeby mu się nie przykrzyło, juhasi przynieśli młode jagnięta. Tych kilka już onego ani w dzień, ani w nocy nie opuszczało. Nieraz juhasi rano budzić przyszli — ono śpi, na jagnięciu głowę wsparłszy, a między jagniętami się grzeje.

— Jak na śkle malowane — mówił z zachwytem Sobek.

Wtem wieczorem, tego dnia, gdy Sieniawskiego dragoni Toporową zagrodę najechali, psy gwałtownie zaszczekały

i w chwilę potem w progu szałasu pojawiły się Maryna z czarną wypaloną głownią w ręku i Tereska.

Właśnie wieczerzano i ono piło kwaśne mleko z plackiem.

— Maryś, cos ci?! — krzyknął Sobek, widząc twarz siostry zmienioną i wyraz straszny.

— Pomsta! — zawołała Maryna. — Bogowie wołajom sie mścić!

•

Nieskończonym, nieobjętym szumem chwiał się był nad Maryną las. Powoli, w dymie stosu, poczęła jej się była pojawiać ogromna, jakoby miedziano-szkarłatna twarz w złotej z długimi kolcami koronie, okolona rudymi kędziorami. Pochylała się ona nad stosem w chmurze dymu. Widziadło.

Maryna, klęcząca od długiej chwili z oczyma w płomień wpatrzonymi, przygięła głowę przed majestatem zjawiska.

Bóg się pojawiał...

Starzy bogowie wysłuchali jej, przychodzili pomagać przeciwko panom i księżom...

Starzy bogowie nieba i ziemi, wód i gór, lasów i gajów świętych...

Stare bogi, człowieka potężni druhowie mili, moce swoje...

Spływali ponad nią w ćmie, staczali się w niesłyszanym grzmocie. Ich twarze drgały w brzemieniu omroku ich przybywania. Siarką i ciepłem gromu było ich czuć. Marynie pracowała gwałtownie pierś. Przejmowała ich w nią, zastępowała nimi w ciążę.

Wtem zdyszana, zziajana Teresia wpadła w uroczysko.

— Maryna! Nié mas dziadka, nié mas pościeli, nié mas w komorze nic! — krzyknęła.

— Jako?! Co?!

— Wpadli źli ludzie, dziadka zabili, pościele zrombali, co ka béło wzieni, przyodziewe, spyrki — nié mas w doma nic! Pustka!

— Wto?

— Zołmirze! I mnie na koniak gonili, ale jek do Płazowskiej piwnice uciekła.

— Tobie gonili? — powtórzyła Maryna.

— Haj! Na koniak. Moze z dziesięci. Prawiek z lasa fciała wyjńść.

— Ha! — krzyknęła Maryna zrywając się z klęczek. — To jego zołmirze! To po mnie przijehali! To on — sieniawski pan!

— Ze jakoz wiés?

— Ten bozyc mi rzók, co hań sie w dymie z nieba znosi! O bogowie przenajświeńtsi! Wyście mnie ukarali i wy mnie teraz wołacie! Za krew — krew! Za głowe dziadka Jasicy — jego głowa! Za mój dom — jego dwór! Na jego sable: topory! Hejhaaa!

Dziki, przeraźliwy, wysoki wrzask napełnił powietrze, a porwana ze stosu i zakręcona nad głową głownia wianem iskier owiała Marynę.

— Hejhaaa! — powtórzyła okrzyk. — Tego trza béło, coby sie hłopi porwali bronić i mścić!

I poskoczyła naprzód.

— Ka polecimé? — zapytała Teresia.

— Ku Stawom, do Sobka! Mścić się! Mścić!!

•

Był dziesiąty dzień po przybyciu Beaty Herburtówny na halę ku Stawom.

Sobek zbiegł na dół z dziewkami, ujrzał własnymi oczyma rabunek i trupa dziadka; nie rzekł nic i pogrzeb dziadkowi

wyprawił. Zbili mu jedlową truchłę z czysto rzezanych desek i do truchły, co rad widział za życia, włożyli: stary nóż zbójecki, starą po Toporze Łamiskale przodku blachę, co się nią koszulę spinało pod szyją, i śliczny obrazek na szkle malowany, wyobrażający świętą Cecylię w zachwycie na organach grającą, której aniołowie słuchali z zielonymi palmami w rękach, który za listwą w izbie miał. A stary Topór Żelazny wsunął mu jeszcze pod głowę ziemi garść, bo był gazda i ziemię miłował. Truchłę zabili, włożyli na wóz i do Szaflar do parafii powieźli. Za wozem szły baby z płaczem i zawodzeniem, jako zwyczaj każe, i chłopi milczący, zawzięci, zły gniew żujący.

Tak szli z trupem z Hrubego przez Olczę, Poronin, Biały Dunajec, najlepszymi drogami, aby się trup nie trząsł, do Szaflar.

Szedł i mały Krzyś, strapiony, z olbrzymim Gałajdą, który woły drugiemu wolarzowi zwierzywszy na pogrzeb spod Kopy Królowej zstąpił. A gdy się pogrzeb odbył, razem wracali i do karczmy w Białym Dunajcu, do srodze znajomego Krzysiowi Żyda wstąpili i w strapieniu pili. A gdy potem wyszli i znowu pod hale, trzymając się za ręce, wracali, użaliło się Krzysiowi Gałajdy, że ani żony, ani dzieci nie miał i samotnie woły pasać w lecie, a w zimie w domu siedzieć musiał, i mówił mu, bo to byli dobrzy znajomi:

— Wiés ty, ja cie ozenie... Najdem ci babsko obitelne, jak sie patrzy... Tobie baby trza...

— Trza — potwierdził rzewnie Gałajda.

— Ja ci najde!... Nie oblizańca ani nie matafije, co by maniory miała... Mnie tobie zal... Same ino obsiwkary koło tobie, co na jedném ramieniu wode nosi, a na drugiém ogień...

Gałajda westchnął.

— Tobie baby trza — mówił Krzyś z przekonaniem. — Ja ci posukam... Gazdowskom dziéwke, nie wysiedzianom, rezuwitnom, wystawnom i przystojnom... Boś ty człowiek!

Gałajda wzruszony stanął, małego Krzysia w olbrzymie łapy obłapił i lepkimi wargami w usta go mlasnął. Po czym znowu, objąwszy się za karki, ruszyli, a Krzyś zataczając się dowodził:

— Tobie baby trza... Ja wiem. Ja ci najdem... Co by miała duse jak woda, serce jak złoto, rozum jak włosy, a od biedry do biedry w zadku ńtyry siuhy... Browar!... Bo o takom nie trudno, co ma dupe jak scudło...

Gałajda chlipał, Krzyś mówił:

— Kie ja młody béł, za mnom takie kerdelem hodziéły... Wino mi na Węgrak konewkami nosiéły... Ja kazdom uwiód... Nie wierzys mi? Tobie baby trza... Ja ci najdem... Bo baba jest psia para, lec przez baby okfiara... My to nieraz z nieboscyke Topore gadali... On miał głowe!...

Nagle Krzyś się zatrzymał, puścił Gałajdę, zastąpił mu drogę i rzekł groźnie:

— To béł hłop! Nie taki jak ty, dziadu!

Gałajda się stropił i zmartwił.

Po czym wstąpili do karczmy w Poroninie, gdzie zastali równie wielkiego, potężnego i pijanego jak Gałajda Jakuba Karkosa i zaczęli z nim pić. Po chwili Karkos bez przyczyny dał w łeb Gałajdzie, aż jękło, a Gałajda mu oddał, aż znowu jękło, Krzyś zaś zdjąwszy ze ściany skrzypce karczmarza Żyda zaczął na nich grać Toporową drobną nutę orawską:

Hora, hora, wysoko si,
moja miéła daleko si...

Wkrótce Gałajda uderzył w łeb Karkosa, Karkos zaś Gałajdę. Ale to wszystko bez gniewu; dlatego że byli mocni

i że im to nie szkodziło. I tak od czasu do czasu huczały grzmocone pięściami jak bochenki łby, Krzyś zaś grał.

Po czym poczęli do siebie zdrówkać wódką, blaszanymi kwaterkami, a potem zaczęli się ceremoniować, gdyż Karkos, jako miejscowy, chciał płacić za Gałajdę i Krzysia, Gałajda zaś za Krzysia i za niego.

Wreszcie Gałajda wziął pod pachę i wyniósł Żyda za drzwi, Krzyś wybił okno bez powodu i wyszedł za nim przez nie, a Karkos wlazł do alkierza i położył się do łóżka Żydówki spać.

— Ja cie ozenie — mówił znowu Krzyś do Gałajdy. — Tobie baby trza... Coby ci honór oddawała... Boś ty cłowiek!...

●

Straszliwe gniewy rozpłonęły nad okolicą górską. Z jednej strony szlachta, dumna i upojona zwycięstwem pod Beresteczkiem, o którym sama wieść zgniotła pozornie wszystkie ruchy chłopskie, przybywszy do domu i karcąc zbuntowanych chłopów „zdawała się odchodzić od siebie ze zemsty i oburzenia". Śledztwa i sądy, zwłaszcza we województwie krakowskim, wszczęto tak srogie, iż całe wsie uciekły w góry na życie zbójectwem, lub przedzierały się i poddawały pod opiekę Węgrom. Ścinano, palono, wieszano, zabijano pałkami i puszczano z dymem domostwa. Z drugiej strony zapłonął gniew Toporów z Hrubego.

Już stary Mikołaj Topór Od Muru, stryjeczny brat zabitego Topora Jasicy, i stary Wojciech Topór Leśny z Hrubego i Stanisław Topór Żelazny spod Wiérchu schodzili się na narady, a wszyscy dookoła, Ustupcy z Ustupu, Murzańscy z Muru i Murzasihla, Łojasy z Pardółówki, Bulcyki z Poronina, Bachledy od Bachledów, Zalińscy z Furmanowej, Chowańce z Cichego, i dalsi, potężni, w przyjacielstwie pozostający Nowobilscy z Białki, Pary z Bukowiny, Jarząbki

spod Kopy, pomiędzy których wieść się o napadzie pańskich kozaków, mordzie i rabunku rozeszła, dzielili oburzenie.

Wszyscy patrzeli na Sobka Topora, najbliższego, co się pomścić miał, a Sobek, owce z hali zegnawszy, siedział w chałupie i milczał.

— Sobek hłop! O niego sie nié ma co obawiać! Cosi namyśluje! — gwarzyli między sobą gazdowie, gotowi pomóc krewniakowi i towarzyszowi.

Tu w królewszczyźnie, na Podhalu, nie było panów ani kar — można było radzić i myśleć.

Maryna Sobkowi opowiedziała wszystko. Jak ją poznał Sieniawski, jak jej się podobał, jak ją kusił złotem i pochlebstwami na próżno, ale jak ona go kochała nad wszystko i gdyby był parobkiem, jak byłaby mu się pod pierwszym jaworem oddała, lecz nie chciała, aby jej użył pan, ku któremu nie czuła się równą; jak oddała się panu Kostce, by go pocieszyć w godzinę niewoli i nieszczęścia, kiedy wszyscy stają się równi, i jak bogów dawnych wołała w pomoc i przymierze — a Sobek smołę ze smreków żuł w zębach i słuchał milcząc.

Nieruchoma, skościała babka leżała w izbie na pościeli.

Przychodził Krzyś i grywał; grywał stare Topora Jasicy nuty i ducha jego krwawego z tamtego świata wywoływał. Schodzili się Toporowie, Od Muru, Leśny, Żelazny, i sąsiedzi, i piersi im rozsadzało oburzenie, że się ktoś na Topora i gazdę na swoim porwać śmiał, a młodzi Toporowie mówili Sobkowi: — my gotowi!...

Udał się Sobek w Polany do starego Sablika i stary Sablik z gęślikami, rzekomo nika nic, ruszył gościńcem krakowskim i po tygodniu powrócił z wiadomością, że zamek w Sieniawie srogi, armatami, nie ciupagami by go dobywać trza, a wojska w nim tysiące.

W tajemnicy było mówiono. Oprócz Sobka, Maryny i Krzysia nie słyszał nikt, nawet ono, dziewczę, które z hal z juhasami zeszło i u Sobka mieszkało, lekkie posługi domowe czyniąc i koło nieruchomej babki posługując.

Słyszał też w swej wędrówce stary Sablik, iż panu Herburtowi ze Siwego Roga zginęła córka i że jej poszukuje, a za znalezienie trzy tysiące czerwonych złotych wypłaci. Opowiadał i o zakonnicy, co pod palem Kostkowym, gdy wszyscy uciekli, została i kędyś znikła potem jak mgła. Wiele słyszał, bo umiał słuchać. „Miał głowę..."

Tknęło coś Sobka i poszedł wprost zapytać dziewczęcia, ono odrzekło:

— Jam jest. Ale nie wydajcie, bo tu żyć, tu umierać pragnę.

I do ręki mu przypaść chciała, aby ją całować. ale Sobek zatrzymał ją łagodnie i spytał:

— Jako was, panno, wołać mamy?

Dziewczę pomyślało chwilę i odrzekło:

— Chrzestne imię trzecie mam Ludmiła — tym mnie wołajcie.

Tak więc ją zwano, ona zaś prosiła, aby ją za siostrę uważać.

— Majętności wam nie zal? — zapytał raz Sobek.

— Majętności moje w ziemi leżą — odpowiedziała z żałobą.

Tymczasem Sieniawski kozakom, którzy rzekomej Maryny, przez Sulnickiego wskazanej, nie schwytali, po trzysta śmiertelnych plag wsypać kazawszy, wiernego i obeznanego z okolicą górską sługę Tomka w przebraniu wędrownego kramarza ze swej strony na przeszpiegi w Hrube posłał. W ręce Marynę dostać jakimniebądź sposobem postanowił. Ruszył więc Tomek z koralikami, paciorkami, grzebieniami, medalikami i obrazkami świętymi i do osady Toporów Jasiców

wstąpił, a tam oprócz Maryny ujrzał i poznał Beatę Herburtównę, którą nieraz z panem swym do Siwego Rogu jeżdżąc widywał. Co też powróciwszy Sieniawskiemu zameldował.

Zdumiał się Sieniawski, a potem, palec do góry przy bystrym spojrzeniu wznosząc, rzekł do Tomka:

— Ani pary z pyska! Obie w sak! Milcz!

— Tysiąc czerwonych złotych masz u mnie — dodał.

Jak przed Sobkiem, tak i przed Maryną wyznała się Beata. Przyjaźń między nie weszła i opowiedziały sobie wszystko — i wzajem w największym wzruszeniu w oczy sobie poglądnęły, bo tenże sam Sieniawski Marynę uwieść chciał, buławką ją ugodził i porwać, choć daremnie, rozkazał — i tenże sam Sieniawski z Beatą chciał się żenić, pana Kostki nieszczęścia stał się przyczyną. Ale Maryna o swej miłości do Sieniawskiego nie rzekła, bo się wstydziła; i o swej miłości do Kostki nie powiedziała Herburtówna. Czemu w Tatry z klasztoru uszła, nikt jej nie badał. Była.

Tylko kiedy się Maryna dowiedziała, że Sieniawski równocześnie, gdy ją bałamucił, inną zamyślał poślubić, krzyknęła: loter! — i Beata na wiadomość, że zalecał się do Maryny w czasie konkurów do jej ręki, o łotr! — szepnęła przez zęby.

Wysłuchał opowiadania dziewczyn Sobek i gdy w czas jakiś ponownie zjawił się ten sam kramarz Tomek, przynosząc przyobiecane Marynie korale do wyboru, choćby tylko na pokaz, Sobek na noc go zatrzymał, z pomocą Maryny gębę w nocy mu zakneblowawszy ręce i nogi mu związał i cicho do lasu nie opodal do lochu Płazy wyniósł, gdzie, przytykając mu nóż kończysty do serca, gębę odetkał i rozkazał:

— Gadaj, co wieś!

— Co mam gadać? — jęknął śmiertelnie przelękniony Tomek.

— Co wiés! Ja poznam prawde!

I nóż lekko przycisnął.

— Prawdziwyś kramarz?

— Nie — szepnął trzęsąc się Tomek.

— Wtoś jest? Ja prawde poznam!

— Sługa...

— Cyj?

Zawahał się Tomek, ale Sobek znowu nóż pocisnął.

— Pana ze Sieniawy.

— Widzis? — zwrócił się Sobek do Maryny. — Co wiés?

— Ja sługa, mnie kazali...

— Dobrze. Gadaj sytko, co wiés?

— Siostrę waszą pan mój porwać każe...

— Dobrze. Co więcy?

— Wraz z wojewodzianką Herburtówną, która u was jest...

— Wié o niéj?

— Wié.

— Skąd?

— Ja ją poznał.

— Po coś teraz drugi raz do nas prziseł?

Tomek zmilkł.

Sobek nóż pocisnął.

— Gadaj!

— Dwa tysiąca koni sieniawskich, niby na karanie chłopów za bunt, w lesie pod Obidową stoi.

— Dobrze. Na co?

— Napaść was.

— Cy jest sam pan? — zapytała Maryna.

— Pan w karczmie w Zaborni, z kilkudziesięciu ludźmi.

— Kie majom napaść?

— Jak doniosę, że dziewka i panna w domu.

— Dobrze. Co więcy? — spytał Sobek.

— Więcej nie wiem nic.

— Co pan Sieniawski fce z Marynom konać?

— Nie wiem. Com wiedział, tom rzekł. Ale mnie nie zdradźcie! Na palu bym zgnił.

— Pewnyś!

Po czym Sobek nóż, który na sercu Tomkowym trzymał, po rękojeść wbił, wyciągnął język z ust trupa, urżnął i spuściwszy z zabitego dolne odzienie, wetknął go trupowi w odkryty tył, jak dawny zwyczaj uczył, aby było o takiej rzeczy milczenie.

Następnie w sam koniec lochu z Maryną zabitego wepchnęli i ciężkimi kamieniami przywalili.

Siadł Sobek pod smrekiem i ciężko głowę zwiesił na piersi.

— Teraz jus po nas — począł mówić w strapieniu. — Na takom siéłe nié mas rady. Ani sie obronić, ani uciec, ani sie skryć. Uciecemé na Węgry, to nas i haństela za piéniądze dostanom. Uciecemé w góry, z polowacki zyć, to nas zima wyzenie. A dom spalom, bydło, owce zabierom, budynki powalajom, wyjndziemé na dziadów. Pote jakoz babke odejńść i onym samom jedne ostawić? Ja juz nie wiem rady nijakiéj... Na dwaścia ludzi, na dwa sta ludzi ciupagi by sie nasły teraz po wojnie, kie hłopy dobre jus w doma, ale na dwa tysiąca!... Zginie nase pokolenie Toporów Jasiców. bo pokiel ja zywy, ani tobie, ani Herburtównej on nie weźnie, ale pote co?...

— Trza zwołać jutro Toporów, Zelaznego, Leśnego, Od Muru — rzekła Maryna.

— No i co? Na co, hojby my zwołali? — odrzekł Sobek. — Coz poradzom? Trza by z dziesięci mil wkoło hłopów pozwołować, a i to by jesce nic nie płaciło ku teléj siéle. Dwa tysiące wojska! Hébaby Walilas z Łamiskałom z grobu powstali, cobyś obstał!

Dźwignął się spod smreka i w milczeniu ku domowi szli. Tam on do czarnej izby lec poszedł, bo jeszcze do rana daleko było; Maryna zaś do białej świetlicy, gdzie z Herburtówną sypiały.

— Tyś to, Marynko? — zapytała budząc się Herburtówna.

— Ja.

— Wychodziłaś? Gdzieś była?

— Niescęście — rzekła Maryna siadając na pościeli. — Ten kramarz, co haw béł, to béł przebrany pana Sieniawskiego służący; pana Sieniawskiego dwa tysiąca zołmirzów kielka mil stąd, pod Obidowem w lesie, on sam w karcymie w Zaborni, tobie i mnie porwać fcom.

— Wiedzą o mnie? — krzyknęła Herburtówna przerażona.

— Wiedzom. Ten służący cie poznał, kie cie tu kiejsi widział.

— Ten, co tu śpi?

— On tu nie śpi.

— Przecie go brat twój zatrzymał na noc?

— Nié mas go haw więcyl.

— Jak to? Poszedł? Do Sieniawskiego?

— On jus nie pudzie nika.

— Albo co?

— To nic... Trza radzić, co robić?

— Uciekać!

— Ba! Ka? Z gór cie niedługo zima w doline zezenie. A dóm... a babka...

— Ja ucieknę...

— E, to was łapiom. Dwa tysiąca ludzi!

— O Boże, Boże! — jęknęła Herburtówna w rozpaczy. — Lubo w klasztorze mnie ojciec zamurować za życia każe, lubo po niewoli żoną tego łotra zostać mi przyjdzie!... Wolę

śmierć niż jedno albo drugie! Równie mi straszna klasztorna cela wilgotna, włosiennica, dyscyplina i niewola, jak łoże tego pohańca, tego gnębiciela, straciciela mego Lwa!... Co robić?! Co robić?! Sierotam nieszczęsna... U was myślałam do końca życia pozostać, choćbyście mi kazali gnój spod krów waszych widłami wyrzucać i podłogi w izbach myć, a z ostatnią sługą jeść dali, ale i wam piorun nad głową wisi...

Poczęła płakać, a potem wśród łez opowiadać, jak ją ojciec, gdy pożar folwarku ugaszono i rabusiów odegnano, do Sącza do klasztoru na pokutę wywiózł, jak ją tam zakonnice dręczyły, jak ją morzyły głodem, budziły w nocy, rozbierały do naga i biły dyscyplinami, pokrzykując przy tym dziwnie, jak ją siekły językami, wypominając jej świat i urodę, jak poniewierały jej miłość i z jaką radością doniosły jej o skazaniu pana Kostki na pal, że już tego okrucieństwa znieść nie mogła.

— Myślałaś się na Kostkę naprawić — rzekła jej bezwstydnie przełożona — a tu ci jego samego na pal wprawią!...

A gdy to usłyszała, dziwna moc w jej członki wstąpiła, po prześcieradłach zsunęła się z piętra i uciekła.

A gdy od pana Kostki trupa na polu w nocy się oderwała, poczęła iść w tę stronę, w którą ostatnie jego spojrzenie padło, ku Tatrom, i szła, szła przez lasy, jagodami się żywiąc, obojętna na dzikiego zwierza, nie czując zimna ani upału, nieznużona, jakby ją te oczy za sobą wiodły, nie wiedząc po co idzie, ani dlaczego?... Szła nie wahając się, nie błądząc, nie zbaczając z drogi i dopiero gdy zawieja śnieżna ją napadła, poczęła błądzić i wreszcie skuliła się w kosodrzewinie, by zginąć.

I żałowała wówczas, że nie rzuciła się do tego ciemnego stawu, nad którym przechodziła, ażeby zasnąć w jego głębiach na wieki.

Ah! I teraz żałuje, żałuje, żałuje!...

Jęła ją Maryna gładzić po głowie, ona zaś lamentowała. „Z ciebie“ było ostatnie słowo pana Kostkowe, bo jej wzgarda wbiła weń pal. Gdyby mu była nie okazała wzgardy jako ojciec, jako księżna ciotka, jako wojewodzic Sieniawski, nie byłby on z bólem, rozpaczą i gniewem z zamku Herburtowskiego wypadł, nie byłby się w rebelię chłopską cisnął, nie byłoby się to nieodpłacone, straszne, okropne nieszczęście stało... Z niej to poszło... Ona mu miała rodzić dzieci, a urodziła mu śmierć.

— Pan Kostka hłopów ratować kciał — rzekła Maryna. W ciemnie nie ujrzała ona oczu Beaty, wznoszących się ku niej z pełnym niezrozumieniem.

I dalej lamentowała ona i tuliła się do Maryny, po rękach ją całując, za kolana chwytając, aby jej broniła wraz z bratem, aby jej ani w ręce Sieniawskiego na żonę, ani w ręce ojcowe na pokutę i karę nie wydawali. Obiecywała ich sowicie nagrodzić, gdy kiedyś po ojcu fortunę odziedziczy, i kuliła się pod silne Marynine ramiona.

Uchyliły się drzwi i Sobek spytał:

— Nie śpicie?

— Nie — odpowiedziała Maryna. — A ty, bracie?

— Mnie juz sen odbióg powiek, pokiela sie tak abo tak nie przewazy. Trza bedzie moze, jak Zeglcanom, całéj wsi z wójtem, przed pana swojego Krzistofa Cikowskiego tyrańtwem i brata jego Jarosa rotmistrza pomstom, na Węgry za Beskid — sytkim Toporom kany prec do światu sie wynosić. Pan Sieniawski, słysałek, ma sam więcyl wojska, jak nas tu gazdów ku kosie z trzidziestu wsi.

— Sześć tysięcy — szepnęła Herburtówna.

— A i to jak sie ujńść da — rzekł Sobek.

Chwilę milczeli, aż ozwała się Maryna głuchym, nieswoim, ale stanowczym głosem:

— Ostanom Topory na Hrubem.

— Ja pewnie, ale trup — rzekł Sobek z poważną, spokojną rezygnacją.

— Nié.

— Coz myślis, siestro? Zywego mie ani ku domowi. ani ku wam obu nie przekrocom.

— Legnijmé spać — rzekła Maryna. — Sen śmierzci brat, ale dobréj rady ociec.

Cofnął się Sobek do czarnej izby, a gdy się nazajutrz o świcie ocknął, Maryny nie było przy piecu, warzącej śniadanie jak co dzień. Czekał, a gdy się doczekać nie mógł, uchylił znowu drzwi od świetlicy i ujrzał Beatę samą na pościeli. Zbliżył się, stanął nad nią i począł szeptać:

— Ja by cie miał dać komu zabrać, kie jyno u nas siedzieć fces, kwiecie lelujowy?! Niedocekanie nicyje! Nie jestek ci ja wojewoda ani ksiąze zadne, myśleć o tobie ni mogem, ale cie zaden więcyl miłować nie zdole, ani miłować nie bedzie! Do twojéj wóle moja krew i zycie, ptasku z dolin! Kwiecie lelujowy!

Coś poderwało mu kolana, ukląkł przy łóżku, wtem obudziła się Herburtówna i ujrzawszy Sobka zawołała zdziwiona i przestraszona:

— Co to jest?! Co robicie, Sobku?!

— Sukałek Maryny, fciałek se paciorze odmówić — odpowiedział Sobek zmieszany, powstając.

— Nie ma Maryny?

— No nié ma...

•

Ona zaś, osiodławszy konia i kosę wziąwszy w rękę, jechała kłusem przez las ku Zaborni. Spieszyła się bardzo. Sieniaw-

ski bowiem niewątpliwie, nie mogąc się doczekać sługi, ruszy ku Tatrom. Temu trzeba było zapobiec.

Drogi nie znała, ale do Raby Wyżniej na przełaj dobiła, a stamtąd jej chłopi, jako ma jechać, powiedzieli.

Gdy się zbliżyła ku Zaborni, było już blisko południa. Jechała stępo, bo koń był już zmęczony i ona sama znużona wielce, porówno drogą długą jak i myślami.

Jechała naprzeciw niebezpieczeństwa, ażeby mu zastąpić, ażeby go nie puścić, by przyszło.

Nie wiedziała, co uczyni, chciała tylko wtargnięcie Sieniawskiego na Hrube zatrzymać.

Oddawała mu się w ręce; jako próg, którego przekroczyć nie potrafi, legnąć chciała u nóg jego. Co z nią będzie — nie mogła przeczuć.

Bogowie ją powołali — to czuła. Za pogrom Sobkowego hufca, za pal pana Kostki, za śmierć dziadka, za rabunek domu — wiedli ją ku Sieniawskiemu się mścić, lecz porówno z nienawiścią, jak i z miłością w sercu...

Dziedzilija, pani miłosna, nie wysłuchała jej modlitwy... Pani miłosna, we wieńcu mirtowym różami czerwonymi przeplecionym chodząca, błękitną przepaską pod piersiami przepięta, gołębiami otoczona, serce miała widne w boku, aby widać było, że nie masz w nim nic nieczystego, zemsty ani zdrady. W sercu Maryninym, jako żmije pośród lilij, pomieszane były uczucia. I kochała, i nienawidziła.

Trzymała się leśnych dróg, ażeby na gościńcach w oczy nie wpadać i kierowała podług widoku Babiej Góry, pod którą leżała Zabornia. Tu i ówdzie też ludzie spotkani, jak ma jechać, wskazali. Tłumaczyła się Janosika Nędzy Litmanowskiego siostrą i że do Bajusa z Leszczyn, herszta, który miał żółte wąsy i panów Trojanowskiego, Bobrownickiego i Bylinę zabił, w poselstwie od brata wyprawiona, a takie

przedstawienie się wystarczało. Nie podniósł na nią nikt zuchwale oczu — chyba poza plecami parobcy łakomo na jej krasę spoglądali.

Dojechała po południu i straży przed karczmą do pana się z interesem od Tomka opowiedziała.

Pod ten czas Sieniawski w izbie przywiezionymi ze sobą kobiercami wybitej siedział i wiersze pisał. Czuł się samotnym, opuszczonym i serce miał przepełnione tęsknotą i żałością. Gdy pachołek zapukał, dźwignął głowę zaledwie, lecz gdy się dowiedział, że dziewka z kosą na koniu przed karczmą stoi, rzucił pióro, porwał się od stołu i wypadł na dziedziniec.

Tam zdumiał się niepomiernie, ale to zdumienie krótko trwało. Poskoczył ku Marynie i wrzasnął, podobnie jak w czorsztyńskim zamku:

— Tyś?!

— Ja — odpowiedziała Maryna z konia.

Dokoła stali dragoni, kilkunastu ludzi, którzy świadkami byli wstydu, jakim go Maryna w Czorsztynie okryła. Wściekłość Sieniawskiego ogarnęła. Jakby ogniem zapalony i przez ogień myślący, krzyknął:

— Bierz ją!

Dragoni zdarli Marynę z konia, nim kosą śmignąć mogła.

— Zwlecz! — krzyknął Sieniawski.

Z ramion Maryny ściągnięto kożuszek.

— Do naga!

Nie broniła się. Kilkanaście silnych rąk obezwładniło ją; zerwano z niej zapaskę i spódnicę, wreszcie koszulę. Włosy z rozplecionego warkocza sypnęły jej się na ramiona.

Nie krzyczała. Blada strasznie, patrzała w oczy Sieniawskiemu, nic ludzkiego w spojrzeniu nie mając.

Wysokie, proste jej góralskie ramiona nie drżały w rękach żołnierzy. Stanęła naga, jak jodłowe drzewo, smukłe, gibkie i mocne.

Żołnierze Sieniawskiego, do wszystkiego przyzwyczajeni, spoglądali jednak po sobie. On zaś w bok się, jako miał zwyczaj, wsparł i sapiąc z pasji w Marynę patrzał.

Maryna nie wiedziała, co z nią pocznie — czy nie rzuci jej na pastwę dragonom? Więc niebieskie jej oczy, jak kończyste noże z błękitnej stali, usiłowały przeszyć Sieniawskiego aż do serca. Śmiertelna zgroza ją owładła.

Jako broń pozostały jej tylko zęby i dusza w oczach.

Sieniawski stał i patrzał na nią.

Widywał on w podróżach swoich po Włoszech marmurowe posągi nagich bogiń starożytnych — bogini łowów, Diana, co z oszczepem jelenia goniła, taką być musiała.

Przepyszna moc zwierała się w ciele Maryny z przepyszną żeńską ponętą. I nagle poczęły Sieniawskiemu usta drgać, broda i szczęki wyciągnęły mu się naprzód, szyja wydłużyła z bark jak u polującego sokoła, i niespodzianie, jakby większą niż wszystko inne siłą pchnięty, skoczył ku niej, w pół objął ręką i — precz! — krzyknąwszy dragonom, nagą po stopniach kamiennych do karczmy wewlókł. Tam, oczy zamknąwszy, aby jej oczu nie widzieć, w objęcia ją chwycił. Ona zaś potęgę Dziedzilii, pani miłosnej, poznając czuła, że progiem między Toporami a Sieniawskim legła.

Długo milczeli, aż Sieniawski szepnął:

— Kochałaś mnie?

— Kohałak — odpowiedziała Maryna.

— Czemuś mi była oporna?

— Ja nie róza leśna, co się tardze, powonio i praśnie!

— Kochasz mnie jeszcze?

— A tyś co zrobiéł?

— Com chciał!

Sieniawski uczuł, jak ręce Maryny związały mu się za krzyżem i ugięły mu krzyż.

— Tomek cię posłał?

— Haj. Jo go nasła konającego w lesie.

— Co się stało?

— Niedźwiedzica go przysiadła.

— Herburtówna jest u was?

— Ja by tobie i jom zabiéła — rzekła Maryna.

— Kochasz mnie jeszcze?

Maryna nie odpowiedziała, tylko dłonią poszukała, gdzie było bijące wojewodzica serce.

●

Tymczasem zwycięstwo pod Beresteczkiem zgniotło do cna chłopskie bunty. Wieści o szerokich pogromach chłopskich, karach i zemście szlacheckiej dochodziły coraz gęstsze i straszniejsze, a Sulnicki, wściekły na Sieniawskiego, że go w Zaborni w pustkowiu trzymał, sam hulał i żołnierzom hulać pozwolił. Rozpoczęły się pożary, gwałty, mordy, łupięstwa; co noc płonęły domy w wielu miejscach, łunę olbrzymią na niebo rzucając. Łunami pozdrawiali się wzajem comes Lanckoroński, później od chłopów zabity, rotmistrz Cikowski i Sulnicki sieniawczyk.

W jedną taką czerwoną noc obudził się Krzyś i rzekł do swojej żony Byrki:

— Byrka, jak tak dalej pudzie, to ono wej i do nas przydzie.

— O bo przydzie! — potwierdziła Byrka z zajadłym babskim pesymizmem.

— Jak sie nie przeonacy na inacy, to bedzie źle.

— O bo bedzie!

— Ratować sie trza.

— No trza!

— Rence jest, jyno głowy nié mas — rzekł Krzyś.

— To tys to...

— Sobek Toporów béł hłop!

— No, no...

— Ale go zradziéło pod miastem, ludzie doń wiare stracili. I cosi mu chybia. Jo go widział pozawcorem. Jakisi taki łazi jak zdechły. Jesce sie to Maryńsko kajsi podziało...

— I konia wziena pono?

— No.

— No to sie Sobkowi nié ma cego cudować. Dyj to skoda wieldzaźna — koń.

— Sobek nié. Ale ja hłopa wiem.

— Wtoze taki?

— Litmanowskiego Janosik, od Nędze.

— Tén harnaś?

— Tén. To sęk! Jak ten nas nie zratuje, to niwto iny. Kie tén cupnie nogom, to mu siedem sto diasków spod kyrpca wyskocy! To oreł! Jo ide ku niemu.

— Je dy idź — rzekła Byrka, niewiele ponad garnek i kidanie spod krowy rozumiejąca.

Zebrał się Krzyś, zimnej kapusty z wczorajsza na śniadanie zjadł, bo o ile w ogóle jeść lubił, o tyle u siebie szczędził i nie dostawał; kawałek placka owsianego i spyrki do szmatki na drogę zawinął i ruszył pod Kopę, na polany i osiedla Zakopane, do Nędzów. Żadnej karczmy nie minął i w każdej się napił, ale w miarę, aby trzeźwo do Janosika zajść. Tego się obawiał, że go w domu nie zastanie, jakże się jednak zdziwił, gdy pod chałupą Nędzową ogromną gromadę bab, chłopów i dzieci ujrzał.

— Je coz to? — pomyślał sobie. — Cy wto umar, cy co?

Wszyscy mówili do siebie szeptem, a gdy Krzyś gwarę podniósł, aby się zapytać, co się stało, dano mu znaki, aby milczał.

— Śpi! Śpi!

— Wto? — zapytał Krzyś.

— Janosik.

— Janosik? W doma je?

— W doma. Ale śpi.

— Cy je chory?

— Nié, ale śpi.

— A po co sie was haw zgichła tela zmudź, jak na odpust?

— My ku Janosikowi prziśli.

Przepchał się Krzyś przez ciżbę ku izbie, gdzie przed progiem oboje starzy Nędzowie i dwie stryjeczne siostry Janosika, Jadwiga i Krystka, stały, obok zaś na ławie stary Sablik siedział i po strunach gęślików palcem cicho dzwonił. Kobieta jakaś stara matkę Janosikową po twarzy gładząc pytała właśnie:

— Rusy sie?

A Nędzowa odpowiedziała z wyniosłą dumą:

— On sie rusy.

W tej chwili otwarły się drzwi i z sieni domu wyszedł Janosik Nędza, w koszuli tylko i w portkach, boso, i odgarniając włosy z czoła powiódł po obecnych pytającym, sennym jeszcze wzrokiem. Najbliżsi zaś chłopi, baby, dzieci do nóg mu padli z krzykiem i jękiem:

— Ratujcie nas!

— Prze co? — zapytał Janosik spokojnie.

— Prze gwałt, prze ozbójstwo, prze ogień, prze katostwo!

I kobiety pod nogi Janosika pochwyciły wołając:

— Co mamé, to wam damé! Ja płótna! Ja krowe! Ja miodu!

— Ja dziéwke! — krzyknęła jakaś baba, śliczną szesnastoletnią córkę za rękę dzierżąc. — Nietykana, hetmanie zbójecki!

Tłum ludu otoczył Janosika, on zaś dłonie położył na głowach dwóch kobiet, co u nóg mu klęczały szlochając, i rzekł:

— Kie ja od Zelaznyk Bram na Dunaju z rabunku bez Zelazne Wrota w Tatrak do Polski seł, widział ja cyrwonom od ognia noc. Cy to bez to?

— Bez to! Bez to! — krzyknęli ludzie.

— Ślaheckim ramieniem Panbóg kara! Ze my wolności fcieli.

— Za reberyjom!

— O kara, kara! Gorzy Tatarów ślakta broi! Palom, ścinajom, wiesajom!

— Całe wsi uciekajom!

— Całe wsi spalone!

— Bydło, ludzie, majontek, syćko ginie!

— Ratuj nas! Ratuj!

— My tu ku tobie, hetmanie zbójecki, jak ku archaniołowi Mijałowi przilecieli!

— Pod skrzidła twoje!

— Słońcem jeś bél nad nami, bydź jako miec!

— Broń nas od panów!

— Świenty Stanisław Kostka syćkie łzy swojego świentego potunka we worcek pozbiérał i Panu Bogu na stół zaniós!...

— No, no!...

— Krew sie nasa leje! Nik godziny nie pewny!

— Od ognia, głodu, wojny, nagłej niespodziéwanej śmierzci i pańskiego karania zahowaj nas Panie!

— Od pańskiéj rency ratuj nas Panie!

— Pan Lanckoroński jako Lucyper z piekła wyseł!

— A rotmistrz Cikowski jako Jancykryst!

— Mór, powódź i posuha nic proci panów nie stojom!

— Gorsa własna ślakta od Tatarów!

— Uciec nam na kraj świata, abo wyginonć u proga hałup!

Rozległ się powszechny jęk i płacz bab, chłopi ze zwieszonymi głowami w milczeniu rozpacznym stanęli, śliczne zaś siedemnastoletnie dziewczę wyrwało się z matczynej ręki, skoczyło ku Janosikowi i zawisnąwszy mu na szyi jęło go całować po licu, piszcząc:

— Hetmanie zbójecki! Ratuj dziedziny naskie!

Odsunął Janosik Nędza poważnie dziewczyninę i ozwał się w te słowa:

— Kie mie matka, bedzie temu ze sesć roków, w Carny Dónajec do spowiedzi wyganiała, gwarzyli mi ludzie drógom, ze hań straśnie zły ksiądz i ze bije. Taki duk prziseł do mnie, ani zły, ani dobry. Méśle se, ze jak mie bedzie bił w kościele, to jak tobie wolno, to i mnie.

— No, no, zawdy tak trza — rzekł stary Nędza przytakując głową.

— No to jak panom wolno bić hłopów, to i hłopom panów — skończył Janosik.

— To to wej! — zawołał z tłumu Krzyś z zachwytem. — Terazeście wej, Janosiku, dobrze pedzieli! Wy macie głowe!

— Haj — rzekł stary Nędza do syna. — Trza, cobyś sie ruséł.

— On sie rusy — odpowiedziała matka Janosika z wyniosłym spokojem.

— Mozecie iść du domu — rzekł Janosik. — A wto ma wolom z hłopów, nieg zbrój z domu zabiere i tu przidzie na dziś na wiecór.

Do rąk, do nóg cisnęli się hetmanowi zbójeckiemu ludzie, że się ognać nie mógł; całowali go po twarzy, po ramionach,

głaskali po włosach. Śliczne zaś siedemnastoletnie dziewczę stanęło przed nim, sięgając dłonią pod szyję, jakby zawiązkę od koszuli rozpleść gotowe, i zapytało:

— Fcecie mnie? Zarusięki?

Ale on się uśmiechnął do niej łagodnie i łaskawie jak do dziecka i rzekł:

— Nie ku orłowiś ty, ba jacy ku pawowi. Bydź zdrowa!

Dziewczę popatrzało nań chwilę i rozpłakało się.

— Du domu! Du domu! Posprząccie sie tustela — rozpędzał ludzi stary Nędza. Błogosławiąc, we łzach jeszcze i już w radości odchodzili.

Pozostał tylko stary Sablik i Krzyś.

Wtem Janosik włożył dwa palce w usta i gwizdnął przeraźliwie, aż powietrze zadrgało.

— Je kiz to sto dziadów?! — zawołał przerażony Krzyś.

— He, he, he — zaśmiał się stary Sablik i oparłszy gęśle o żebro zgrzypnął po nich krótkim, kabłąkowatym smykiem.

Krzysiowi w uszach dzwoniło, że ani nie słyszał Sablikowego grania. A myślał: Co to bedzie? Na co to takie gwiźnięcie, że od niego aż w pępku zadrga.

Niedługo z lasu, skąd dym snadź nad chałupą widać było, wynurzył się wysoki chłop i zbliżać ku Nędzowemu domostwu począł.

— Jus idzie jeden — rzekł Sablik.

— Ę — rzekł Krzyś, który już wiedział.

Przyszedł potem drugi towarzysz Janosikowy i trzeci. Snadź od domowej roboty szli; na jednego odzieniu trzaski poczepiane były.

— Nieobdalno mieskajom — objaśnił Sablik Krzysia.

— Je dy tén i diabła w piekle obudzi, kie gwiźnie! — rzekł Krzyś z zachwytem i począł podziwiać Janosikowych towa-

rzyszy, pięknych, wysokich i potężnych, co gdy „staneni do prostej leniji, to jaze pachło!" Jak buki na wiosnę.

— He, ci narobiom mątu — szepnął do Sablika.

Sablik zaś pokiwał głową i zgrzypiał dalej na gęsiołkach.

— Hej, krzesny ojce — ozwał się Janosik Nędza — zagrajcie o zbójnikowi, o tym jakimsi Janosikowi, co przede mnom bywał, nute, bo sie mi wte dobrze myśli.

Przykręcił Sablik kołki, posmarował smyczek smołą z kieszeni od serdaka dobytą i począł zaraz z polska, z orawska śpiewać i na gęślach sobie nisko wspartych wtórować, stryjeczne zaś siostry Janosika, Krystka i Jadwigą, w głos za nim poszły. Słuchał Krzyś pieśni zbójnickiej, której nie znał jeszcze, i cudował się jej piękności. Oni, patrząc na Janosika, który na ławce pod jaworem siadł, ręce w przypory od portek założył i bose nogi szeroko rozstawione na trawę przed siebie wyciągnął, podczas gdy trzej towarzysze jego, za nim stojąc, na ciupagach się wsparli, śpiewali:

Pod Jaworkem, pod zelenym,
orze Hancia wołkem ciémnym.
Jesce skiby nie zorała,
matka na niom zawołała:
Hanciu, Hanciu, pójdź sem dómu,
wydajem cie, nie znom komu,
wydajem cie Janickowi
i hroznemu zbójnickowi!
We dnie idzie, w nocy przydzie,
on nigdy nic nie przyniesie,
lem sablićku okrwawionom
i kosulke uznojonom.
Jano, Jano, kajeś ty był,
coś se sablićku zakrwawił?
Wyrubałek tu jedlicku,
co stojała w okienecku.
We dnie, w nocy hurkotała,
mnie smutnemu spać nie dała.

Kazoł Hanci kosulke prać,
nie kazoł jej bardzo płukać.
Hancia prała i płukała,
prawom rąckę ś niej wyjena.
W tej rucyce pięć palusków,
a na małym złoty piestrzeń,
w tym piestrzonku troja wrótka —
dyć to mego brata rućka!...
Nikomu nic nie pedziała,
do matusie pobiezała.
Matko, matko, maci moja,
cy som bracia wszecy doma?
A nie syćka. A pre keho?
Pre Janicka nomłodsego.
Juz w Luptowie wyzwaniajom,
Janosika łapać majom.
Już w Luptowie wyzwonili,
Janosika ułapili.
Ułapili, juz go wiedom,
trzy dziéwcatka za nim idom.
Jednej Hancia, drugiej Marcia,
trzeciej malowana Tercia.
Hancia płace, Marcia kwili,
Tercia sie mu trzymie syji.
Nie płac Terciu, serce moje,
co ty widzis, wszecko twoje!
Nic nie widzem, te horićku,
te niescęsne siubienicku!
Kieby jo bél dawno wiedział,
ze jo budziem na niej wisiał,
dałbyk jo jom odmalować,
śrybłem, złotem wyobijać.
Ode spodu talorkami,
a od wiérhu dukotami,
a na wiérhu złotu kawku,
gdzie połozem swoje hławku...

Krzyś z szeroko otwartymi oczyma, z półuśmiechniętą, rozchyloną gębą, wpatrzony w Sablika i w dziewczęta, w niemym

zachwycie słuchał pieśni zza Tatr skądś przyniesionej, łowiąc każde słowo, łowiąc melodię, aby nic nie uronić i wszystko w głębokim uwielbieniu zapamiętać. Janosik zaś Nędza pozierał przed siebie w mgły, snadź kędyś daleko myślą będąc. A gdy ustali śpiewać, ozwał się półgłosem, jak gdyby obrazem kończył myśl swoją:

Kiedy hłopcy z dołu na Orawu prziśli,
zdumiała Orawa i Orawscy wsyscy! —

po czym rzekł do trzech swych towarzyszy:

— Lecie po dobryk hłopak, co blizy. A naprędzej do tyk, co sie ku mnie wprasali, powiécie im, ze im teraz nie odpowiem, ba ik wdzięcnie przijmiem. Wto fce sie mścić, niek idzie, a wto fce rabować, niek idzie tys. Na dziś wiecór niek tu bedom. A ja zatela idem spać.

Podniósł swą wspaniałą siłę i poszedł do domu legnąć na wygodnej pościeli, za nim zaś poszli ojciec i matka, co trzeba było, przygotować.

Trzej chłopi po krótkim porozumieniu ruszyli każdy w innym kierunku.

Krzyś przysunął się ku Sablikowi i spytał:

— Je kaście tys takom pieśń słiseli?

— Ja to słysał — odparł Sablik — daleko we świecie, na Spiszu, u jednego leśnickiego, co my u niego na polowaniu béli, Jarząbek ze Zycańskiego, stryk Jaśków Wawrzek Nędza nieboscyk, a i Jasiek béł, takie jesce hłopcysko, nie béło mu osiemnaście roków. Ci hań w takik lasak siedzom, co moze trzi dni na syćkie strony iść, zacym z lasa wyjńdzie. To jest lasy grafów Palfik, Erdedyk, panów Maryasik, a i biskupie. Do tyk hań nie dojdzie nijaka wieść. O wojnie sie dowiedzom, kie sie juz skońcy, o morowém powietrzu, kie sie kajsi w morzu utopi. Miał hań ten leśnicki trzi córki; jednej béło Irma, miała jasne włosy jak len, drugiej We-

ronka, miała carne warkoce mieniące, trzecia béła młodsa, Juczi, Ulka po nasemu, i brat béł, hłopiec, Andryś, co na harmoniji grał. Ony ten pieśń śpiéwały. Haniok ciho, jacy jyno potok pod dom sumi i drzewa nad nim. Do nieba jyno ponad wiérhowce widno, ferecyna w pas, a pustki co straf. Dziéwki płótno przędom i śpiewajom, pieśń po pieśni. Zamnozyło sie hań dzikik świń i ryły po polak, bo ik béło tysiące, i odkazał po nas stary grof Palfi, ze my strzelcy. I poleciał s nami Jasiek, bo to béło ciekawe.

— Ładne béły dziéwki? — zapytał Krzyś zainteresowany.

— Do cudu!

— Jakoz sie hań ta leśniarka nazywała?

— Sełbyś hań? Rabsik. Oni to nazywajom Hagi. My hań krótko béli, jyno jedne noc, bo my haństela daléj pośli, ku Batyzowcom. Jasiek nieraz rabsickie dziéwki wspomina. Kotwi sie mu jesce dziś za nimi.

— Je cemuz hań nie pudzie?

— Zbójnikowi nie rzec tak hodzić. On sie zawdy warować musi. O Jaśkowi po Węgrak bębnowali i na jego głowe dwa tysiąca talarów naznacono.

— Ej wiera! Ale takom pieśń w złoto oprawić!

— W złoto. Kie Janosik co namyśluje, jako ka zrobić ma, to mu jom wse śpiéwać musem. — A i té dziéwki sie poznaucowały.

— He, nié mas to jako przi staréj pieśni medétować — powiedział Krzyś z naciskiem. — Ja sam, kie mam co do myślenia, to se séjmiem skrzipce że ściany i gram. Byrka ta cosi ozore miele, co nic nie robiem, ale ja jéj ta jyno telo zeźwiéńce:

Stara baba, hłop młody,
wjehał na niéj do wody,
nie fciała mu wody pić —

— Ej hłopce! — wykrzyknęła jedna stryjeczna siostra Janosika, Jadwiga, do drugiej, Krystki, gdy Krzyś swawolny ostatni czwarty wiersz zwrotki dokończył.

— Ja tak uwazujem — rzekł Sablik — ze nié mas nad muzyke i pieśń. W niéj sie zmieści cała dusa człowieka. A i tyk gór bez tydzień nie obéjńdzies, a do jednego pomyślenia ig syćkie wrazis i na strunak ci w jednym razie brzęknom, jak kiebyś na gwiazdy poźrał.

— Haj — potwierdził Krzyś.

— Ja nieraz i dwa tyźnia sam po górak po polowace hodziéł, ale mnie sie nie cło. Gęślikik jek zawdy miéwał w rękawie w cusce, to jek postrzelonemu niedźwiedziowi i przigrał, coby mu béło wesoło umiérać.

— Ej ha! — zawołał Krzyś.

— A sobiek grał po dolinak w nocy, przi watrze, pod Krziwaniem, w Hlińskiej Dolinie, pod Hrubym Wiérhe, w Hlinéj za Wołowcem, w Miegusowskiej, ka padło. Turnie béły koło mnie i las. Ja béł hań sam jedyniec, a drugi béł on.

— Niedźwiedź — rzekł Krzyś z przejęciem.

— Niedźwiedź. My sie hań sukali, ale kie my sie ześli, to las grzmiał.

Wyciągnęła się sępia twarz starego Sablika, brząknął smykiem po gęślach, usta wąskowargie mu zadrgały i siwe, przymglone źrenice w bezmierz pobiegły.

— A luptoskik strzelców kieloście hań w skalak z kulkom w piersiak ostawili? — zapytał Krzyś.

Sablik ruszył tylko głową:

— E dy ig idź porahuj — mruknął.

— Po co zastempowali? — rzekł po chwili, nie przestając grać.

Krzyś zaś rzekł:

— Teraz ja jus na miejscu. Kie sie Janosik Litmanowski

rusy, to amen. Lecem ja ku Sobkowi, ku Toporom, ku Mardułom, ku Mrowcom na Olcom, trza odesłać na Białke, na Groń.

— Jest hłopy i na Bukowinie — wtrącił Sablik.

— Hań naród postrahany, to we wiérhu, wiater. Hłop kie do pola wyjńdzie, to mu kazdy włos osobicie stoi, a na kazdym włosie wes siedzi.

— Ej hłopce! — zawołała siostra stryjeczna Janosika, Krystka, do Jadwigi.

— Ścignonby ja jyno oblecieć i odkazać z kielka hłopami od nas, to w nocy haw bedom. Boby sie niejeden pomścić kciał za Nowy Targ. Zgichnie sie haw litwa! Jak jaskółek w jesieni na wiezom w Saflarak przi kościele. Przidom Topory, Mardułowie, Ustupscy, he, ci im hań zaśpiéwajom:

W rzyci widły, w rzyci widły, a na końcu gwóźdź,
pojdze ku mnie, pojdze ku mnie, bedziemé sie bóść!

— He, he, he — przyśmiał się Sablik lekko.

— No, ostańcie z Pane Boge na témcase — mówił Krzyś powstając z ławy. — Przyde i ja. Jyno se skrzipce z hałupy weznem. Bedem wam pomagał Janosikowi grać, kie legnie.

— A babsko? — zapytał Sablik.

— Byrka? Moja Byrka nie zginie!

Starej babie w potoku
lezał diaboł przi boku...

— Ej hłopce! — wykrzyknęły do siebie obie siostry stryjeczne Janosika, Jadwiga i Krystka, parskając śmiechem.

Ale z sieni wychyliła się matka Janosikowa i psyknęła:

— Ciho bydźcie, dziéwcęta! Janosik śpi!

•

On jednak nie spał. Leżał na pościeli twarzą ku powale i w sosrąb ryzowany patrzał. Już to ośm lat uszło, jak w Rab-

siku był, Irmę, Weronkę i Juczi śpiewające i Andrysia grającego na harmonii słyszał. Przyszli rano przed świtem do leśniczówki, strasznymi lasami idąc, on i ci strzelcy nad strzelce, chrzestny ojciec Sablik, stryk Nędza i Jasiek Jarząbek ze Zywcańskiego. Wiódł ich posłaniec grafa Palffy'ego. Spali w kolébie w lesie, przyszli jeszcze w mrok. Mgły były. Żona leśniczego śniadanie im zastawiła, a we mgle koło domu, po rosie, przesuwały się koło stajni krowiej i koło gospodarstwa dziewki, jak widma. Twarzy uznać niesposób było, nic, tylko znać było, że dziewczęta. Wszystko się wydawało jak ze mgły — dom, stajnia, chlew, ludzie, psy gończe powiązane. Drobny deszczyk mżył, grube krople kapały z dachu powoli i rzadko; co się uzbierało na goncie.

Dała im leśniczowa wódki borowiczki po pucharku i chleba z paprykowaną węgierską słoniną po okrutnym kęsie. Stryk Wawrzek Nędza, któremu nos złamał niedźwiedź, i Jasiek Jarząbek, jego przyjaciel, któremu nos złamała Kunda Harendzka, trąciwszy go weń ramieniem przy zwyrcie w tańcu, po tym śniadaniu zaczęli mówić. Nie rozumiał ich nikt, ale oni siebie rozumieli. Choć nawet głusi trochę obaj byli: stryk od obucha, którym go za młodu Kula Wałowy przy Marcinowej Bronci uderzył, Jarząbek od drzewa, co się na niego przy rąbaniu zwaliło. Brzęczeli na gębach jak na drumli; tyle tylko można było rozumieć, jak stryk Wawrzek mówił: bestyjka! — a Jarząbek: na to mówiący — bo takie porzékadła mieli.

Dziewki bujne, wysokie, tęgie we mgle się ukazywały, w dziedzińcu, na wilgotnej rosie, co kroki głuszyła.

Poszli z leśniczym. Cały dzień do wieczora polowali, z obławą się zeszedłszy. Padło dziewięć dzików, trzy wilki, ryś, cztery jelenie i łoś, nie licząc sarn, lisów i zajęcy; dwa niedźwiedzie postrzelane poszły. Jednego strzelca Niemca spruł



na śmierć odyniec; dwóch ludzi z gońców poszarpał niedźwiedź, z tych jeden zaraz zmarł.

Wrócili wieczorem do leśniczówki, aby przenocować i dalej się nazajutrz posunąć.

Sutą wieczerzę z pańskiego skarbu zastawiła leśniczowa. Było wino tokajskie i miód koszycki, placki z pszenicznej mąki, i gulasz okraszony, i paprykarz pieprzny; bogata ziemia węgierska, mlekiem i miodem płynąca, o której na skalnym, zimnym Podhalu śnił lud jak o raju...

Wypogodził się ku wieczorowi las; gwiazdy na wietku miesiąca niebo czarne zasłały. Las się nimi zarosił, jakoby kwitł. Tysiące gwiazd na wierchowcach i konarach świeciło.

Po wieczerzy Sablik jął grać na gęślikach, a stryk Wawrzek i Jarząbek grzali nogi, stanąwszy naprzeciw siebie i cyfrując po góralsku dostojnie i pięknie, jak na tak sławnych i wielkich myśliwych przystało; potem Andryś grał czardasza na harmonii, a tańczył go stary Sablik z leśniczową, ku podziwowi obecnych tym większemu, że był Polak, i w kyrpcach, nie w butach. Gdy skończył, zabrzęczał Jarząbek do Jaśka, jak na drumli:

— Zatońc ze se i ty hłopce, na to mówiący.

Więc krzesny ojciec Sablik przykręcił kołki i zazgrzypiał, a Andryś grał sekundę. Zodział Janosik czuchę, zrucił serdak i pas i wyszedł na pośród izby w koszuli tylko i w portkach. Pojrzał we drzwi od sąsiedniej izby: obie dziewki tam stanęły, co je we mgle rano na pół widne widział. Jedna miała jasne włosy jak len i niebieskie oczy; druga czarne włosy mieniące i oczy szafirowe jak niebo.

Serce w nim zadrgało. Popatrzał ku tej drugiej i zaśpiewał przed Sablikowymi gęślami:

Nie smuć ze sie, dziéwce, kie jo sie nie smuce,
cały świat obejńde, ku tobie sie wróce!

Tak głosem oczom dziewczyny odpowiedział.

Ale już nie wrócił więcej.

Tańczył nieźle, bo stryk Wawrzek nierad chwalił i młodzież miał za nic, a „e bestyjka!“ ze dwa razy powiedział.

A gdy zgrzany, obhajdukowawszy trzydzieści razy izbę dokoła i wykrzesawszy całego drobnego, do pola dla ochłodzenia się wyszedł, po niewielu krokach dziewczynę czarnowłosą spotkał.

— Piękny taniec — rzekła.

— Wyście piékniejsi — on powiedział.

— Jutro pójdziecie dalej?

— Jutro.

Westchnęła dziewczyna, a on ją wpół ujął i szepnął:

— We was świat!...

Rozejść się trzeba było. Potem dziewczęta zawołała matka do izby. Wzięły się, jak zwykle, do przędzenia płótna i za matką poczęły śpiewać gościom, a Andryś grał na harmonii. Długo w noc słuchali myśliwcy w wielkiej mrocznej izbie, kagańcem smolnym oświeconej, posiadłszy na ławach koło ścian, poopierawszy głowę na rękach, pieśni o młodzieńcu, co się pytał matki:

pani matko, gdze je wasza cera,
priszoł som ju nadszciwić?

A gdy się dowiedział, że umarła, leży w szczerym polu w hroboweńku, poszedł nad grób i wołał:

Wstan Naninka z teho hroboweńka,
a podaj mi rucziczku —
tri roczki minuli, jak som cie nie widzal,
chcę sa z tobą pocieszyć...

A gdy nie wstała, gdy mu powiedziała „wec som całkom zemdlena“, oczy ziemia zasypała i usta, tak się żalił:

Ked ja swu Naninku ne dostanem,
pójdzem ja na skału, skłoniem hławu,
na skału wisoku, prevelmi siroku,
skłoniem swu hławiczku, spadniem dołu.
Mnia szesmi młodzieńce niesti budu,
fakoły woskowe horec budu,
a twe siwe ocka płakać budu...

I śpiewały z uśmiechem:

Pokel ja som bola mala,
maminka me kolimbala,
hoho, hoho, hoja, hoja,
hołubinko, duszo moja!
Ale ked ja som uż duża,
hlejdate mi matko muża,
hoho, hoho, hoja, hoja,
hołubinko, duszo moja!...

I o tych wędrownikach, co śpiewali:

Kec powandrujeme, cóż my pic budzeme?
Wineczko z Tokaju, wodziczku z Dunaju...

I śpiewały smutną, tęskną pieśń niewoli węgierskiej:

Hej Krywaniu, Krywaniu, Krywaniu!...

I o tym śuhaju, co był taki wspaniały, że ku niemu

musiałaby krasna holka osiem razy krasna być!...

I wreszcie zaśpiewały:

Pod joworkem, pod zelenym,
orze Hancia wołkem ciémnym,
jesce skiby nie zorała,
matka na niom zawołała:
Hanciu, Hanciu, pójdź sem dómu,
wydajem cie, nie znam komu.
Wydajem cie Janickowi
i hroznemu zbójnickowi...

Za pieśnią szła pieśń, aż potężnych myśliwców sen morzyć począł i wsparte na rękach głowy kiwać im się jęły. Wów-

czas spać ich na szopę do siana wyprowadzono. Ale z czarnowłosą Weronką ścignął Jasiek słowo zamienić.

Więc gdy posnęli wszyscy, zesunął się z szopy, a ona już u studni czekała. Poszli w chojnik, gwiazdami nabijany. Nie broniła mu ani ust, ani siebie.

Tylko pytała:

— Wrócisz się?

A on jej odpowiedział:

— Wrócem.

Ona mu mówiła:

— Takiś mi, jak ten las...

A on jej mówił:

— Bierem s tobie miód, jako pscoła z bezu...

Noc była jeszcze, kiedy się rozstali, świtu nie było, kiedy leśniczy na rogu na psy zagrał. Znów im dano po pucharku borowiczki i po kęsie okrutnym chleba z paprykowaną słoniną. Ale Jasiek nie jadł, tylko do torby chleb ze słoniną wraził i odchodząc zaśpiewał:

Nie smuć ze sie dziéwce, kie jo sie nie smuce,
cały świat obejńde, ku tobie sie wrócel...

Lecz już w parę tygodni później zawiódł go ojciec na Pająkówkę, ku Krzisztofowi Pająku, zbójeckiemu sławnemu harnasiowi, bo taką karierę uradzili ze strykiem i chrzestnym ojcem dla niego, a matka dokwalowała. Pająk go spróbował na jedno i na drugie, na siłę, na bieg, na skoki, na rzucanie ciupagą i cięcie konarów w powietrzu od rzutu i na odwagę i zaprzysiągłszy przed odwiedzionym pistoletem do bandy przyjął, a gdy w rok później nieszczęśliwie powiesili Pająka w Mikułaszu na Liptowie, już Janosik Nędza sławnym był zbójnikiem i nagrodę za jego głowę obiecowano.

Kochanek miał, ile chciał i gdzieby był chciał; ale on się dziewek warował trochę, bo zdrada przy tym.

A onej Weronki z Rabsiku zapomnieć nie mógł.

Zali była dalej u ojców w lesie, zali się wydała za mąż i gazduje gdzie na jakiej leśniarce albo na gazdostwie rolnym? Zali żyje? Zali umarła? Zali piękna taka do cudowności, jako była?

Nieraz się o niej Janosik Nędza zamyślił, bo mu jej nikt nigdy nie zastąpił, a urok kobiet był mu ku urokowi Weronki, jako kwiatów w ogrodzie ku róży ciemnej.

I często mu Sablik spiskie pieśni grać i śpiewać musiał i ponauczali się ich jego towarzysze od Sablika, i jego siostry stryjeczne, i mały czeladniczek, a nawet matka często nuciła przy tkackim warsztacie, kądzieli albo podczas rafania lnu. I kiedy Janosik co zamyślał, medytował nad czym, kazał sobie tak śpiewać. Przy pieśniach Weronki z lasów spiskich namyślawszy, siał postrach po dolinach od Liptowa, przez Cisę, aż po Bramy Żelazne u tureckiej granicy.

Nie tylko strach o głowę swoją Janosika Nędzę wstrzymywał od szukania Weronki. W nienawiści, odrazie i wzgardzie ku zbójnikowi Weronkę w pańskiej leśniarce chowano, jak jego wychowano we wzgardzie ku pańskim sługom i w dumnej wyniosłości. Nie dałaby się mu matka nawet żenić nie z gazdowską córką, ale z „dziadem", „spod pańskiego proga", „ze słuzkom".

I spotkać się obawiał — wolał pamiętać tę noc, te godzin parę i kazać sobie śpiewać pieśni, przy których plany wypraw zbójeckich, podobne do planów orła, układał.

●

Beata Herburtówna na Hrubem miejsce Maryny przy gospodarstwie zajęła. Ona rano wstawała warzyć śniadanie, ona białymi, delikatnymi rękami gotowała obiad i wieczerzę, a nawet do prania się wzięła.

Maryny nie szukano. Widno było, że zabrała konia i pojechała gdzieś własnowolnie, umyślnie. Mogła strachem nagłym opętana przed Sieniawskim gdzie uciec... Mogła mniemać, że w ten sposób nieszczęście odwróci... Nie było się już o co w razie napadu na Hrubem bić. Mogła przypuszczać, że prędzej czy później Herburt się o pobycie Beaty u nich dowie i zabrać ją przybędzie, a temu się sprzeciwiać nikt nie ośmieli ani powinien.

Ale w miarę jak coraz więcej i bliżej Sobek Topór Herburtównę przy sobie miewał, w duszy jego poczęły się niecić ognie i pożądania miłosne, a krew poczęła w nim kipić. Nie poważał się wprost, ale pochłaniał postać panny poza plecyma rozpalonymi oczami i w ustach czuł na jej widok suchość płomienistą. Wynajdywał tysiączne przyczyny, aby ciągle być przy niej, a męczył się, bo się niczym nie zdradzał. Sypiał on zawsze w izbie czarnej, a ona w białej, ale Sobek w nocy pod drzwiami jej siadywał, słuchał i klął dom tak budowany, że szpary między drzwiami a framugą nie było, a i zlegi od góry się dopasowały. Aż razu pewnego przyszła mu szatańska myśl do głowy: w powale dziurę wywiercić i tamtędy patrzeć.

Wziął świder wielki, gdy Beata w stajni przy krowach była, i na strych z nim wyszedł. Ale gdy ostrze do drzewa przyłożył nad łóżkiem Beaty, strach święty go przeniknął.

Onże miał wiertać dziurę, dziurawić dom za króla Olbrachta budowany, półtorasta lat stojący, w którym ojciec i pradziadowie jego, Topór Krzos, Topór Obuch Jasica, Topór Wysoki marli, w którym zmarł i budowniczy jego Walilas, brat Łamiskały, co Hrube wykarczowali, polanę wyrobili, w którym dziadka zabito, w którym się pokolenia rodziły — dom święty? Miał go psuć?!

I buk i smrek w lesie od jednego włókna psuć się zaczyna, nim scędrzeje do cna i zbutrzniały do znaku runie. I niedźwiedziowi poczyna próchnieć jeden ząb — wielki jest jeszcze i mocny, ale koniec się mu zaczął, chyli się, aż legnie. Ale to robi czas, a on by w domu swym, w domu ojców miał sam zacząć zniszczenie?

I cofnął przytknięty świder od drzewa powały.

Ale przyszła żądza. Ujrzy pannę w łoże idącą, ujrzy, jak wstawać będzie, jak się obmywać i bieliznę przewłóczyć będzie, ujrzy...

I przytknął świder do drzewa. Zdawało mu się, że dom zadrżał.

I znów stal odjął.

Święty strach, święta groza go ogarnęła. Obejrzał się wkoło. Zdawało mu się, że cienie stoją poza nim, że straszliwe ramię wyciąga ku niemu Walilas, co Hrube karczował, i Łamiskała, co polanę wyrobił, olbrzymy.

Ale nikogo nie było.

Znów przytknął świder — przycisnął, zakręcił.

I wiercić począł z całych sił, z wściekłością, potem oblany, dygocący z zimna.

Wiertał... Wiercił dziurę z pasją, z szaleństwem, z siłą dziesięciu ludzi, aż nie stało oporu. Wyciągnął stal, dmuchnął w trociny i ujrzał światło i pościel Beaty Herburtówny. Wówczas szybko zbiegł na dół zmieść podłogę i od tego czasu dni i noce przepędzał na strychu. Bo wyjść trzeba było i lec na powale, gdy nikt nie słyszał, a zejść także tak samo. Więc nieraz przeleżał tam od popołudnia aż do dnia białego nazajutrz.

Poczęli radzić krewni.

Maryna znikła, Sobek ścieńciwiał, aż do cienia stał się podobny, gospodarstwa zaniedbał, zdechniony łazi — jak tak

dalej pójdzie, przy telim majątku na dziada wyjdzie. Zaziuneno go cosi, jak gad ptaka ocami — a i cały dom po Jasicach...

Ku temu niedaleko w sąsiedztwie chłop zdrowy, co od wojska spod Beresteczka przyszedł, wybraniec, położył się i umarł. Rozszerzyła się łoźnica pomiędzy ludźmi wkoło. Skąd, kiedy chłop zupełnie zdrowy jeszcze do osiedla przywędrował?...

Baby poczęły szeptać między sobą, radzili chłopi. Chłopi o Sobkowym upadku i że ni Maryny nie szuka, ni o pomszczeniu dziadkowej śmierci nie myśli; baby co innego szeptały. Żona Topora Żelaznego rzekła do żony Leśnego Topora:

— Cosi Jasiców zaziuneno...

— Wiera haj! I ja tak myślem...

— Maryna sie straciła — ślaku znaku po niej...

— No. Jakby jom co porwało.

— Myślałak ja, cy nie dziwozony — ale ig haw nié mas nikany, ani o nik nie słyhno.

— Mnik samo to nié; ludzie go nie widowali dawno. Wilki tys nié, to nie zima.

— No to ka sie straciła?

— Edź?

— I z kóniem. Do ziemie nie wjahała ani w powietrze nie furkła. Nic, jyno jom wygnało z domu. Wto wié ka — w las, łebo w turnie. Wto wié, cy jesce zywa?...

— No, no, no, wto ta wié, co sie ś niom stało?...

— Zaziuneno jom. Nic, jacy to.

— A i Sobek jaki? Cień i cień. A i mało go widno. Syćko kajsi w doma siedzi bez calućkie dni.

— Haj. Ja uwazyła po nim przemiane.

— Tak i ja. A od kiedy?

— Dy niedawno. Mało co, kie sie przyredykali z hól z owcami...

— No, no, no. Teraz my na cęście. Zaziuneno Jasiców.

— Zaziuneno.

— A ludzie chorujom. Troje pomarło.

— No.

— Skąd? Bez co? Dyj tu nijakiej chorości nie bywało! Skąd sie wziena? Kieby Wojtek Bustryckiego, co od wojny prziseł, béł prziseł chory — ale Panie broń, nie béło mu nic!

— Tu zachorował.

— No tu, ze zdrowego. Zaziuneno cosi Hrube.

— Zaziuneno. Ale co?

— A coz haw łazi zdrowe, piékne, nie brakuje mu nic? A skąd sie wzieno?

— Je co?

— Zre, pije, jako ony płanietnik, co pod Kopom za wodom u Sobanka siedział, a dokucał syćkik, jaze pote osiedla fciał wytopić.

— No. Ale haw płanetnika nié mas nikany, do nikogo nie ślaz siedzieć, pomiędzy gazdów.

— Ze dyć wiem. Ale co Gałajda nalaz? Przi Stawuk?

— Ehę? Ten panne?

— On mi sam opowiadał, a ja mu powiadowała kielka razyj: wto wié, cyś dobrze zrobiéł, coś jom przinió́s.

— Moze i to być. Hm...

— No dy uwazujcie sami: syćko sie naokoło fce skantrzyć, stulać dołu, a ono rośnie!

— No, no, prawde gadacie.

— Ja ta na nikim rada wirchowała nie bedem. Ale tu — w ocy bźga, jak nozem!

— Hej, hej, hej — bźga.

— Topór stary zabity, Toporowa jak kłoda lezy, Maryna przepadła, Sobek zgłupiał, a onemu dobrze.

— No, no.

— Ja wam tak powiem, bo ja ta nierada figli nijakik gadam, wto wié, co Gałajda do sałasa przinós?

— No, no, wto wié?

— Moze być mamuna jaka, dziwa stwora, pokusa...

Pomilczały chwilę pod wrażeniem.

— No to coz robić? — rzekła Leśna.

— Co robić? A co zrobili w Trybściu za Białom Wodom z carownicom?

— Z Biedrzanom? Co jom spalili?

— No!

Znów umilkły. Uczuły, że rzucają coś strasznego z dusz, jakby kamień rozpalony na głowę czyjąś z rąk.

— Kie krowy zacény mléko tracić, kie dzieci wziény mreć? A samo tak i ona skądsi przisła.

— Ze światu.

— Bajto! Wtoz wié skąd?

— Moze i z Łysêj Góry?

— Ja to słisała z ludzi. W Hiśpanii sami księdzowie kazowali heretyków i wseliniejakik carowników palić. I to béło świentę.

— Dyć i jakiegosi Husa Niemcy spalili.

— No, co dzieci w zywocie macierzyńskim urzekał, ze sie umarte rodziły.

— Ja to słisała na odpuście w Saflarak, jako ksiądz z ambony wołał.

— Hej raty, przeraty!

— Trza lud ratować.

— A i ród; Sobek Topór.

— Moze sie i Maryna najdzie. Wto wié?

— A coby my jom wzieny bić? Potela, pokiela sie Maryna nie wróci abo pokiel nie powié, ka je jest, abo ka Marynine ciało, jakby nie zyła?

— Podźmé ku hłopom.

Poszły. Chłopi wysłuchali z uwagą, bo to byli mądrzy i świadomi spraw świata gazdowie i choćjakich próżniaków im nie trza było mówić. Przywołali najstarszego między sobą Topora Od Muru i jego żonę od Kulów z Gronia.

Na spalenie się nie godzili, „dowodu" takiego nie było. W to uwierzyli, że się Maryny wyzbyło z domu czarami, żeby więcej jeść miało i że Sobkowi pocyniło, aby zmarniał i aby całe gazdostwo wzięło sobie. To już bywało nieraz. Czasem się i dziwtoremu diabłu uprzykrzyło w piekle siedzieć, umyślił se na ziemi gazdować. To albo od chłopa gazdostwo kupił, albo wysłużył, jak do diabła, są niejednako władni, albo go wystraszył, albo rozmaitymi sposobami do ruiny przywiódł i gazdostwo sobie wziął, tak jak Żyd. Czasem też i figlem wycyganił. I żenili się. Po takim jakimsi duchu jest Duchowie w Międzycérwiennem przy Czarnym Dunajcu. A i Pokusowie, ród szeroki, od Ludzimierza po Polany pod halami, skądinąd się nie wzięli. Kto wie, czy ta panna to nie diabli poseł, a może diabłowa kochanka?

— Kie jéj nie widział nik nika hodzić ani nic...

— Nie bójcie sie! Jedno mogli sie ułozyć na kwile, drugie diaboł nie potrzebuje dźwiérzy sukać ani na oknie burzyć. Hoćjakom sparom wleci, koło zapory, cy nad progem, a ludzi zaśpi.

— Bajto! To duk!

Milczał stary Topór Od Muru, wreszcie rzekł:

— Co by mogło być, nie wiem, ale ze se Sobków i Marynin majontek przysobić fce, to moze być. Słyhował ja ze staryk ludzi o karle, co sie do gazdy na pahołka zjednał i gazda

przy nim na takom biéde prziseł, co sie obwiesić fciał. Niwto mu poradzić nie wiedział. Ale béł cłek mądry i poradziéł karła wygnać. Toz to zesła sie cała dziedzina i karła wygnali het, za granice. I ony hłop sie zaś sprościéł na gazde jako prędzy. A to miało być kajsi na Orawie.

— No, no, no, widzicie — poczęła szybko mówić Żelazna.

— Samo tak i tu bedzie — zaczęła za nią Leśna.

Sobek zaś jak szalony chodził. Porwać się na Beatę nie ważył, nawet się do niej bardzo odzywać śmiało nie nauczył ani nie próbował.

Co razy w nocy pod jej drzwi podszedł, to odpadł od nich, pchnąć nie śmiał. Tylko zdziczał tak, że rad był, że Maryna przepadła, bo przy niej aniby na strychu przy wywierconej w powale dziurze leżeć, ani pod drzwiami Beaty w nocy nadsłuchiwać w sieni nie mógł. A słuchał każdego jej poruszenia, każdego westchnienia, oddechu.

Kiedy się po pościeli przesuwała, jego dreszcze gorące przechodziły, jak żeby się żelaza roztopionego napił. Czasem mu przychodziło na myśl kotlik miedziany z dukatami spod jaworu za domem wykopać, pannie nogi złotem obsypać, ale go zaraz śmiech brał — nie telo złota ona w ojcowym zamku widziała, może jej więcej do przesypywania garneczkami jako dziecku dawali...

Nieraz tłukł Sobek głową w stajni o ścianę, a czasem się wściekł i konie szarpał za uzdy, kopał i pięścią po łbach bił bez powodu, że drżały, gdy wchodził, podczas gdy dawniej szyje ku niemu obracały przyjaźnie. Dziwował się parobek służący, ale gdy raz się odezwał, Sobek pozbierał mu w kułak koszulę pod gardłem, zakręcił i takimi oczami nań spojrzał, że parobek postanowił milczeć, choćby Sobek i żywcem skórę z koni darł.

Beata zaś chodziła cicha, nic nie widząca, niczego niedomyślna, w trwodze i niepokoju o Marynę i w przerażeniu przed Sieniawskim. Niemniej powietrze i zdrowe jadło oraz zajęcie sprawiły, że utyła nieco i nabrała kolorów, których nigdy nie miała. Miłość i straszne przejście z Kostką, wyrzuty sumienia i żal czyniły, że łagodna jej i spokojna dusza smutną się stała i zadumaną i wieczna melancholia ocieniała jej czoło i źrenice. Żyła zaświatem, a drżała przed rzeczywistością.

W Sobku nie postrzegła nic. Nie przychodziło jej to do myśli. Jego mizerny wygląd i opuszczenie się przypisywała zgryzocie, której miał tyle przyczyn; czego on zaniedbywał w gospodarstwie, ile w jej siłach było, własną pracą i trudem nagrodzić się starała. Co się mogło stać z Maryną, w głowę zachodziła.

Wiele też kłopotu i dolegliwości było ze starą Toporową, babką, która widocznie ani już żyć, ani umrzeć nie mogła. Przytomna była, bo oczy jej przytomnie po ludziach błądziły, i męczyła się widać walką życia i śmierci, ale umrzeć nie mogła. Do szkieletu podobna leżała w komorze bezwładna i nieruchoma i co rano szeroko miała rozwarte straszne, półtrupie oczy — żyła.

Jednego dnia przed południem Sobek wracając z ciupagą w ręku z lasu, gdzie drzewo zakrzesami znaczył na ścięcie, ze zdziwieniem ujrzał sporą gromadę ludzi z Toporami, Żelaznym, Leśnym i Od Muru i ich żonami na czele, podchodzącą pod jego dom z widłami, cepami, z biczami, osobliwie baby. Przyśpieszył kroku i stanął naprzeciw pytając:

— Je kaz to takom kupom idziecie? Cy na wilki?

— Do tobie — odpowiedział Topór Od Muru, głowa rodu.

— Do mnie?

— No.

— Cy sie stało co? Ale co?

— Idziemé złe z twojego domu wyganiać.

— Złe? Z mojego domu haw? Je jakie złe? Ja nie wiem o nicym!

— Nie wiés, boś zaziuniony — rzekła Toporowa Żelazna.

— Ja zaziuniony? Cyście zgłupieli stryno? Coz wy radzicie?

— Stryna dobrze radzom — rzekł Topór Od Muru. — My cie prziśli ratować.

— Je kiz diasi?! — krzyknął Sobek zniecierpliwiony. — Cyście wy sytka waryjaki, cy ja o rozum prziseł? Coz wy haw radzicie do mnie?

I uderzył końcem toporzyska o kamień.

Naówczas Topór Od Muru wystąpił krok naprzód i począł mówić:

— Słuhąj, Sobuś, dziecko, kie na Orawie w jednéj dziedzinie kareł sie do gazdy za pahołka zjednał i gazda przi nim tak, jako tys i ty haw teraz, marniał, syćko sie mu nie wiedło, krowy zdychały, owce zjałowiały, kobyły porucowały, baba mu umarła, on sam zrzesał, jako tys i ty haw teraz, ku temu sie mór na ludzi cisnon — zesła sie famiélija i cała wieś i karła wygnali.

— No to co? Coz to haw ma do mnie?

— A ty se myśl pozbiéraj do głowy: dziadek zabity, babka razona, Maryna zginena, wto wié, cy jesce zywa, tyś zrzesany, ścienciwiony co jaze zal, gazdostwa nie patrzis, ludzie dookoła na łoźnice mrejom —

— No to co? — przerwał mu Sobek niespokojnie, jakby przeczuciem tknięty.

— My haw od tobie wyganiać prziśli.

— Kogo?!

— Panne.

— Panne?!

— My uradzili, je ze ona to złe we was dom przziniesła.

— Ona?!

— No.

— Cyście wy sie saleju nazarli, stryku, cy mnie bez rozumy przejńść fcecie?!

— Uwazuj, do kogo gadas! — rzekł Topór Żelazny surowo.

— Jezus Maryja! Na mój sto prawdu! Nie wodźcie mnie na pokusenie, bo hoć jeście starsejsy i stryk...

— Tu cała dziedzina za nami — rzekł Topór Leśny.

— A coby i tysiąc dziedzin béło! Ja tu gazda! Na swojém! Kogo mam w doma, to mój! Icie w krocset diabłów, pokielek dobry! Stosecnyk diasków zjadło!

— My sie haw tobie nie boimé — rzekł Topór Od Muru.

— My haw prziśli w świentej sprawie. Ka panna?

— Ale skąd wam to do głowy wjehało?! Stryła wam maciery do boku! Skąd?!

— Z mądrości — odpowiedział Od Muru. — My nie od dziśka zyjemé ani nase baby tagze. Tyś młody, głupi. Dowodu nié mas. Ty nie wiés nic. A jesce barzyj bez to, coś zaziuniony.

— Je siem skaranie, trzista wam w garle dziś, stryku, s tém zaziunieniem! Ja zaziuniony, jak haw krew śknie spod obuha!

— Uwazuj, do kogo radzis! — odezwał się Żelazny groźnie.

— A hojbyk i do was samyk radziéł, krzesny ojce! — grzmiał Sobek głosem. — Wy mi jéj nie wydrecie, héba z dusom!

Spojrzeli chłopi po sobie, spojrzały baby; pokiwali głowami.

— No, Sobek — rzekł Topór Od Muru. — Kaz panna?

Wtedy Sobek zsiniał, sczerniał prawie; oburącz ujął toporzysko od ciupagi i rąbać dookoła siebie począł kamienie, głazy, krze jałowcowe, ziem, jakby go szaleństwo owładło.

Piana wybryznęła mu na usta, oczy stanęły w słup, biegł i w zamachu rąbał, straszliwe kręgi zataczając ciupagą.

Ludzie się cofnęli w trwodze, wołając:

— Złe nim piere! Złe nim piere!

Ale Toporowie, Żelazny i Leśny, i dwóch chłopów podsunęli się ku Sobkowi, jakby ślepemu w szale, i chwycili go za ramiona. Odpadło trzech, jak od buhaja wściekłego, lecz Żelazny, siłacz, przy ramieniu prawym się utrzymał. Poskoczyło więcej chłopów, ubezwładnili Sobka, zwalili na trawę i przysiedli pod sobą. Wtedy z gardła jego wydarł się krzyk, jak z gardzieli dławionego przez wilki jelenia.

Ten krzyk usłyszała zajęta w piwnicy Beata i wybiegła z niej, w spódnicy ugiętej po kolana, przed dom.

— Tu je! Tu je! — wrzasnęły baby.

— Co się stało?! Na Boga?! — zawołała Herburtówna.

Ale nagle ujrzała się napadniętą i otoczoną przez tłum z widłami, cepami i biczami. Koło niej ryknęły dzikie głosy: Za granice! Rusiaj stela! Bier sie! Uciekaj! Carownico! Psia duso! Idź stąd! Bezero! Psie miéso zatracone! Rusiaj tu stela...

Bicz śmignął i uderzył ją w plecy.

— Ah! Jezu! Co to jest?! — krzyczała Herburtówna. — Za co mię bijecie?! Za co mię wypędzacie?!

— Rusiaj! Rusiaj! — ryczał tłum. — Za granice! Bier sie! Uciekaj! Carownico! Dziwa stworo! Weredo!

Jeden z machających koło niej bijaków od cepów ugodził ją w głowę. Złapała się za głowę rękami, zasłonić chciała od ciosów.

— Ukamienować jom! — wrzasnęła jakaś baba.

Ludzie usłuchali — schylili się i podjęli z ziemi kamienie. Pierwsze rzuciło dziecko, chłopiec dwunastoletni, któremu oczy zażegły się ogniem. Trafił Beatę w grzbiet.

Wtem przez tłum przepchał się stary, stuletni Kret; zasłonił Beatę rozpostartą gunią i odezwał się do niej:

— Podź, dziecko! Uciekaj, bo cie zabijom! Ja s tobom! Podź!

Ptasimi, pełnymi śmiertelnego lęku oczami spojrzała Beata Herburtówna na Kreta i przypadła głową pod starą, wytartą gunię.

Kret ją zatulił i wieść począł w stronę lasu, a za nimi szedł tłum, złorzecząc, hucząc i hałasując, ale nie bijąc ani nie rzucając kamieni. Taka była powaga, taki majestat opieki w starcu, w którym każda kostka już się trzęsła, taki odzew na napad, że ludzi onieśmielił. Szli za nimi bandą, wielu, zwłaszcza dzieci, z kamieniami w rękach, z wrzaskiem i krzykiem, ale czuli się jakoby ogłupieni przez Kreta.

I w końcu poczęli ostawać, a ci dwoje szli naprzód, aż przybliżyli się do lasu i znikli.

Trzej Toporowie, Od Muru, Żelazny i Leśny, popatrzyli na siebie.

— Przysady miał — rzekł Żelazny. — Ja to dawno kalkulował...

Gdy wieś wypędzała Beatę za swoje granice, w las, Sobek, czarny prawie na twarzy, bez przytomności na ziemi leżał; trzy Toporowe, Żelazna, Leśna i Od Muru, do domu Jasiców weszły i nad pościelą Toporowej Sobcackuli w komorze stanęły.

— Nié moze umreć, stary biédak — rzekła Leśna.

— Ani zyć — rzekła Żelazna.

— Ani jedno, ani drugie — rzekła Od Muru.

W rozwartych szeroko źrenicach Jasicowej wymalowało się śmiertelne, okropne przerażenie.

— Wié biédok — rzekła Żelazna — co radzimé.

— Je dyj sama bacy, kie jej ociec nié móg skonać.

— I kie staremu Głacanowi juz sto trzidzieści roków béło, a jesce zył, ślepy, głuhy, taki jyno trzopek.

— Haj, haj, haj! — pokiwała głową Toporowa Od Muru.

— Je na coz to takiego półtrupa trzimać? Héba coby w izbak powietrze psuł. Ś niéj juz nic nie bedzie.

— O bo nic!

— No nic.

— A béła to gaździna!

— I baba!

— A i dziéwka musiała być! Padajom starzy, co sie jaz świat rumieniéł, kie przi Stawuk pasała.

— No! Mogło to być!

— Siedmi parobków sie o niom wyzabijać fciało.

— A teraz półtrupa.

— No, no...

— Ani pół nié mas. Ćwierć.

— Tak to wej, tak...

Oczy Sobcackuli przesuwały się niewypowiedzianą trwogą przeszyte z twarzy na twarz stojących nad nią kobiet.

— Biédaku stary — rzekła Leśna.

— Nieborko! — westchnęła Żelazna.

— Ale trza ś niom zrobić, jako jest zwyk. Jako i nam kiejsi moze młodsi zrobiom, jakby my za długo zyły. Dawiéł jej przecie nie bedzies — rzekła Od Muru.

— No, no, zrobić trza, jako jest zwyk...

— Trza — rzekła Leśna.

— Porzondek Sobkowi w hałupie zrobić. Kieby staryk do lasa nie wywozowali, to by młodym ciasno béło. Taki świat.

— Taki wej, taki...

— Moze ta i skorzéj dojńdzie...

— Abo ta i dźwiérz dziki przydzie. Co sie ma mencyć długo.

— No, no! Taki jest porzondek świata.

— Z dawna starzy gadowali: kie s kim za casu śmierzć rzędu nié moze sama dojńść, trza jej dospomóc. Biercie, kumosko — rzekła Toporowa Od Muru.

— Pościele skoda.

— Je dy haw descki na podworcu jest. Nié mas co wozu zaprzągać, bo las blisko.

— Siejdze haw jesce zatela, biedarstwo, siedź.

Oczy Sobcackuli pełne były potwornej rozpaczy.

Trzy Toporowe zaś wzięły kilka desek z podworca, znalazły gwoździe i siekierę, zbiły obuchem nosze i powróciły do komory.

— No, podź! — rzekła Leśna.

Sucha, twarda, skalista rezygnacja widniała już w oczach starej, półmartwej góralki.

Toporowe podniosły jej sztywne ciało z pościeli, wyniosły z domu, położyły na zbitych deskach i dźwignęły w górę. Stały w podworcu, na oborze, między domem mieszkalnym a stajniami i chlewami. Trzymały Sobcackulę na deskach.

— No, pojźryjze jesce na gazdostwo, biédaku — rzekła Toporowa Żelazna.

— Ostatni raz!

W tej chwili zaryczała w stajni smutno, przeciągle krowa.

Jakieś jakby drgnienie wzruszyło nieruchomą, skościałą twarz Sobcackuli i jakby łzy zaszkliły w kątach jej suchych oczu.

— Wis? Płace — rzekła Od Muru. — Śwircki jej w ocak stanény.

— Luto jéj krów...

— I krowom jéj.

Toporowa Żelazna otarła łzę rękawem od koszuli; po zawiędłej, jakby zatęgłej bruzdami twarzy Toporowej Od Muru popłynęły duże, sączące się strugi łez.

— No, podźmé — rzekła Toporowa Leśna wzdychając żałośnie.

We wrotach obory spotkały Sobka — szedł czarny prawie na licu, chwiejąc się i wspierając na ciupadze.

— Babka skonać nie może. Fcemy ci do cysta porzondek zrobić w doma.

— Trza, cobyś się zéniéł — rzekła Toporowa Od Muru.

— Haj — potwierdziła Leśna.

— Uprzącemy ci. Hoć to dzieci abo wnęki samé robujom i staryk ojców cy dziadków do lasa wiezom, ale tyś jakisi taki jak chory teraz, fcemy cie przerencyć.

Sobek popatrzył na babkę błędnymi oczami.

— Dobrze — rzekł jakby bez myśli.

Trzy Toporowe, niosąc Sobcackulę na deskach, wyszły przed izby; ludzi nie było — poszli za Beatą ku granicy. Przed izbami stali tylko trzej Toporowie. Popatrzyli i nie spytali nawet o nic, nieraz to widzieli.

— Uprzącemy Sobkowi — rzekła Leśna. — Maryny nié mas, tego diabła my wyzenieni, trza, coby sie Sobek zéniéł.

Trzej Toporowie kiwnęli głowami w milczeniu, pochwalając.

Kobiety zaś, tą samą drogą, którą owce pędzono sprzed Toporów Jasiców ku Stawom, szły ku lasowi i zanurzyły się w nim.

— Ka jom ostawimé? — spytała Żelazna.

— U Płazowej piwnice. Hań gąsc, husciawa — odrzekła Od Muru.

Poniosły i położyły nosze na mchu.

— Haw cie śmierzć dokończy — rzekła Leśna.

— A janieli cie i haw najdom, jageś nie w grzyhu — rzekła Żelazna.

— Ostaj z Pane Boge! — rzekła Od Muru.

Popatrzyły chwilę na Sobcackulę — twarda, spokojna, skalista rezygnacja świeciła martwo w oczach starej góralki.

— Deski zabieremé? — spytała Leśna.

— Je dy to nie wóz — rzekła Od Muru.

— Zawdy skoda — rzekła Żelazna. — Piéknie ohéblowane.

— Jasieniowe drzewo...

— Na mehu jéj i tak lepsi bedzie...

— Lekcyj sie jéj skona...

— No...

— Ani nie musimé tyk desecek Sobkowi wracać. On ig ma dość.

— Kozda se nieg weźnie po jednej...

— No...

— Ono się przida w doma...

— Bajto! Przida...

— Je coz ta takiemu biédokowi, na cym lezy?

— A hojby jom to obesło, to nie powié...

— Bo nie gada...

Zdjęły sztywne ciało Sobcackuli z nosz i na mchu położyły.

— Lez ze se haw, lez — rzekła Żelazna.

Po czym rozbiły nosze i każda wzięła deskę pod pachę i wlec je jęły odwracając się ku wsi.

Po chwili rzekła Leśna:

— Ale wam powiem, kieli to ten las, co się nie przeruwa nikany...

— No haj... Straśnie je wielgi...

— I pusty. A moze ta w nim teraz niejeden taki stary człowiek lezy...

— Abo i błądzi... Kie Kośla swojego ojca Pietra do lasa wywióz, to jesce Pieter fajnie hodziéł...

— Nié móg sie wej Kośla dockać, kie ociec umre... To straśnie gwałtowliwe, a złe jak pies.

— Mnie raz Mrowcowa Kaśka padała, jeze kości ze starego Mijała Mrowce, co béł jej hłopa strycnym dziadkem, to jaze kajsi pod Kosystom juhasi z wiesnom naśli, telom dal zaseł, kie go przed Gody syn Maciek, co go nazywali Frombijarzem, do lasa wywióz.

— Siéłe miał, na to seł, a wracać się du domu nié miał po co.

— Wiécie — rzekła Leśna — kie se tak pomyślis, e, to strasny ten las... Jedni w nim niedoumarci lezom, drudzy po nim hodzom, na rencak i na nogak pojeden.., i na brzuhu sie wlece...

— Haj, haj, haj! Takie jascury...

— A jęcy to, wzdycha...

— Nie dajze Panie Boze za długo zyć!

— Strasno pomyśleć — mówiła Leśna. — Taki głuhy las, sełbyś po nim, a tu ci cosi kajsi pod krzakem westhnie...

— Abo zjajcy...

— O raty! Ja by zamglała...

— Abo kieby ci sie taki na racku z cienia wywlók — pod nogi...

— Ocy do tobie wystawiéł...

— Ze zębisków, jak ta jesce ma pojeden, ozór wywaliéł...

— I zastompił ci — ze ziemie patrzęcy —

— Ja by zamglała — rzekła Leśna.

— Ja by uciekła — rzekła Żelazna.

— Ja by kopła, nieg sie dzieje, co fce — rzekła Od Muru.

— Strasno pomyśleć, taki las...

— Strasno...

Powróciły do Sobka; trzej Toporowie siedzieli przed domem na ziemi.

— Kaz Sobek? — spytała Żelazna.

— W nuku — odpowiedział jej mąż.

— Podźmyz ku niemu.

Chłopi powstali i wraz z żonami do sieni weszli; Sobek leżał w czarnej izbie na pościeli.

— Sobek — rzekł Topór Od Muru — ja jest nostarsy, to ci radzem. Ostałeś sam, majontek jest, trza, cobyś sie zéniéł.

— Ale s kim? — zauważył Leśny.

— Dziéwek po świecie dość. Jest hań i po Łętowskim Marsiałku córka, Hanka, dziéwka do rzecy i bogata.

— Jest na Białce dwie dziéwki u Stanisława Nowobilskiego, jak śrybło — rzekła Toporowa Od Muru.

— Abo i pod Kopom u Tatara, Marysia, u Symcia? — rzekła Leśna.

— Dziéwek po świecie dość. Bedzie fciał, to se wybiere; opuści sie na nas, to my mu wybieremé. O to nie biéda...

W tej chwili usłyszeli Toporowie nosowy głos Krzysia, który śpiewał:

Napić by sie, napić, kieby co dobrego!
Kiedyby obłapić, coby co godnego!...

— Krzyś z Olce — rzekł Topór Żelazny.

— Przynapity.

Jakoż przynapity nieco Krzyś ukazał się we drzwiach na krótkich, krzywych nieco w iks nogach, w kapeluszu na bakier, z miną butną.

Patrzał z jasności w sień z olśnionymi jeszcze oczyma, a Topór Od Muru zauważył:

— Kanysi popił, bo podufały.

— Jest haw wto? — zapytał Krzyś nie pozdrawiając i wyniośle.

— Jest — odpowiedziano mu.

— Sobek Topór?

— Jest i Sobek.

— Jest je? Ka?

— Haw. Na pościeli.

— No to nieg wstaje! Janosik Nędza Litmanowski na panów idzie.

— Co?! Jako?!

— Jako mówiem! Ja idem ś nim, jyno skrzipce weznem.

— Ka idzie? Co?

— Na panów! Ludzi bronić!

— Nędza? Hetman zbójecki?

— No!

Sobek siadł na pościeli, potem zerwał się, skoczył, schwycił ciupagę i z gołą głową do sieni wypadł, potrącając Krzysia we drzwiach, który się zachwiał.

— Kapelus weź, piscolce! — zawołali za nim Toporowie. Ale on wyskoczył w pole, wpadł do stajni, wywiódł konia na uździenicy, wskoczył nań i z kopyta się puścił.

— Zginie — rzekł Topór Od Muru patrząc za nim.

— Skoda go — rzekł Topór Leśny.

— Maryny nié mas, Sobek kajsi jedzie bez pamięci, jakby pote przypadke zginon, no to majontkem sie my dzielimé — rzekła Toporowa Żelazna z niesłychaną nagłością porywczą.

Ale Topór Od Muru surowo na nią popatrzał.

— O Sobkowi nie radź, a o Marynie nie wiadomo nic. Pokiel ja zyjem, garka tu jednego nik nie rusy!

Umilkła chciwa Żelazna.

— Krzyś, gadajciez, co, jak? — naglił Leśny.

Ale Krzyś, który powracając od Nędzów do karczem wstępował, popatrzył nań z niewypowiedzianym lekceważeniem i odpowiedział:

— Jageś ciekawy, to hań leć.

— Ze ka?

— Na Nędzów Gronik. Hań dziś w nocyj zbiórka.

— Dziś?!

— Ja idem po skrzipce i po Mardułe — oświadczył Krzyś i wyszedł na krótkich nogach, chwiejąc się. Zaraz za domem zaczął brzęczeć na nosie:

Kie my se podziemé hore dolinami,
budom ze sie dziéwki obziérać za nami!

W głęboki zaś las ku Spiszu szedł stary, stuletni Kret przed Beatą Herburtówną, mrucząc do niej:

— Trzeba se dwa tęgie kije ułomić, od wilków, abo i złego człeka, cy psów, kie na ceste wyjdziemé. Ludziom sie nie cuduj, co cie wygnali. Ludzie som jest głupi. Dziw Boze, jakby sie ka mądry nalaz. A ja tobie nie opuscem, bok cie nie na to mlékem warzoném karmił, cobyk cie na zaginienie dawał. Ja pomału za ludziami seł, nie wiedzęcy ka idom, ani po co? Wlógek sie ta, bok stary. Prawie jek sproście na dobrom kwile przziseł. Ony by cie moze béły i ukamienowały, ty baby. Prze co? Brzydosie zatracone! Mnie ta po nicym nie luto. Ta izbecka, ka jek siedział, jak na psa. Ba kie w hale z wiesnom pudom, to mi luto bedzie. O! Bedzie mie cliwo przez owiec! Bedzie!

— Ojcze! Wyście dobrzy! — szepnęła Herburtówna.

— Hej, Boze, dziecko — odpowiedział Kret — takim głosem nik sie do mnie siedemdziesiont roków nie obezwał... A kaz twoi ojcowie siadująm? Wyjdziemé z lasu, bedziemé sie ospytować. Zawiedem cie. Moze mi hań owce dadzom paść. Hawok sie jus nie wrócem. Fciały cie psie pary ukamienować! Prze co? Ale przez owiec z wiesnom to by mie cliwo béło. O, cliwo by mie béło. Ja je osiemdziesiont roków pas w halak...

Krzyś, co się stało u Toporów, nie wiedział, szedł on bowiem w inną stronę, walecznego Mardułę ku Janosikowi Nędzy pozwać. Zastał go siedzącego na progu domu, w którym ze starą matką mieszkał, bęsiem, nieślubnym synem będąc.

Marduła był ponury. Posiadał on bowiem dwie pary portek, jedne nowe, drugie stare, ale się zdarzyło, że gdy wszelki dudek, jaki miał, wymijał po karczmach, poszły za dudkiem i nowe portki.

Krzyś, który się po drodze wody z potoku napił i tym do równowagi umysłowej znacznie przywrócił, zauważył Marduliną gorycz i zapytał politycznie:

— Hłopie! o cym tak medetujes?

— He, radbyk na kściny iść.

— Kaz to? — zapytał Krzyś skwapliwie.

— U Wojdyłów.

— Je coz ta Bóg nagodziéł? Hłopiec cy dziéwka?

— Dziecka nié ma.

Zdziwił się Krzyś.

— I jako?

— Bo sie narodziło niezywe. Ale kściny som jest, bo syćko béło przygotowione.

—Je prawda — rzekł Krzyś — wtoz go ta wiedział, jakie sie narodzi? Nie pytał sie go nik. Gorzałka hań jest?

— I piwo, i wino, syćko. Dy Wojdyła gazda!

— Pytali cie?

— He, i oni, i wcora wiecór jesce przileciała Klarka Ustupska, cobyk jyno prziseł. A i Wojdyłówne, Marcia i Milcia, strycne, mie straśnie pytały. Wtoz hań zatańcy, jak mnie nie bedzie?

I Marduła stał się dumny.

— No, kiebyś na kwile poleciał — rzekł Krzyś zastanawiając się. — Je, ale cemuz nie idzies?

— Jakoz pude? W takik portkak nieporada iść...

I wyciągnąwszy długie nogi przed Krzysia, z żałością na swoje połatane spodnie spojrzał.

Krzyś pomyślał chwilę i rzekł:

— Wiés co, mam ja nowe portki, kondek som jest długawe i syrokawe na mnie, bedom na tobie. Lejdze duhem do Byrki, ona ci da, wisom hań na zyrdce w białej izbie, a przynieś mi i skrzipce. Niepytanyk na te kściny, ale mie ta ze skrzipcami przyjmiom.

— Haj! — krzyknął Marduła i gwizdnąwszy na psa zajął go kijem i puścił się biec w nieporównany sposób, jak to miał zwyczaj, za psem galopującym przed nim, nieledwie się go za ogon trzymając.

— Jedy by ci tén ksiendza po kolendzie łapiéł — mruknął Krzyś zasiadając Mardułowe miejsce na progu.

— Na kściny na malućkom kwilecke wstąpimé, i tak hańtędyj dróga ku Nędzy.

Usłyszała stara Mardułka obce mruczenie i wyjrzała z izby do sieni.

— Tuście, swoku? — ozwała się przyjaźnie.

— Zy haw. Jak sie ta miéwujecie, ciotko?

— Ze tak ta, po kondku. Ani tak, ani tak. Kaz Franek?

— Poleciał do mnie na portki. Skróś tyk kścin. Rad by tańcyć.

— E dobrze ze tys! Wy zycycie mu? Bo se straśnie markociéł, co ni ma w cym iść.

— Ale z tyk kścin to on tu jus du domu nie przydzie.

— Zje ba kas pudzie?

Jął Krzyś Mardułkę objaśniać, a ta wysłuchawszy rzekła:

— Je dy dobrze. Moze sie ta przecie raz Franek do kupy pozbiéra i na porzomnego, godnego złodzieja, jako i drudzy, wyjńdzie. Ja to sama wiem, ze i ś niego by móg być złodziej, jaz nie zal, kieby nie te dziéwki! Co sie mu nieraz nagadam: Franek, dajze pokój, posiedź! S tymi freirkami nic nie nagazdujes, ba jesce swoje minies! Złodziej byś móg być, jako i Nowobilski wtory na Białce, abo Mateja w Polanak, a tyś co!? Z porwaśnegoś rodu, to ta porwies, ale wto fce sie ze zbójectwa na gazde sprościć, nie musi o figlak, kohaneckak myśleć, ba jedno w głowie mieć: kraść!

— Terazeście wej, Mardułko, dobrze pedzieli — rzekł Krzyś! — Wy macie rozum.

— Ale Franek jako Franek! Co prawom rencom przyniesie, to trzoma lawemi pomiendzy dziewki ozda, a i pozywać sie go bojom, choć je hłop, bo taki nigda nie pewny, co mu jyno to hań w głowie, to cérniućkie a drobne. Nieraz ja sie i napłacem, bok go przecie na zbójnika howała...

— Przy Janosiku się prziucy. To ociec świenty zbójecki! — rzekł Krzyś z namaszczeniem, kiwając patykiem na oście.

Tak rozmawiali, tymczasem zaś szybkobiegacz Marduła z portkami Krzysiowymi i skrzypcami wiatr zdumiewając powracał.

Psa nawet za sobą zostawił.

— Ześ tys hytry — rzekł Krzyś z uznaniem.

Z porozumiewawczym, polecającym spojrzeniem spojrzała Mardułka na Krzysia — co by to z Franka mogło być, aj być!...

W mig sie przeobuł Marduła; trochę było ciasno i krótkawo, ale onyckami płóciennymi poowijał kostki wysoko i rzemieniem pookrącał. Było.

Opowiedział mu za ten czas Krzyś, po co poń przyszedł: Mardule się oczy zaśmiały, słuchał bystro, po czym ciupagę

z kąta, noże i pistolety z półki zaraz wziął. A gdy matkę całował na pożegnanie w rękę, ta rzekła: — Idzies tak, jak do skoły. Talant ci Pan Bóg dał, od korzenia sie weź!

— Ale sie z moik portek wyob'ujes? — zastrzegał się Krzyś ruszając z Mardułą.

— Wyobujem. Ja se ta nie jyno jacy portki, ale i buty z holowami najdem!

— Łacwie — rzekł Krzyś. I obliczał, że z godzinkę się na chrzcinach zabawiwszy, jeszcze na czas na Nędzów Gronik zajdą, a nie, to Janosika dościgną. O tym, że miał i innych chłopów ku Janosikowi pozwać, już nie myślał.

U Wojdyłów grali, aż z daleka huczało. Gości wdzięcznie Wojdyłowie powitali, a na widok Krzysia poczęto wiwatować, bo to był muzyka nad muzyki.

Młoda Wojdyłowa od Kąrkosów, trzeci dzień po połogu, właśnie tańczyć przestała i szepnęła do męża:

— Uwenerujze Krzisiowom persone, coby zagrał.

Ale Krzyś, napiwszy się ponownie, wolał naprzód zatańczyć. Chłopi rzędem dookoła izby pod ścianami stali i jeden po drugim przed muzyków wychodził i tańcował, jak było zwyczajem, lecz Krzysiowi miejsce zrobiono dla wieku i wartości.

Wystąpił więc z ostrą miną przed muzykantów, dwóch skrzypków i basistego, i wyjąwszy jakieś grosiwo ze supła smatki, którą miał w kieszeni od serdaka, i rzuciwszy do basów, zaśpiewał:

Spodobały sie mi u zająca usy,
U jelenia rogi, u dziéwcyny nogi!...

Po czym ogromnie głośno począł tupać kyrpcami w dyle podłogi i puścił się dookoła na ozwodną nutę, Marduła zaś podskoczył ku Capkuli, babie wielkiej i na podziw rozło-

żystej, i pokłoniwszy się jej z gracją lekko kapeluszem, który miał na głowie, wpół ją ujął i kilkanaście razy wyzwyrtawszy, aż babie spódnice ku kolanom wylatowały, pod rękę ją puścił jak frygę, aż babie spódnice powyżej kolan wyleciały i pokazała się pod nimi mężowska biała guńka, którą dla większej jeszcze urody na biodra zapasała.

— Hej ze ino z Franka pies! — krzyknął rozradowany ojciec Wojdyłowej.

Capkula zaś, prawą rękę wdzięcznie z tyłu na biodrze grzbietem dłoni ku ciału z zagiętymi palcami wsparłszy, wyprężyła się niepomiernie i na palcach się wspiąwszy drobno boczkować wokoło Krzysia poczęła. Krzyś zaś w koło się nosił, a co czas przed muzyką stawał i śpiewał.

— Choć nogami telo nie doprawdzi, to garłem dorobi — dokwalowali chłopi.

Głowę to na bok zwieszał, to w dół, to dźwigał, włosy odrzucał, a nogami to w dyle tupał, to po piętach się dłońmi na trojako z lewej strony, z prawej strony i z przodu przed sobą bił, to w obie naraz, podskoczywszy, dłońmi uderzał, to jedną piętą, przystanąwszy, powoli z góry mocno w podłogę rąbał.

Nagle stanął i okręcając palce wskazujące w powietrzu koło siebie, do okółka, drobnego zakomenderował:

Cy se bacys, kiek cie pytał,
kie sie jawór lipy chytał?
Cy se bacys, kieś mi dała,
kie sie lipa ozwijała?

— Hej, stary! — krzyknął rozradowany ojciec Wojdyłowej, grożąc Krzysiowi palcem na nosie.

Krzyś zaś na ciemieniu ręce zaplótł i krzesać począł, piętą o piętę bijąc, to wartko nogę przed nogę przekładając, to z węgierska piętę za piętę cofał w prostej linii, to drobno

kyrpcem przed kyrpcem sunąc w bok szedł, to w przekątną przez izbę z nogi jednej posuwiście, a Capkula to koło niego, to przed nim do linii, to za nim. Jął ją Krzyś gonić, małym korpusem w jej rozłożyste ciało godził, piersiami bez mała w brzuch, nosem w biust, kolanami w golenie, ona uciekała, on jej dopaść nie mógł; znów się cofał, a ona ku niemu zalotnie przybliżała. Z Krzysia pot się lał. Capkula czerwieniała na gębie jak rak.

Nagle Krzyś stanął, rozkraczył szeroko nogi przed muzyką i zaśpiewał:

Hej, baca nas, baca nas,
dobryk hłopców na zbój mas,
jesce byś ik lepsyk miał,
kiebyś se im syra dał!

(śpiewankę dowcipnie skomponowaną przez juhasa zza Wirchporońca na skąpego tamtejszego bacę od Kohutów z Muru).

I podskoczywszy, jak za młodości, w górę, na obie stopy skrzyżowane Krzyś od razu spadł i hajdukować począł, przysiadami „ponad ziem", dokoła Capkuli; ale Capkula też pokazała, co umiała. Jak się weźmie, jak hipnie! Równymi nogami na stół wypaliła, aż stół jęknął, a co na nim stało, brzękło, szczękło i dźwiękło.

— Wiwat! — krzyknęli chłopi.

Ale Capkuła ze stołu zeskoczywszy przed muzykantów się posunęła i stanąwszy przed nimi odmieniła:

Zagroj ze mi hajduka,
kany noga, tam...!

Krzyś Capkulę w pół do zwyrtu pochwycił i okręciwszy się z nią wielekroć, pod rękę ją, jak Marduła na początku, chciał puścić, ale że on był mały, a ona wielka, ona jego ku powszechnemu śmiechowi z niezmiernym pędem, nim się spodział, puściła, aż go na baby ku ścianie zaniosło.

— Hej stary! — zawołał stary Wojdyła; Krzyś równowagę pochwycił i okiem ku niemu zipnął.

Gdy się zaś piwem ochłodził, między muzyków siadł i prym Mardule, który z kolei tańczył, na skrzypcach grał. Ale krótkie i ciasne portki Krzysiowe na rosłym i bujnym Mardule poczęły zdradzać swą nieodpowiedniość. Jęły trzeszczeć, a opięte były tak, że się zdawało, iż we wszystkich szwach pękną. Toż haftki na kostkach, sztucznie w onycki pochowane, powyłaziły nad płótno. Spojrzał Marduła po sobie i zrozumiał, że trzeba ratować stan rzeczy. Huknął więc przed Krzysiem, bo właśnie drobnego tańczył:

Hej ze jyno portki moje,
bo mam w doma jesce troje!

Ale Krzyś nie wytrzymał, aby dowcipu dowcipem nie zagrzać i znad skrzypców odpowiedział:

Kiedy ty mas w doma troje,
zobuj moje, obuj swoje!

Izba zatrzęsła się śmiechem. Marduła stropił się, ale tylko na sekundę. Skoczył, jak pióro lekki, na skrzypce Krzysiowe i końcami palców skrzypiec mu dotknął z wierzchu, a Krzyś nie przestał grać, tak lekko dotknął.

Gęby się otwarły na tę sztukę.

Zaś za chłopami, co rzędem wkoło tańczących stali, na ławach za stołem siedzieli starsi gazdowie i gaździne. Gaździne prawie ciągle po dwie, po trzy razem śpiewały, gazdowie toż samo i weselili się. Wódka, piwo i wino potokiem się ze dzbanów lały, a dowcipy, przypowiednie i żarty strzelały jak race.

Tam homerycki śmiech wywołał stary Gahut, opowiadając historię o żydowskim sądzie — jak wybudowano gdzieś kościół i majster blacharski na wieżę ku krzyżowi wyszedłszy pośliznął się i spadł, a na dole stała masa ludzi, między



nimi kupa Żydów. Na jednego z Żydów spadł i zabił go, jemu zaś samemu nic się nie stało. Wtedy Żydzi zaczęli krzyczeć: Gewałt! ukarać go! zabić go! Ząb za ząb! Oko za oko! Jako to żydowska wiara. Polecieli do sędziego. Sędzia wysłuchał i tak osądził: Ha, moi Żydzi, on go nie zabiéł umyśnie, ja go — pada — inacyj karać nié mogem, jyno go héba pod wiezom postawić dam, a nieg jeden Zyd na wiezom wylezie, spadnie nań haństela i zabije go. Inksej sprawiedliwości nie wiem.

— Wyseł tys wtory? — pytał ojciec Wojdyłowej, zanosząc się śmiechem.

W izbie było duszno, gorąco i ciasno nad wyraz. Wiele tam objęć, wiele uścisków, wiele całusów wymieniono, jedne otwarcie, drugie ukradkiem, jak komu wypadło. Gazdowie brali cudze baby na kolana lub obejmowali przed sobą, cudze baby szczerzyły do cudzych chłopów zęby, kto sie ku komu czuł, to z niego wyłaziło.

Tam przystojny, tęgi Wojtek Kujon zaśpiewał półgłosem do przystojnej, tęgiej żony Jędrzka Pęksy: — Widziałek cie, widział, kieś cesała przédział! — a ona mu z wiele mówiącym uśmiechem odpowiedziała: — I ja cie widziała, kieś siwe wołki gnał! — i tak sobie o sobie pod figurą poezji znać dawali, co czują. Bo Wojtek miał babę starą, a Pęksa się babie nie widział.

Tam palce bogatej Kasi Symciarówny trzeszczały potajemnie w palcach ubogiego Klimka Bustryckiego, a w kącie, za piec wtłoczeni, Michał Wyrdzinnik ze Zosią Samkową prawie się zupełnie rozkoszy oddawali. Drżało wszystko od tych dziewcząt o ślicznych twarzach i oczach niebieskich, smukłych w biuście i ramionach, a tak pełnych biodrach, że z nich jak kwiaty z donnicy wyrastały. A kto tknął tych bioder, szał go brał. Dyszało wszystko nad nimi. A im pło-

mienie w oczach świeciły, piersi od gorąca i tłoku dyszały prędko. Gięły się do uścisku. Wymykały się z parobkami. Wrzał pohut płciowy.

Wtem zrobił się rumor. Pietrek Sawickiego, którego do tańca puścić nie chciano, bo nieproszony przyszedł, i Sawiccy z Wojdyłami nie byli dobrze, a za awanturnika go znano, do basów talara srebrnego rzucił i wypchawszy się na pośród izby skakać począł, pięściami koło siebie wywijając, piana mu zaś ze złości zaraz na usta wybiegła. Nikt mu dziewki wywieść do tańca nie chciał, natomiast młody brat Wojdyłowej Józka Sieczkę pchnął umyślnie, ażeby tańczył. Już Marduła stał blisko. Gdy się Sawicki z Sieczką bok o bok uderzyli, już Marduła był przy nich, a gdy Sieczka dostał w pysk pięścią i zatoczył się na rząd ludzki, już Marduła koszulę skręconą w garść pod gardłem Sawickiego trzymał. Ale Sawicki, parobek nie słaby, tak samo Mardule zakręcił i dławić się zaczęli. Chwilę wszystko ustało z ciekawości, który którego praśnie. Zsinieli Marduła i Sawicki. Niedługo to jednak trwało. Znikł Sawicki pod nawałą napastniczych ciał, a w chwilę potem krwawą masę do sieni wyniesiono i z sieni w smreczki za domem ciśnięto.

Uspokoił się mąt i zaraz się dalej ochota zaczęła. Czy Sawicki był żywy, czy umarły, nikt się nie troszczył.

Upił się jednak ogromnie cioteczny brat panny młodej, Bartek Bachleda, i bałamutę zaczął; wrzeszczał, klął i rwał się do bitki. Więc go kilku poważniejszych chłopów za ręce wzięło, wywiedli go w pole, chałupę z rogu nieco dźwigli i pod pochylony węgieł długie włosy Bartka wsadziwszy, opuścili dom na powrót.

— Teraz se nieg siedzi, pokiel sie nie wysuma.

Darł się Bartek wniebogłosy, ale to w ogólnej wrzawie i przy muzyce głuchło.

Tam tancerz jakiś do drobnego znowu ciął:

Złamała się pościółka,
kany spała frairka,
złamała się na dwoje,
na niescéńście na moje!

Owdzie starzy gazdowie, blaszanymi kwaterkami wódki do siebie zdrówkając, opowiadali sobie dalej ucieszne historie i pokładali się raz wraz w tył ze śmiechu, lub po kilku bezbarwnymi głosami ryczeli piosnki rozmaite. Baby wywodziły pieśni, przeraźliwie cienko, przy drzwiach zaś blisko stanęło kilka dziewcząt, objęły się rękami za szyję i śpiewały ustami w usta jedna drugiej, że ledwie można było zrozumieć:

Jo ci powiadała: przijedź, hłopce, przijedź,
a tyś nie przijehał, wolałeś mie ni mieć!

Hłopcy moi, hłopcy, nie dacie mi uróść,
poziéracie na mnie, jako na lotorość!...

Ale wnet otoczyli je parobcy. Głosy się zmieszały, głowy przepletły, ciała jęły stykać ze sobą. Wesołość, radość, zdrowie potężne i namiętna ochota i zdolność życia hulały, z hulania przechodziły w szał. Szczepan Ustupski z Ustupu, niemłody już chłop, ale w barach jak wół, Capkulę na ręce porwał i z nią hajdukował za jakimś tancerzem. Jasiek z Podwilcnika w zębach stół ze wszystkim, co na nim było, próbował dźwignąć. Staszek Topór na rękach do góry nogami chodził, a Marduła w miejscu do wściekniącia nad głowy ludzkie podskakiwał. Zośkę Jacinową, babę dzietną, tak nabrało, że na Maćka Karkosa, parobka, piersiami padła i przygniótłszy go ku ścianie dyszała na nim: — tyś mój! tyś mój! Zaś Hanka Wojdyłówna trzem parobkom naraz wynieść się na rękach z izby dała, spod oczu matki, która wołała pijana:

— Jyno hłopcy po młodsemu, po młodsemu!

Stary Wojdyła, dziadek martwo narodzonego, ze starym Byrcarzem, teściem Krzysia, objąwszy się za szyję na śmierć pijani pod ławę się zwalili i tam jeszcze nos w nos śpiewali żałośnie ciągle to samo:

Byłaby ja była, cobyk jesce usła,
jyno by mie mama gałęziom przesiusła!...

Nie opodal zaś młoda Wojdyłowa z matką męża kłóciły się ząb za ząb, co by z dziecka było, gdyby było żyło, czyby się było podało na Wojdyłów, czy na Karkosów, a jej matka własna kiwała się na ławie nad blaszanką gorzałki, zawodząc:

— Oj biédarstwo, kieś tys ty sie niezywe narodziło, kieś ty takie kściny miało mieć!...

Wtem nagle Krzyś ustał grać, za struny wsunął smyk, wstał z ławy i podszedłszy żywo ku Mardule ozwał się doń surowo:

— Franek, je cos to robis?!

— Abo co ?

— Je dy my mieli do Nędzów lecieć!

— He dwaścia zjadło! Iście my mieli!

— No, to cos ty robis?!

— A wy?

Zastanowił się Krzyś, jakby mu to dopiero na myśl przyszło, spuścił z tonu i odpowiedział o wiele łagodniej:

— No to podźmé.

I nie żegnając się z nikim wyszli z izby, a gdy wyszli, Krzyś rzekł:

— Po dródze nam Gałajda. Hybajmé poń.

Gałajdę zastali na słomie, na której sypiał w małej izdebce, gdzie sam jeden mieszkał i gospodarstwo prowadził.

Gałajda leżał pod niską powałą, w dusznym cieple, twarzą na izbę zwrócony i chrapał, aż dudniało.

Przystąpił doń Krzyś i wstrząsnąwszy go mocno za ramię, że się obudził, zaczął mu opowiadać, po co wstąpili.

Ale Gałajda wysłuchał opowieści i na zapytanie Krzysia, czy pójdzie z nimi, odpowiedział:

— Nié.

— La cego?

— Bobyf spał.

— No to haw przyjadom panowie i zabijom cie!

— Moze — odmruknął z obojętnym niewspółudziałem Gałajda i obrócił się twarzą ku ścianie.

— Byku! — huknął mu jeszcze zgorszony Krzyś nad uchem, ale Gałajda znowu chrapnął, aż zadudniało.

Poszli więc sami, przyspieszając kroku. Ciemno już było i gdy przechodzili przez pastwisko na Gładkiej poza lasem, ozwał się Marduła do Krzysia cokolwiek zmienionym głosem:

— Gwarzéł mi kowal, Fakla Józek, znaliście go, ze kie do freirki do Słodycków za Kopę tutędéj hodziéł i raz w nocy seł, patrzi, a tu sie źrybie pasie. Widziało sie mu, ze Firkowe, strzeliéł toporzyskem bez zadek i pada: idzies ty du domu weredo! A to źrybie kie zerzy! Jaz sie las zatrząsł! I jedzie prosto nań, z pyska kielce wystawiło jak miedziane i ogień mu wej z nozdrzy fuknon. Fakla sie zląk, jaze zedrzał, toporzyskem się opądza, a to cym blizy ku niemu, tym je większe, rośnie, jaz nad las. Fakla sie cofie do lasa i skrył sie. Wrócił sie du domu. Kie na drugom noc zaś ku freirce sie zabrał, kie w to miejsce prziseł, to jaze poty na niego biły, telo sie bał.

— He — rzekł Krzyś — ja by hań nie seł, hojby miała złotom!

Po chwili zaś zaczął mówić:

— Ono nie śpi. Kie Wnękowie z Dzianisa księdza, co z kazaniami przijehał, zabili, bo sie im straśnie śrybelne mentaliki u niego zwidziały, co sie nie narobili, coby ciało skryć, a nie dało. Wsadzili go do becki z kapustom, wyjońć musieli, pote zagrzebli w ziem, zaś wyjeni.

— Bez coz? — przerwał Marduła.

— Bo musieli. A obawiali sie, bo księdza biskup krakowski posukować kazał. Na ostatku umyślili wywieźć go za granice orawskom. Nie daj Synu Bozy! Zaprząglí dwa kónie, co ku granicy przijahali, nié mogli za niom rusyć. Musieli wrócić. Jaz ig hajdukowie dostali i obiesili.

— No to i ci zbójnicy, bacycie, co w Saflarak hłopa zabili, samo tak; kie ludzie krwiom tego zabitego liny od zwonów w kościele pomaścili i zacyni we zwony bić, to ka ten głos zwonów zaleciał, to ig zatrzimał. Nijakim świate przestompić nié mogli. Tak jak klętéj obręce.

W Goryckowej ig kajsi połapali, co sie kręciéli po dolinie jak zaklenci.

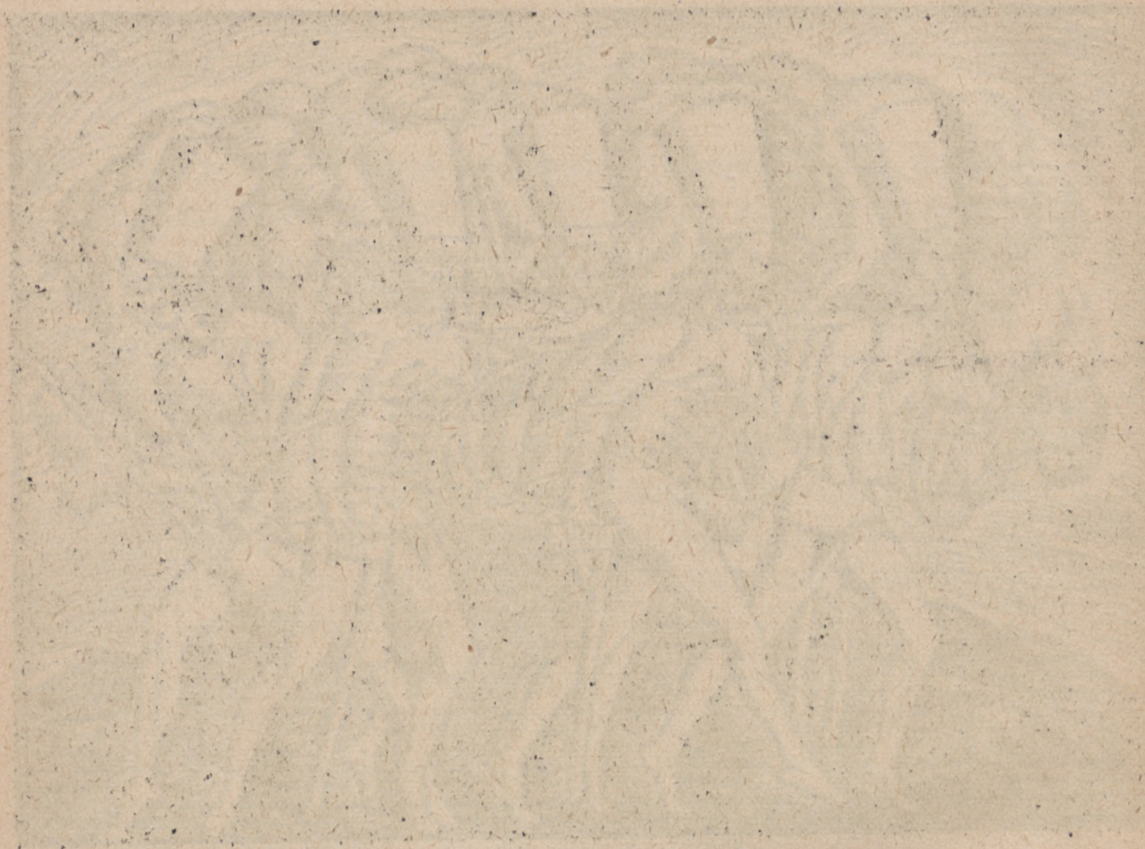
— Haj, przidzie tak, co hamuje. I seliniejako rozmaicie. Kie stary Jawolcyk z Małego Cihego, Jadam, ten woli złodziej, zmar, to go štyrma wołmi z miejsca w truhle rusyć nie dało. Ba go sami hłopi musieli wynieść.

— Je bo za swojego zywobycia nic nie robiéł, jyno woły kradał, to go po śmierzci nie fciały wieźć.

— Ja ci powiem, Franek, niezlicne rzecy we świecie jest, aj jest! Niek cie Bóg scęści!

— O jest!





— Człowiek nie jest ścęśliwy. Bo je na ostatku stworzony. W samym zadku stworzenia stoi, syćko złe, co na świat sło, oń uwadziło. Cała kurniawa.

Szli milcząc, aż Krzyś powiedział:

— Zimna noc. Cujem. Ja jus rzadki. Nie takik wyraźny, jakok bywał. Człek tak cieńce na starość, jak płótno.

Marduła popatrzał na niego i rzekł:

— Be pogoda.

— Bedzie, bo miesiąc kolombkom dołu. Kie je rozkami do góry, to pokazuje na dysc. Ja sie jus i dogoniéł. W tańcu to sie widzi wiatru we mnie telo, cobyś rąbanice urobiéł. Ale tak mie ubyło. Ba z łamania po kościak tok sie wylécył. Wzionek liści z pokrziwy, z jasienia, z bozego drzéwka, z macierzanki i z jałowca z bobkami, pięciorakie ma być, i parzyłek sie. Popuściło mie do trzeciego razu. O, godnie jek sie zratował. Bo mie jus noga jedna bars dogorywała. Kie co gościec człowiekowi lubi, to pilno pomoze. No jus my do koniecźlebu dośli. Jus my blizo potoków.

— Ale! — zawołał nagle Marduła. — Dy ja we wasyk portkak!

— No niegze ta! Wrócis mi ine.

— O to nic! Ale sie hłopi bedom śmiać, ize nie proci preporcyje portki namiérzane...

Krzyś myślał chwilę i rzekł:

— O to nic. Paniezus pedział, ze nie miejsce zdobi cłeka, jyno człowiek miejsce. Tak tys i portki hłopa. Ale co robić!

— Ksiąndz hoćby béł w lesie, to mu kazdy niesie — rzekł sentencjonalnie Marduła w analogicznej myśli.

— Totys to! — rzekł Krzyś. — Bydźze wesoły cłeku! A wieś, padała mi stara Magierka, je ze Sobcackule do lasa baby, Toporki, wyniesły.

— Moze?

— Ze ba haj! Zawdy sie mi zbacuje, jako stary Hury, kie go syn biéł i bez izbe wlók, coby go za próg wyrucić, pedział: E, stój synu, bo tys i ja ojca dalej nie włócył, jyno po próg...

Potem, że droga była jeszcze długa, jął Krzyś opowiadać Mardule o kunistworze, tchórzu, co był taki wielki jak koń, gdyż był tego zdania, że lepiej o niczym mówić niż nic.

•

Jak obłąkana snuła się Maryna koło karczmy w Zaborni. Wszystkie krzywdy, jakich przez Sieniawskiego doznała, wszystkie zbrodnie, za które go nienawidziła, stopniały w jego uściskach jak wosk na ogniu. Zapomniała dziadka Topora, zapomniała pogromu Sobkowego hufca, zapomniała Kostki, zapomniała siebie i ciosu złoconą buławką w Czorsztynie, zapomniała, co o wojewodzicu opowiadano, jakim był — rozkoszy miłosnej zaznawała w zalewającej ją mierze i traciła zmysły. Dwie tylko rzeczy pamiętne jej były: że się przez dwa lata na polanach w lesie potajemnie schadzali i pieścili, kiedy jej się Sieniawski widział jak złoty archanioł z baśni, i że na Hrubem ma rywalkę, Beatę Herburtównę. O czym przez dwa lata marzyła, spełniło się; oddała się Sieniawskiemu cała, od stóp do głów i z duszą.

— Po co jek przisła haw? — pytała się czasem sama siebie, musiała sobie przypominać. Legła jak próg u nóg Sieniawskiemu, aby nie pokroczył na Hrube, ale gdziebykolwiek się zwrócił, chciała, ażeby ją za sobą wlókł, choćby mu buty rękoma obejmować miała.

A gdy pomyślała o Beacie, zęby jej się ścinały i wówczas to Sieniawski doświadczał z jej strony szału, który więcej prawie bólu niż szczęścia dawał, w którym ostre, białe, żbi-

cze zęby Maryny raniły mu ciało, ssały jego krew, a jej potężne, mocne ramiona zdawało się, iż kości połamać w nim pragną.

Wieczór był jesienny. Maryna chodziła po polu koło karczmy, słuchając szumu lip i patrząc w mgły zawalające dolinę pomiędzy górami. Ani księżyca, ani gwiazd widać nie było. Przez przymkniętą okiennicę karczmy szparami błyskało światło; to Sieniawski siedział zamknięty w wybitej kobiercami, makatami i adamaszkami żydowskiej izbie i wiersze pisał.

Tęskniło jej się. Już nadejść miała noc, codzienna noc wesela. Maryna przystawała pod oknem i przykładała ucho do okiennicy — pióro Sieniawskiego zgrzypiało ciągle.

Usiadła na kamieniu, ręce między kolanami zapletła i rozmyślać jęła, ale cokolwiek myśleć chciała, myśli ginęły. Kochała. I nie było w niej walki ani oporu. Miłość, jak buhaj szalony, zwaliła i rozniosła wszystkie płoty i zagrody.

Gdy tu podjeżdżała, w sercu jej wiły się żmije między liliami, teraz zaś serce jej było tylko płomieniem.

Nagle uchyliła się okiennica drewniana i przez kratę okna dały się słyszeć lekki świst przez zęby i zapytanie półgłosem:

— Maryś?

— Hawek — odpowiedziała pospiesznie.

— Chodź! — rzekł Sieniawski.

Pod ten czas zaś lasami na czele kilkudziesięciu zbrojnych Podhalańców kroczył hetman zbójecki, Janosik Nędza Litmanowski. Obok niego szedł Sobek Topór, milczący, jakby mu mowę odjęło, Marduła Franek i Nędzowi zbójeccy towarzysze nieodstępni, Gadeja, Mateja i Mocarny, wszyscy z rodu Stopków, siłacze, gwałtownicy i rycerze. Sablik i Krzyś postępowali w pochodzie, ale już nie grali. Kroczono cicho.

Stary Sablik z Maruszyńskich lasów na przeszpiegi posłany, z gęsiołkami w rękawie od czuchy, a do brzęczenia gotowymi, wędrujący pod Babią Górę rzekomo niby do brata, który był kościelnym pod Lubniem, a którego w istocie nie miał, przewiedział się, że wojewodzic nie ma w Zaborni koło siebie więcej jak pięćdziesięciu ludzi, a reszta ruszyła przeciw chłopom, którzy się uspokoić nie chcieli, w stronę Kalwarii. Od Sobka zaś wiedział Janosik, że Sieniawski w Zaborni siedzi.

Ten pogromiciel spod Nowego Targu był mu najbliższym, a pogromienie takiego potentata rzucało od razu postrach na szlachtę i czyniło imię Janosikowe głośnym i sławnym.

O to zaś Janosikowi Nędzy szło. Coby się hyr o nim i ozgruch stał po świecie, coby jako orzeł spadł od Tater i żeby imię jego od razu stało się straszne.

Cicho, jak wilki, podsuwali się pod karczmę. Za przewodnika służył chłop z okolicy, a pochód umiał Janosik jak ryś prowadzić.

Karczma w Zaborni stała u dróg rozstajnych, samotna zupełnie.

Gdy światła dały się już z dala widzieć, Janosik rozdzielił swą bandę i oddał pojedyncze jej oddziały pod dowództwo swych towarzyszy, tak ażeby równocześnie ze wszystkich stron śpiących dragonów i sługi napaść.

— Jyno śmiało, chłopcy, a bić! — polecał.

Sieniawski nie kazał stawiać straży, wydawały mu się nie tylko niepotrzebne, ale nawet uchybiające jego potędze. Wokół wojowano z chamami.

Dragoni, służba nocowali w skleconych naprędce barakach. Otoczono ich po cichu, Janosik zaś, Sobek Topór i kilku innych podeszli pod karczmę.

Drzwi od sieni były niezamknięte. Janosik szedł na palcach, w prawej ciupagę, w lewej ręce kaganek dzierżąc. Uchylił lekko drzwi od izby i ujrzał pana i Marynę snem zdjętych.

Zawahało się jego mężne i rycerskie serce.

Ale tuż za nim szedł Sobek. Poznawszy Marynę wydał krzyk przeraźliwy i rzucił się ku łożu z podniesioną siekierą w ręku.

